

Wilczyński Albert

GALERIA DYLETANTÓW

I.

— Ciekawa jestem, kogo też złowi gospodarz na to obok nas mieszkanie?—odzywa się przy obiedzie młoda i żywa szatynka.

— Ha, pewnie jakiego szlachcica ze wsi, albo no- wicyusza z Królestwa, na gwałt potrzebujących lokalu—odpowiada niedbale średnich lat mężczyzna, rozkoszujący się w tej chwili zapachom pieczonych kurcząt, które służąca z półmiskiem ustawiła na stole.

— Tak, jak was złapał, kazawszy zapłacić całoroczny czynsz z góry — dodaje drugi, o śniadej cerze i czarnych ognistych oczach, siedzący przy gospodyni młodzieniec.

— Żeby przynajmniej ktoś z porządniejszych najął, mielibyśmy znajomość — dodaje pani, przybliżając się do okna, koło którego przechodzą teraz otyły i sapiący gospodarz domu z drugim jegomością, widocznie szukającym mieszkania.

Jak raz, zatrzymali się tuż przed nią dla dalszych pertraktacyj, więc ciekawa pani schowawszy się za firankę, doskonale może się przypatrzeć najmującemu. Jest to mężczyzna już nie młody, podtatusiały, w drelichowym podróżnym płaszczu, w dużym słomianym kapeluszu, mocno przepalonym od słońca. Fizyonomia tego pana i ubiór zdradza szlachcica wiejskiego; twarz ma rumianą, jakby trochę nabrzmiałą, siwe, filuternie patrzące oczy, wąs żółtawo-siwy niedbale opuszczający się na dół i także z pod kapelusza wymykające się kosmyki włosów. W rękę trzyma grubą sękatą laskę, którą podczas rozmowy wywija z taką fantazyą, że otyły gospodarz przymrużając oczy, co chwila przekręca głowę, to w lewo, to w prawo, a nawet cofa się w tył, żeby nie oberwać maczugą po nosie.

•— Więc słuchaj no gospodarzu — prawi szlachcic podniesionym głosem — chyba chcesz skórę ze mnie ze- drzść.

— Przepraszam pana dobrodzieja — odpowiada urażony. — Ty, to ja jestem tylko dla mojej żony, a wszyscy inni mówią do mnie panie...

— Ale bo widzisz mój łaskawco, ja mam taki zwyczaj...

— A mój zwyczaj, że gniewam się, gdy mi kto ubliża-

— No, to bywaj zdrów, mój ty panie gospodarzu i z twojeim państwem, i z twojem mieszkaniem. Ceremonii dużo, a pieniędzy jeszcze więcej. Za swoje trzy grosze mam cię honorować i subiekcyją sobie robić.

— To upadam do nóg—mówi, zwracając się z kluczami gospodarz.

— He, he, czekajno łaskawco... chcesz, dam trzysta reńskich!

— Nie. Albo pięćset kwartalnie z góry, albo czterysta pięćdziesiąt, jeżeli roczny czynsz...

— Bójże się Boga, panie, i za co!... Gdzież tu sumienie, za trzy dziury...

— Przepraszam, to są pokoje i nie trzy tylko cztery.

— Co? Tę ciemną jamę rachujesz za pokój?

— To nyża...

— Jaka to ryża?

— Tak się nazywa ten ciemny gabinet.

— Gabinet? — powtarza, śmiejąc się szlachcic — prawda gabinet, ale do czego?... Oj zdierusy, jak mi Bóg miły! A toć panie, żebyś był przyjechał do mnie, kiedy trzymał Borowice, za pięćdziesiąt reńskich dałbym całą oficynę o sześciu pokojach... Pięćset reńskich za trzy pokoje, ależ to majątek!

— Wolna wola...

— Słuchajno panie gospodarzu, dam trzysta pięćdziesiąt z góry i niech będzie zgoda!— mówi, biorąc tłustą, jak poduszka, rękę właściciela domu, żeby w nią uderzyć. Lecz ten wyrywa ją dość opryskliwie i rusza dalej, a szlachcic za nim.

I znowu nowe targi, nowe chwytności za rękę, których już ciekawa pani dosłyszeć nie może. Od czasu do czasu dochodzą ją tylko urywane wyrazy gospodarza, chwającego swój lokal z taką intonacją głosu, jakby cytował słowa ewangelii świętej.

— Ciepło panie dobi odziej u, jak w ulu, tylko trzeba palić... Suche, jak pieprz... Naprawi się te drzwi i okna, bagatela, i tę dziurę w podłodze, cóż tam kawałek deski wstawić. Aaa... malowanie, to już pan dobrodziej, jak zechce, to sam...

Nareszcie musieli się ugodzić, bo naraz szlachcic odwraca się od niego, wyjmując z kieszeni okulary i na

nos zakłada, potem gruby pugilares, a z niego dwa dzie- sięcioreńskie papierki. Obmacawszy je dobrze zwil- żonemi palcami, przegląda jeszcze do słońca, czy czasem po dwa nie zlepione i daje, jako zadatek.

— Ot jest i ogródek—mówi już udobruchany gospodarz—będziecie państwo mieli, jak na wsi...

— To też łaskawco mój, dlatego mi się podobało — rzecze, rozglądając się po obszernym dziedzińcu, który—musimy to przyznać, bardzo się po gospodarsku przedstawia. Nie brukowany, założony resztkami zbutwiałych podkładów kolejowych i desek, odłamkami cegły, beczkami z piwa, pustymi pakami, słomą i w ogóle wszelkiego rodzaju śmieciem, ma pozór wiejskiego w gumnach podwórza.

Coś na trzeci dzień po owych targach, wjechały na ten dziedziniec cztery drabiniaste bryki, pełne różnorodnych gratów. Dwie stanęły jeszcze na ulicy, a z siódmej, lecz już bryczki na resorach, wysiadły dwie panie i trzecia wiejska służąca.

— Patrzno Kaziu — rzecze też sama szatynka, ciągnąc za rękaw młodego bruneta do okna — co to za cudaki idą...

Rzeczywiście dwie nowo-przybyłe damy pod względem ubrania wyglądają, jakby zmartwychpowstałe ryciny z dawnego Tygodnika mód. Starsza otyła i widocznie cierpiąca na nogi, mimo gorącego dnia ma na sobie tabaczkowego koloru sukieną salopę z wielkim kołnierzem i długą, prawie do kolan peleryną. Czerstwą jeszcze twarz z czarnymi bystro latającymi oczkami, osłania popielaty, z wysoko podniesionem rondem, kape- Insz, ozdobiony wieńcem żółto-pomarańczowych kwiatów. Druga młodzieńca, najwyżej lat

szesnastu, w krótkiej perkalowej, dobrze wymiętej sukience, okryta czarną kamlotową pelerynką, mimo opalonej nieco i jakby przestraszonej twarzyczki, jest uderzającą pięknosci. Duże, błyszczące, ciemno szafirowe oczy, choć załęknione, patrzą tak dziwnie ujmująco z pod ciemną, długiej rzęsy, że kto raz poczuł na sobie ich spojrzenie, już więcej go nie zapomni. Regularny owal twarzy, nosek zgrabny, usta jakby karminem malowane, a do tego bogate zwoje ciemno-żółtawego koloru włosów, muszą każdego zwrócić uwagę. Wprawdzie nie pasuje do tój główki dzieciennego kształtu duży słomkowy kapelusz, siedzący dziwacznie na jej szczycie, ale swoją drogą, że ładna, to ładna.

Spostrzegłszy, że jacyś państwo przypatrują się jej ciekawie z okna, zapłonila się, jak róża i potknęła na nierównej ziemi dziedzińca.

' — Maryniu, drewniane masz nogi, czy co! — fuknie krzykliwym głosem, pociągając ją za sobą matka.

Co odpowiedziała panna, nie mogli nasi obserwatorowie dosłyszeć, widzieli tylko, jak nowa serya rumieńców przebiegła jej po twarzy i dostała się na szyję.

— Ależ to śliczna! — zawoła pan Kazimierz, brat owej szatynki.

— Ocho, już zakochany! — przerywa pani AYanda.

— Zakochany jeszcze nie, ale mógłbym się zakochać. Przyznam ci się, tak pięknej dziewczyny żywej jeszcze nie widziałem... Na obrazkach...

— Wstydz się być takim kochliwym! Cóż to ładnego? Pospolity rumiany buziak parafiański... Ot, świeża i hoża Marysia, nic więcej!

— Daj pokój, oczy, ach te oczy fiołkowe!...

— Zlituj się, co ty w nich widzisz? — przerywa

z pewnem lekceważeniem pani Wanda.—Jak mogą być pięknymi oczy niebieskie? a jej nawet mają w sobie coś owczego... Mój Kaziu, złe mam wyobrażenie o twoich zdolnościach handlowych, powinieneś być zostać poetą, a nie kupcem, czy tam bankierem...

— Daruj, moja droga, ale ci odpowiem słowami mędrca, że pszczoły nie dla samych głupców miód robią. Co piękne, to piękne i nipi się podobać.

Nieznajome weszły do nowego mieszkania, które tylko zamknięte drzwi przedzielają od mieszkania rozmawiających. Niedługo nadszedł i sam jegomość z młfl- dym, pretensjonalnie ubranym wyrostkiem, zdaje się słuchaczem uniwersytetu, którego obie kobiety powitały z niezwykłą radością.

— A przyznam się—rzecze młody elegant—że nie miał też tata gdzie najmować mieszkania, jak w takiój dziurze na przedmieściu.

— Prawda—dodaje matka—takie jakieś ponure, odrapane landary.

— Tak, tak, dajcie sześćset, albo siedmset reńskich, to znajdziecie lepsze!

— Cóż ojciec chce, wolałbym dać a mieć porządny lokal w środku miasta... No, a któryż pokój będzie dla mnie? Ja potrzebuję mieć wchód oddzielny.

— Czy ja ci bronię! — słyhać urażony głos szlachcica—najmuj, płac. Jaki mi pan, on by wolał... Zarób, panie dobrodzieju, a będziesz szafował... Pokój, to weźmiemy oba, ten pierwszy.

— Z ojcem?... to dobre! Tata myśli, że ja mogę się uczyć, kiedy kto drugi jest w pokoju, a jeszcze pali taki ordynaryjny tytuń.

— No, no, tylko mi nie burmistrzuj...

— Ech—występuje matka z interwencją—my starzy to się w dwóch pokojach pomieścimy, a niech 011 będzie sam. G-orzej, że nie ma spiżarni, gdzie tu co schować?...

— Matko daj pokój! Coś chciała, to masz... Zachciało ci się miasta...

Sprzeczano się jeszcze dość długo o to mieszkanie, student wszystko krytykował, <yciec prawil mu reprimendy, jak teraz każdy cent jest ciężki, matka trzymała stronę syna, wreszcie trzeba się było wziąć do znoszenia rzeczy.

Cała rodzina, prócz syna panicza, bez ceremonii zabrała się do roboty. Sam szlachcic najgłośniej krzyczał i dyrygował, grożąc furmanom, że za każdy uszkodzony przedmiot, niezawodnie będą mieli potracone; pani zносиła różne robótki, a panna zdjąwszy kapelusik i zakasawszy rękawy, pilnowała swoich doniczek z kwiatami, które opakowane były słomą w ogromnej balii.

Sprzęty i meble, które znoszono, są bardzo skromne, stare i różnego kalibru, lecz za to statków kuchennych i gospodarskich cało dwie fury. Ogromne faski z pokrywami, stoły, szafy spiżarniane, dzize, siodła, uprzęży, znoszono i znoszono bez końca; widocznie szlachcic nie wyrzekał się jeszcze powrotu na wieś i żal mu było marnować takie rzeczy.

Najtrudniejsza jednak sprawa była z ogromnym kufrem ciężko okutym, który w żadne drzwi mieszkania zmieścić się nie mógł. Prawda i to, że te drzwi od sieni są tylko pojedyncze, więc próbowano i tak, i owak, radzono, krzyczano, przekręcano—i ani sposób. Przytomny temu gospodarz, poradził, żeby przeprowadzić tego olbrzyma przez sąsiednie mieszkanie, gdzie już są drzwi podwójne. Eadę przyję-

*o, a skutkiem tego on sam ze starym szlachcicem wybrali się w poselstwie do pani Wandy.

Nastąpiła z tego powodu wzajemna prezentacja, ■/. której wypada i nam skorzystać, aby się coś bliższego

O nich dowiedzieć.

Mąż pani Wandy, mężczyzna lat trzydziestu kilku, wysoki, przystojny brunet, nazywa się Paternacki

1jest byłym obywatelem ziemskim z Królestwa, którego okoliczności zmusiły do osiedlenia się w Galicyi. Żona jego, znajoma nam trochę pani Wanda, wesoła i rezolutna kobiecina, namiętnie zakochana jest w swoich dzieciach i tylko o tern marzy, jakaby sprawić przyjemność Adasiowi i Julci, pierwszy rok uczęszczającym do szkół publicznych. Pan Stanisław Paternacki trzyma się nieco sztywnie i ceremonialnie, czem imponuje naszemu szlachcicowi, lecz za to brat pani Wandy, ów młody brunet, któremu się tak bardzo panna Maryan- na podobała, jest żywy, wesoły chłopiec, pracujący w niedawno założonym przez obywateli domu konii-owo- handlowym.

O nowo-przybyłych sąsiadach nie potrzebujemy wiele mówić bo pan Mikołaj Okoń Okoniewski sam więcej powie, niż potrzeba. Naprzykład i teraz, zapomniawszy, że tam ludzie czekają z przeniesieniem owego kufra, jak się przyczepił do pana Kazimierza, tak dalejze mu opowiadać o owych Borowicach, które przez dziesięć lat trzymał w dzierżawie, ile tam zbierał kop pszenicy, ile żyta, a ile jarzyny i rzepaku, ile miał krów, jałowizny i owiec do czasu, dopóki mu tych ostatnich żydzi nie wytruli.

— Mówię ci, panie—gada wciąż, ustępując przed kufrem niesionym teraz przez pokoje Paternackioh —

niech tylko adwokat i żyd wda się w jaką sprawę — to bywaj zdrów! Jak mi Bóg miły, za jakie lat dziesięć me będzie w Galicyi ani jednego szlachcica na wsi, a tylko sami żydzi i adwokaci. Więc panie dobrodzieju słu- chajże, juk zemną zrobili... Szach mach adwokat poleciał do Wiednia, do dziedzica, i kupił Borowice, ale to kupił mówię ci za psie pieniądze, bo czegóż adwokat na świecie nie potrafi! A tu żydki naraz do niego z pro- pozycjami o dzierżawę panie dobrodzieju... Szosć lat bezustannie kopali poddmną dołki, żeby mnie z Borowie wyparować. Dwa razy mię spalili, jak mi Bóg miły, owce mi wytruli, nasyłali rozmaitych ludzi, dawali odstępnę, aby się tylko mogli tam dostać. Cała okolica panie już jest w ich rękę, a tu jeden szlachcic siedzi w Borowicy i nie... Powiedziałem sobie, żeby tu panie dyabeł na dyable jechał—nie. Historye, powiadam ci, zemną wyrabiali; odmawiali ludzi, przekupywali... Ale co tu długo gadać, nie mogli tak...

— Stary, stary, Mikołaju!—woła przezedrzwi sama Okoniewska — cóżeś się tam rozgadał, a tu nie możemy dać rady...

— Zaraz, zaraz, matko, idę!

— I pan dobrodziej musiał ustąpić — przerywa Kazio, żeby ułatwić zakończenie opowiadania.

— No, musiał, nie musiał. Poczekajże, przyjdziemy do tego. Jeszcze ja im się dałem we znaki... Oparło się to aż o samego Monarchę... Jak mi Bóg miły, byłem na audyencyi, co, nie wierzysz?

— Wierzę, tylko nie pojmuję po co...

— Staryjsęaduło, a chodźże!—dolatuje głos żony.

— Zaraz, mówię przecie zaraz!.. Nie mogli tak, wzięli się na inny sposób. Ale to długa historia.

— I wysadzili z Borowie?

— Ale poczekajże bracie, nie tak... A cóż u kaduka, wołasz Mikołaju i Mikołaju? — odzywa się do żony.—Ja wiem przecie, że mi Mikołaj. Cóż to, bezemnie już nic nie możecie?... Skaranie bozkie...

— Niechże tata idzie!—nalega, wchodząc i biorąc pod rękę starego ów syn elegant.— Ludzie już poskładali rzeczy, chcieliby jechać, a tata jak się rozgada...

— Otóż będę gadał, bo mi się podoba, a wasan idź precz!—krzyknie zirytowany szlachcic.—Patrzcie go, jaki mi dyrektor!

— Niech pan dobrodziej idzie — nalega i Kazimierz.—Potem mi pan dobrodziej dokończy...

— O warto, warto, żebyś się dowiedział, co ja miałem z tymi żydami... Pewnie takiej drugiej historii nie było na świecie... Idę, idę, czegoż się drzecie, jakby was kto najął?... Pokornie dziękuję pani dobrodziejce za łaskawe pozwolenie... Całuję rączki. My z naszą imością złożymy uszanowanie, a jakże; musimy; tylko pani dobrodziejko niech się uporządzimy trochę... Całuję rączki, my po staropolsku, jak Bóg dał... I państwo, jak słyszałem, także ze wsi... Bardzo się cieszę z łaskawego sąsiedztwa...

— Będzie nam bardzo przyjemnie, prosimy — dodaje pani Wanda z lekkim uśmiechem.

Szlachcic naszastał się jeszcze i w prawo, i w lewo, panią znowu dwa razy pocałował w rękę, potem nie mógł znaleźć drzwi, któremi się wychodzi do sieni—więc powtórzył pożegnanie; potem zapomniał czapki i wrócił się jeszcze raz z dziedzińca, naturalnie znowu całując ręce pani.

— Będziemy służyć z matroną, o będziemy, niech się tylko z grubszego, jak mi Bóg miły, z grubszego...

— Pocciwy sobie szlachcic—odzywa się pan Stanisław, wzruszając ramionami po jego wyjściu.

— Wiesz, a mimo to ou mi się podoba—mówi żona. — I ona, choć tak cudacko ubrana, wygląda na pocciwą wiejską gospodynię.

— Także z grubszego—dodaje, śmiejąc się Stanisław.

— Także, bo wam to zdaje się, że tylko u mis w Królestwie są ludzie, a w reszcie świata same niedźwiedzie.

— Ale ta ich Marynia, to klasyczna piękność — przerywa z żywszem spojrzeniem Kazio. — Posągowe kształty... Uważałaś, jak zdjęła tę kamlotową mandarynkę i schylała się po wazonny kwiatów, co? Daję słowo!...

— Fantazyujesz przyjacielu... — mówi szwagier, klepiąc go po ramieniu. — Nie brzydka, to prawda, ale zdaleka już czuć ją surowizną...

— Te oczy, te oczy anielskie!

— Albo i ten synalek, pozujący na lewka miejskiego. Uważaliście, jak sobie wydekoltował tę długą i cienką szyję—dodaje, śmiejąc się pani Wanda.—A ten bi- nokl, który mu wciąż z nosa spada...

— Oryginalny i dalibóg obawiam się, czy nie będziemy ich mieli zanadto—kończy Stanisław, zabierając się do wyjścia. — A jak krzyczą wszyscy! Ja czuję, że już mam bębenki w uszach nadwerężone... to jakby cała rodzina była głuchą.

I miał racją pan Stanisław, że krzyczeli, bo choć drzwi komunikacyjne były już zamknięte i szafą napo-

wrót zastawione, wszystko było słyhać, co tam mówiono, nawet w dalszych pokojach. Stary ciągle się gniewał, wymyślając furmanom, że porobili szkody, za które im wytrącał z ceny najmu furmanek, gniewał się na syna, że proponował przyniesienie obiadu z restauracyi, na córkę, że płacze o złamanie gałązki liortenzyi, na żonę, że każe mu kupować gwoździe i że tylko na niego składa całą robotę, a sama siedzi i dysponuje.

— Tak, najlepiej klap na krzesło, a ty mężu rób, posuwaj, ustawiaj. Pan syn boi się, żeby rąk nie zawalał, pani córka, wielka dama, mazgai się nad kwiatkami... -Robotnicy!... niema co powiedzieć, robotnicy od siedmiu boleści!

Stukali jeszcze i łomotali coś parę godzin do samej ósmej wieczorem, a razem z zachodem słońca pokładli się spać, jak za dawnych czisów w Borowicach razem z kurami, kiedy to jeszcze żydzi nie zalewali panu Mikołajowi sadła za skórę.

II.

Kazio, rodzony brat pani "Wandy, coś przez półtora roku uczęszczał do szkoły handlowej w Gratzu, której jednak z powodu pojedynku czy też awantury wyprawionej pewnemu oficerowi nie ukończył. Obecnie pracuje w miejscowym domu handlowo-komisowym i przekonany jest, że gdyby go tylko dyrekcyja chciała posłuchać, dom ich zagarnąłby cały handel produktami do siebie, a pośrednicy żydowscy, musieliby się swoim kosztem wynosić do Palestyny.

Codziennie przy obiedzie, stołował się bowiem u siostry, rozповіда szczegółowo o każdej czynności swego domu i krytykuje zawzięcie, podług zwyczaju u nas przy jętego.

— Szlachta nasza—mówi—to same tchórze i niedołęgi, nawet własnego cienia się boją. Na niczem się to nie zna, a tak zarozumiałe o swojej mądrości, że niech się rabin sadogórski schowa. Powiadam ci Stasiu, nie masz pojęcia, jakie to ciasne głowy. Taki naprzykład Bonifacy, szlachcic wzięty prosto od pługa i zdaje mu się, że on może być i jest najlepszym dyrektorem! Ja

co czytam ciągle różne sprawozdania handlowe z całego świata, no i znam się na tem trochę, widzę, że w tym roku nieurodzaj kartofli w Niemczech pewny, kukurydza w Mołdawii za bezcen, żydzi na gwałt kupują i sprowadzają dla górzelnicy, a nasi panowie siedzą z założonemi rękoma i patrzą, jak im kto da sto korcy pszenicy w komis! Już to trudna rada, ale trzeba nam się handlu i spekulacyi uczyć od żydów... Obserwuję ja ich dobrze i powiadam ci, jaki mają spryt, jaki węch!... Pan Bonifacy powiada: panie, panie, my nie możemy ryzykować, a ja jestem zdania, że kto nie ryzykuje, ten nic nie ma... Czekać, jak tam kapnie jaki pewny interes od obywatela—nie sztuka...

Pan Stanisław, jego szwagier, jakkolwiek nie znał się zupełnie na tych sprawach, jednak, słuchając wciąż podobnych rozpraw Kazia, powoli przyswajał sobie różne wiadomości, odnoszące się do handlu, a nawet zaciekawiony, kupił kilka dzieł traktujących o tych rzeczach. Wprawdzie nie miał cierpliwości przeczytać je od deski do deski, jednak porzucił w wielu miejscach kartki i przez kilka wieczorów studyował tę umiejętność, leżąc wygodnie na łóżku.

Szczególniejszego też charakteru jest pan Stanisław. Na pozór zdaje się wykształcony człowiek i bardzo dobrze się prezentujący. O wszystkim może prowadzić zajmującą rozmowę w salonie, a w gruncie rzeczy dyletant znudzony, wygodniś lubiący spokój, nie zapalający się do niczego i nie irytujący się niczem. Dawniej, gospodarując na wsi, miał jakie takie zajęcie, które mu długie dni skracało, dziś jednak rzucony na bruk miejski, formalnie nie wie co z sobą robić. Przybywszy do Galicyi z pewnym funduszem, ulokowanym w listach kredytowych, zrazu miał zamiar kupić majątek ziemski i dalej gospodarować. W tym celu nawet wyjeżdżał parę razy z faktorem na obejrzenie stręczonych folwarków, lecz wszystko wydało mu się albo za drogie, albo zanadto opuszczone, albo z uciążliwymi warunkami, dość, że się nie spieszył, żyjąc skromnie z pobieranych od kapitału procentów. Pani Wanda, oddawszy dzieci do szkoły, również nie miała chęci zakopania się znowu na wsi; radziła tedy, żeby poczekał z kupnem, żeby się rozpatrzył w stosunkach miejscowych, a tymczasem dzieci podrosną i bez opieki matki można je będzie na stancyi ulokować. Czekał więc i nudził się, przesiadując w cukierni lub w kawiarni, gdzie czytywał wszystkie pisma i gazety od początku do końca. Następnie zapisał się do któregoś kassyna, miał tam partyjkę wista, czasami zajrzał do uniwersytetu na jaki wykład, a bardzo często do księgarni, z której abonował książki do czytania... Gdy grano w teatrze nową sztukę, prowadził żonę, potem wracali do domu o dziesiątej, kładli się spać natychmiast, a wstawali o ósmej.

Pani takie życie po kilku miesiącach, bez żadnego towarzystwa i znajomości, zaczynało być nudnem. Dla /abicia więc tych nudów, regularnie dwa razy na dzień odprowadzała dzieci i chodziła po nie do szkoły, a za całą przyjemność zbierała różne miejskie nowiny, które jej z pierwszej ręki znosił wesoły braciszek. On, mieszkając już kilka lat w mieście, znał wszystkich, ich dobre i słabe strony, szczególniej to ostatnie eleganckich pań, stanowiących śmietankę towarzystwa. Nie znając osobiście żadnej, dzięki usłudze brata, mogła doskonale prowadzić czarną księgę mieszkańców, co jej pc-

wną sprawiało satysfakcją i zaostrzało ciekawość na wszelkie nawet drobnostki z ich życia.

Otóż takie było położenie naszych znajomych do chwili sprowadzenia się pana Mikołaja z rodziną. Na bezrybiu, jak powiadają, i rak ryba, więc też zażęśliiio- na za ludźmi i towarzystwem pani Wanda najserdeczniej przyjęła nowych sąsiadów, którzy podług zapowiedzi pana Mikołaja już drugiego dnia z całą pompą w strojach, pani w jedwabnej sukni z zegarkiem na długim łańcuszku zawieszonym, pan w granatowej eza- marce, a panna w jasnej wełnianej sukience, zjawili się w bawialnym pokoju.

Sama Okoniewska jakkolwiek jest szlachcianką wiejską i pięknymi manierami ani tóż wysoką edukacją nie grzeszy, jednak ma w sobie coś sympatycznego, serdecznego i otwartego, że da się lubić. Z całą prosto- dusznością parafianki, przypatruje się umeblowaniu i różnym sprzętom w domu Paternackich, dziwi się, zachwyca i zaraz rozpytuje, co to może kosztować. Pani Wanda nie ma z nią żadnjsj trudności przy prowadzeniu rozmowy; dyskutują o sługach, o gospodarowaniu w mieście, o ubiorach, o których bardzo mało wie pani Mikołajowa.

Podano czekoladę; Kazio, który nie może oderwać oczu od Maryni, stara się zbliżyć do nijsj, usługując jako grzeczny kawaler. Daremne usiłowania; panna ani go widzi, ani słyszy. Ona tak jest przestraszona, nieśmiała i zażenowana, że łyżeczka wypada jjsj z ręki; chcąc ją podnieść wylewa czekoladę na jasną sukienkę i zapomniawszy języka w buzi, kręci się cała nieprzytomna, jakby stała pośród płomieni. Matka się gniewa, ojciec i Kazio przychodzą z pomocą, podając wodę i rękawiczki do wytarcia plamy, a z tych pięknych szafirowych oczu łyzy nieproszone jedna za drugą staczają się po świeżych jagodach.

— Zawsze taka nieuważna — odzywa się matka dość niecierpliwie, wycierając ową plamę. — Myślisz, że sprawię ci inij, zaraz. Długo poczekaasz, nim ojciec się zmiłuje i da pieniądze...

— Czy mąż taki skąpy?—pyta gospodyni, pragnąc odwrócić rozmowę na inny przedmiot....

— Aaa jaki nudn}-, nie ma pani wyobrażenia. O każdy cent trzeba iść do niego, a on zaraz: na co? po co? za wiele? czy nie możnaby taniej?... i tak będzie nudził, tak będzie biadał, że wszystkiogobym się wyrzekła, aby go nie prosić! .

— Ślicznie, panie Okoniewski — mówi na to z wyrzutem pani Stanisławowa—jabym nigdy na to nie zezwoliła. Przeciwnie, mój mąż zawsze wszystkie pieniądze mnie oddaje i ja mu udzielam, ile potrzebuje...

— Aaa łaskawa pani dobrodziejko, bo to zależy od zwyczaju, jaki jest w domu... Moja imość dobrodziejka tysiącby puściła w ciągu miesiąca, żeby jjsj dać w rękę. Pani dobrodziejka daruje, ale ja trzymam się starej maksymy!...

— Albo i teraz—przerywa żona—daje mi reńskiego na dzień i powiada, żeby wystarczyło.

— Reńskiego? ależ to żarty!

— Trudno pani dobrodziejko, jak kto nie może więcej—tłumaczy się szlachcic. — Państwo, widzę jesteście zamożni, to możecie, ale my chudopachołki, pososorowie na bruku—trzeba mości dobrodzieju paski poprzy- ciągać!

— Wie pani, dobi ze — mówi wesoło Wanda —

tylko będąc na miejscu pani, dawałabym takie kuse obiady.

— Co mu tam... On sobie poradzi... Idzie do miasta, wstąpi gdzie na śniadanko i nie dba o obiad...

— Taki to z pana ptaszek! Dałabym ja panu śniadanka. Prawda Stasiu, tybyś tego nie zrobił?... — mówi, zwracając się do męża. — Ocho, panie Mikołaju, my tu pana przerobimy,.. Zobacz pan, tylko się wszyscy do niego weźmiemy.

Szlachcic zzymał ramionami i śmiał się z groźby, a panie znów prowadziły z sobą gospodarską rozmowę, jak osoby, które się od dawnych czasów znają. Panna siedziała, jak niema, i nflpróżno Kazio wysilał się na koncepta, napróżno zachodził z różnych stron, żeby otrzymać spojrzenie tych ślicznych oczu. Marynia tak manewrowała swoją główką, chrząkała, ruszała się na krzesła, udając, że nic nie widzi i nie słyszy, że znudzony tą grą w nieśmiałego przyłączył się do panów i dał pokój głucho-niemej panience.

A jednak, gdy Marynia była samą między swoimi, słyszał przez drzwi nieustanny jej szczebiot, czasami jakąś śpiewkę, a najczęściej srebrzysty pełen szczerości dziecięcej, śmiech, który mu dziwnie przyjemnie wpadał do serca.

Po tej wizycie panie zaprzyjaźniły się bardzo prędko. Ta do tej, ta do tej, przybiegały parę razy na dzień to o jakąś radę, to o pożyczanie czegoś do kuchni, to wychodząc razem po sprawunki lub na przechadzkę.

Jakkolwiek pan Mikołaj rzeczywiście był skąpym dla żony i domu, jednak dowcipna małżonka zawsze znalazła sposób poradzenia sobie w każdym wypadku. Faworytem jej i nieomal bóstwem był ów syn Tadzio, dla którego właśnie po wypowiedzeniu im dzierżawy Borowie tak manewrowała mężem, że znaleźli się na bruku miejskim. A chłopak, mający wówczas lat ośmnaście, przystojny dosyć, brunet, do matki podobny, doskonale umiał wyzyskiwać tę słabość mamy, tyranizując rodzinę całą bez miłosierdzia. "W domu z nikim nie było tyle zachodu, co z Tadzkiem. Na obiad gotowało się to, co Tadzio lubi; gdy Tadzio spał—chodzono na palcach; przyjmował swoich gości, uczył się — już nie śmiał nikt pokazać się w jego pokoju — słowem myślano, mówiono i starano się tylko o Tadzka, żeby się broń Boże o co nie zgniewał, albo nie zmartwił. Nawet stary pan Mikołaj, szlachcic z natury skąpy i despotyczny, nie był wolny od pewnej słabości dla tego luminarza Okoniewskich, uczęszczającego na pierwszy kurs prawa. Zobaczywszy tyle grubych ksiąg na stole młodego słuchacza, z których on czerpał niespożyta wiedzę Temidy, w duchu widział go co najmniej ministrem sprawiedliwości.

— Fanfaron to prawda — odzywał się tajemniczo do pana Stanisława—ale liultaj zdolny i uczy się, jak mi Bóg miły. Już to prawda mości dobrodzieju, że wszyscy Okoniewscy nie powstydzą się za swój rozum! Ja także nie byłbym zmarniał na dzierżawach, ale nie miał kto dbać o moją edukację. Pan dobrodziej wie, jak to bywało za naszych czasów. Skończyło się dwie, trzy klasy, liznęło się niemczyzny i łaciny i ojciec powiada: do roboty, do gospodarstwa, trzeba przypilnować tego, z czego się ma chleb. No, ale z tern wszyst-kiem w powiecie człowiek nie był ostatnim. Było się członkiem rady powiatowej, członkiem deputacyj nieraz, no i gdybym tak koniecznie chciał, to mo^eby sąsiedzi

wybrali i gdzie wyżej, ale ja się nadstawiać nie lubię nikomu, panie dobrodzieju...

Naturalnie, że wobec takich stosunków i ubóstwiania Tadzia, o biednej, niezgrabnej i nieśmiałej Maryni zapomniano, jak o kopciuszku. Stary trzymał do niej madamę pizez dwa lata, nauczyła się po francuzku, grała bardzo pięknie, jak stary mówił, kiedy był na wsi instrument — to dosyć. Matka jej, chociaż pochodziła z lepszego domu i tego nie umiała, więc dla córki biednego chudopachołka nie trzeba więcej. Niech będzie dobrą gospodynią, umie szyć, gotować, prać i przypilnuje pracy męża—ot wszystko, czego się od kobiśty wymaga.

Pan Okoniewski jako nieodrodny szlachcic polski, pomimo całej nienawiści, jaką pałał do żydów, nie mógł się jednak bez nich obejść. Ledwie że uporządkował się jako tako w mieście, już w parę dni miał trzech brodatych adjutantów koło siebie. Pocziwcy ciinają szczególniejszy węch odszukiwania takich osób, które moganrić pieniądze; więc chociaż pan Mikołaj postanowił sobie uroczyście nie wdawać się w jakiebądź interesu z żydami, jednak nie miał odwagi odprawiać ich ex abrupto od swojej osoby. Droczył się z nimi, żartował, dokuczał, udając, że myśli o rozmaitych interesach, i trzeba przyznać, bawił się doskonale, słuchając tysiąca propo- zycyj, jakie mu owa trójka codziennie przynosiła. Nawet gawędził chętnie z żydówki}, która przychodziła do pani handlować starzyzną, i targował się z nią do upadłego, niby to sprzedając siodła, uprząż i inne przedmioty z dawnego gospodarstwa, a które rzeczywiście sama pani pokryjomu ciągle w świat puszczała.

Jeden z tych faktorów, młody lecz starego autoramentu wekslarz, zjawiał się regularnie podczas śniada

nia z wielkim arkuszem bibułki, na którym wydrukowane były kursą bieżące giełdy wiedeńskiej. Sto pociech było zawsze z tym wekslarzem z powodu, że bał się niezmiernie psów, a szczególnie wielkiego legawca pana Tadeusza, który obcesem skakał na plecy i ściągał zębami aksamitną mykę krzyczącego ze strachu weksla- rza. Później już, wiedząc o tem, skoro wchodził do kuchni, już z daleka wywijał laską koło siebie, a mimo to niech* kucharka przez żart zawoła: „Romans, bierz!” on chwytając z rozpaczą ową czapeczkę, zamykał oczy i krzychał: „A pójdiesz ty Romans... a pójdziesz!”

Drugi, poważniejszy już, bo z siwą głową, niejaki Dawid, jest dawnym znajomym pana Mikołaja, jako faktor handlu z wełną. Spotkawszy teraz na ulicy szlachcica, odrazu przyczepił się do niego jak pijawka, i znosił mu różne próbki wełny wraz z egzemplarzami Nowej Pressy, w których podawane były sprawozdania o cenach z całego świata. Bez żadnej potrzeby ani interesu, ot poprostu z przyzwyczajenia do gadulstwa. Okoniewski nadziawszy okulary, oglądał te próbki i dyskutował z Dawidem o ich przymiotach i wartości, a żyd nie mógł się wydziwić, zkad pan Mikołaj zna się na tych rzeczach tak doskonale, jak najpierwszy agent „wełniany z Breslau.”

— Czego wy bałakujecie o tych głupstwach — odezwała się raz żona — czy będziesz handlował wełną?

— Ny, a dlaczegoby jasny pan nie mógł spróbować—odpowiada żyd.—Na wełnie można ładny pieniądz zarobić. Niech ja mam tyle szczęścia, ile przez moje rąk nabrali różni kupcy pieniędzy! Jaśnie pani pamięta tego młodego Hertz, co ja go przywiózł wtedy da Borowie?

— No, pamiętam.

— Jaki on dziś bogacz jest! Ma już dwie kamie- uice swoje, a żona jego chodzi w aksamitach i co rok jeździ do morza, bo jej nerwy są chore.

— Ecli, nie zwracaj głowy — rzece na to, westchnąwszy pan Mikołaj. — Na takie handle trzeba inieć grube pieniądze i być żydem.

— Na co żydem? Jasny pan ma takie rozum, co jest lepszy od sześciu naraz żydów. Ozy ja nie pamiętam, jak jaśnie pan tego Hertz wyciągnął wtedy! Na uczciwość, on na tej wełnie nic nie zarobił. Co jaśnie pan myśli, że do handlu wełną trzeba wielkich pieniędzy? Daje się zadatku dziesięć procent, posyła się w komis nach Breslau do Eisenberg albo do drugiego domu, i on zapłaci resztę, a, potem sprzeda i jasnemu panu zarobek odeszło. Ja powiem pod wielkim sekretem, co jeden hrabia kupił w Peszcie sześćdziesiąt centnarów Krammwolle i miał po dwadzieścia talarów na każdy centnar zysku.

Jednakże wszystkie ti pokusy, jakkolwiek bardzo ponętne, odpychał pan Mikołaj, zbywając żyda albo żarcikami, albo zwyczaj nem swoim „zobaczmy," a swoją drogą Dawid przychodził i dysputował, jak dawniej.

Trzeciego adjutanta niejakiego Fridlera, komisanta zbożowego, poznał nasz szlachcic u nowych sąsiadów, bo z nim pan Kazimierz miewał jaloes interesn. Ten przychodził znowu wieczorem z próbkami zboża, ze słodyczą w głosie, z dowcipkami i różnemi obywatel- skimi historyjkami, zdawał sprawę z obrotu zbożowego na targu miejscowym, kto, ile i co sprzedał, jak ten a ten obywatel kupił pszenicę na handel od sąsiada, jak ceny idą wciąż w górę, bo się w Ameryce nie urodziło.

Szlachcic z zajęciem słuchał tego wszystkiego i wzdychał, przeklinając adwokata i żydów, którzy go podkupili wtenczas, gdy zboże tak płaci, a on siedzi na bruku w mieście i nie ma nic do sprzedania. Potśm, namówiony przez faktora, poszedł raz i drugi na plac targowy, oglądał różne zboża, próbował, gawędząc z kupcami, jak za dawnych dobrych czasów w Borowicach, a kiedy wrócił na obiad do domu, był w najgorszym humorze, i wtedy ani mu wspominał o jakich wydatkach na dom. Zwymyślał tak żonę i córkę i syna, że biednój kobiecie nieraz łzy w oczach stawały.

Tymczasem stosunki przyjacielskie między nowymi sąsiadami zawiązywały się bliżej i serdeczniej. Wieczorami całą gromadą jedni przychodzili do drugich na herbatę; panie gawędziły między sobą o kłopotach domowych, panowie o wielkich sprawach politycznych, lub zasiadłszy do zielonego stolika, grali w taroka, za którym przepada pan Mikołaj i którego wyuczył nowych znajomych.

Z Marynią nawet stał się w tych czasach cud— odważyła się parę słów pi zemówić do Kazimierza, chociaż potśm ze dwie godziny nie śmiała spojrzeć na niego.

Pobył w mieście, towarzystwo pani Wandy i jej pomoc przy wyborze ubrania, a nawet przy wymęczeniu ze starego potrzebnych na to pieniędzy, zmieniły bardzo korzystnie powierzchowność panienki. Gdy opalenizna wiejska zesła nieco z twarzy, gdy pani Wanda uczesała jej włosy inaczej, nałożyła zgrabniejszy kapelusik na głowę, poprawiła fason sukienki, wreszcie zrobiła uwagę, jak panna powinna się trzymać i stąpać na ulicy— Marynia jakoś urosła, wyprostowała się i zaczęła zwra-

cać uwagę elegantów miejskich, natarczywie zaglądających jśj w oczy. Kazio naturalnie tryumfował; asystując im wszędzie, zaprzyjaźnił się na zabój z Tadeuszem i ze stoicką cierpliwością pozwalał się mordować staremu Okoniewskiemu, który setny już raz opowiadał mu historią walk swoich z żydami i adwokatem, nabywcą owych Borowie. Nie obeszło się przytem bez wykładu nauki gospodarstwa wiejskiego, jak to u niego wszystko się rodziło wspaniale w Borowicaceli, jaki tam był ład i porządek, bo pan Mikołaj trzymał służbę ostro, a cliło'* pom ze wsi w niczem nie przepuścił...

III.

Pewnego dnia popołudniu z niezwykle tajemniczą miną Fridler wywołał pana Mikołaja na dziedziniec. Chodzili długo, rozprawiali, oglądając się na okna mieszkania Paternackich. a na twarzy szlachcica widać było niezwykle zaalterowanie. Naraz pożegnawszy żyda, wpada jak bomba do pokoju.

— Matka, hej matka!—woła już ze drzwi—dajno mi kluczyki... tylko żywo kluczyki od kufra.

— Na co ci?

— Dawaj, nie pytaj!—nalega, tupiąc nogami i niecierpliwiąc się, gdy żona nie może ich odczepić od fartuszka.

— Co ja mam panie dobrodzieju — mamrocze do siebie —siedzieć tu i gnić bezczynnie, gdy inni robią in- teresa... Człowiek się zje, żyjąc z gotówki.

— Cóż tam znowu nowego?...

Lecz on nie odpowiada, tylko porwawszy kluczyki od żony, biegnie do owego wielkiego kufra, odmyka, a podniósłszy ciężkie wieko, zanurza obie ręce między rupiecie, którymi cały kufer jest założony. Jejmość

protestuje przeciw tak barbarzyńskiej gospodarce, lecz on nic nie słyszy, a nurtuje wciąż, jak kret pod ziemią, póki nie nomacał i nie wyciągnął sporego pakietu, owiniętego ręcznikiem. Ręce mu drżą, gdy odwija płótno, a kiedy się już dostał do papieru osnutego sznurkami w różnych kierunkach, chowa go tajemniczo pod surdut.

— Zamknij matko, bo nie mam czasu.

— A gdzie ty tak lecisz?

— Do Paternackich... Jak ci się zdaje, przypuszczają oni mnie do spółki?...

— Do jakiej spółki?...

— No cóż ci będę gadał wszystko od a do z... Kupili dwa tysiące korcy pszenicy za bezcen, jak mi Bóg miły; zarobią najmniej dwa reńskie na korcu, to interes! .. Ale, ale, dobrze będzie matko, jak i ty tam przyjdiesz... ISłuchajno, tak niby przypadkiem... To ci panie, szczęśliwi ludzie...

— Więc cóż ja tam będę robiła?

— Ooo, tobie trzeba wszystko jakby łopata w głowę; no, żeby mnie przyjęli do siebie na trzeciego... Przyjdź, przyjdź, kobieta z kobietą, jakoś lepijś potraficie...

Nie czekał nawet odpowiedzi, ale bez czapki wpadł do mieszkania sąsiadów.

— Jak mi Bóg miły—mówi od razu, zbliżając się do obydwóch panów, rachujących coś przy biurku — ja do was na trzeciego!... Co mam, daję pieniędzy, bierzcie, róbcie co chcecie!...—kończy, kładąc ów pakiet przed nimi na stole.

Paternacki i Kazio spojrzeli na siebie i na szlachcica, a pan Stanisław usiłował lekkim wstrząśnięciem

nie głowy dać znak szwagrowi, że nie. Ale pan Mikołaj widocznie poznał się na tern, bo dalej w prośby:

— Jak mi Bóg miły, co tam panie dobrodzieju kiwania, Niech tóż i biedny szlachcic przy was się pożywi... Powiedział mi Fridler wszystko... ja się zgadzam, jaik chcecie...

— Bo to widzi pan dobrodziśj! — odzywa się Kazio.

— No, no, nie trzeba być takim dyplomatą—przerywa pan Mikołaj, zacierając ręce. — Ja tu nic nie chcę widzieć, tylko tak jak wy... Po szlachecku, panie dobrodzieju, ręka rękę...

W tój chwili z drugiego pokoju weszła pani Wanda i dała znak Kaziowi. Ten zbliżył się do niej, szepnęła mu coś, a szlachcic w prośby:

— Pani dobrodziejko, za mną słóweczko...

— Właśnie ja w tym celu. Stanisławie—dodaje, spoglądając na męża i kiwając mu prosząco głową — zgódź się... no, co tam...

Pan Mikołaj z rozkosznie ożywioną twarzą przyskoczył, jak kot do pani, i dwa razy głośno pocałował ją w rękę.

— Bodajto nasze kobiety, panie dobrodzieju, one zawsze mają dobre serce!

— Skoro tak — odzywa się jeszcze niechętnie pan Stanisław — niech będzie spółka we trzech. Tylko ja pana ostrzegam, że w handlu każdym, jak w karty grał.

— Co do tego interesu—przerywa Kazio—nie ma obawy...

— Ja na wszystko rachuję...

— Jak będzie, to będzie, panie dobrodzieju, zawsze ja z wami.

— Ceny nie spadną—mówi dalej Kazio—w Ameryce nieurodzaj.

— I panie dobrodzieju—dodaje Okoniewski z rezonem—wojna pewna, jak amen w pacierzu. Żydzi proszę panów najlepszy mają nos, a oni coś wietrzą. Taki Fridler, niby sobie prosty faktor, ale on dużo wie. A i ten Bismark panie, spokojnie nie posiedzi.

— Najbardziej jednak to mię cieszy, iż tym żydom kupcom pokazaliśmy figę—odzywa się Kazimierz, zapalając papierosa. — Już tak osaczyli tego pana Jaslaile, już go tak oplątali i trzymali w szacbu, że byli pewni, iż go mają... Aż tu naraz ja przycliodzę tam, rekomenduję się i powiadam mu: Pan dobrodziej niech się nie droży, co dają żydzi, ja dam, i nie będziesz pan miał szykan i ceremonii, ale z uczciwymi ludźmi do czynienia, z obywatelami.

— Był i Fridler z panem?

— Nie.

— A to hultaj, on mi powiedział, że faktorował, i że to z jego stręczeuia, że się spodziewa...

— On jest faktorem Jaskuły, który, prawdę panom powiem, jakoś mi niedołąźnie wygląda, ale za to przy nim jest rządca, sprytna sztuka. Dostyc, że zgodziliśmy się w dwóch słowach; żąda połowę pieniędzy zaraz, a drugą za miesiąc. Napisaliśmy tymczasowo tenninatkę i rzecz skończona. Wychodzę z hotelu, a u moich żydów, którzy już myszkowali i w korytarzach, i w sieni, takie nosy!

— To, to, to—dogaduje uradowany Okoniewski— tym faktorom dokuczyć, tym wysysającym krew szlachecką, jak mi Bóg miły.

■— Szwagier mój wahał się z początku;

— Ja, przyznam ci się, i teraz nie jestem bardzo za tem. To nie nasza rzecz handel...

— Otóż to panie wszyscy tak u nas mówią i dla tego żydzi nami przewodzą—wtrąca Okoniewski.

— Ma się rozumieć—prawi Kazio.—Dokądże to będziemy na ich łasce i pasku, jak dzieci! Przyznam ci się Stasiu, że wstyd jest tak myśleć o sobie. Cóż to inne mamy głowy, niż oni?..-

— Ale ich przebiegi!...

— Przebiegi na przebiegi! Nie bój się, ja znam to wszystko i zobaczysz, jak ich wyzyskamy... Naturalnie, że bez pomocy ich tu się nie obejdzie, ale nam to posłuży dla dalszego doświadczenia... Niema innśj rady, trzeba się od nich uczyć, wszystko zgłębić i wyzyskać. Święci garnków nic lepią!

— Tylko panie Kazimierzu dobrodzieju, z tym kontraktem trzeba ostrożnie—mówi Okoniewski—bo to nasza szlachta bardzo jest uczciwa, grzeczna, ale... uważacie, lepiej się opisać... Przyjaźń przyjaźnią tego, interes interesem...

— Właśnie układamy punkta, bo dziś wieczorem mamy podpisać umowę — rzecze Stanisław, biorąc papier z biurka—i skoro pan dobrodziej do nas przystępuje, pójdziemy we trzech.

— Ej, ja się tam spuszcę na panów.

— A nie, pan także podpisze...

Okoniewski przystał, i zaczęto układać warunki kupna, terminu wydawania zboża, miarę, oczyszczenie i t. p. Czynność ta zajęła im parę godzin czasu, a uwagi nowego spółnika, mającego pewną praktykę w tych sprawach przyjmowano z uznaniem, co wielce cieszyło szlachcica.

— Zobaczycie, że ja wam się przydam, moi panowie—mówił uradowany ze swoich konceptów.—Czasem taki szlachciura nie pozorny więcej wie, niż sam żyd... Potrzeba, wiele nauczy, panie dobrodzieju.

— Ja przyznaję się—rzecze Stanisław—że na tutejszych stosunkach mało się rozumiem. U nas inaczej się handel odbywał; zresztą po większej części takimi sprawami zajmował się mój rządca...

— Manipulacyi na miejscu—dodaje Kazio—tego czyszczenia, odstawy, mierzenia, ja tak samo nie wiele znam, ale za to podejmuję się sprzedaży i szukania kupca...

— Więc doskonale rozdzielimy się robotą — konkluduje pan Mikołaj.—Tych rzeczy przy odbiorze dopilnuję... możecie się na mnie spuścić.

Zawarcie samego kontraktu i wyliczenie pieniędzy odbyło się w mieszkaniu pana Jaskuły bardzo gładko i przyzwoicie, przy lampeczce wina, z tysiącem wzajemnych przyrzeczeń, komplementów i serdecznych uści- skań. Wprawdzie punkta ułożone przez współników nie utrzymały się w całości i porobiono niektóre zmiany na żądanie rządcy Jaskuły, ale co słusznie, to słusznie. Naprzykład, sprzedający nie mógł się podjąć odstawy zboża do miasta, ani też dania swoich worków, bo sprze- żaj ma niewielki, zgodził się jednak potracić z ceny te kosztu.

— Tylko czy za te pieniądze dostanie furmanek we wsi?

— Ile pan chce!—odpowiada, machając dłonią faktor.—Chłopi są tak łakomi na zarobek, że tylko zapo- wiedzióc we wsi, a zjedzie się ich trzy razy tyle co potrzeba...

— No, ale cena?

— Jeszcze taniej dostanie...

— I co do tego czyszczenia i wagi na miejscu — podnosi rządca—to wiecie panowie, że chcielibyśmy uniknąć wszelkich kwestyi i sporów.

— Naturalnie—dodaje sam sprzedający—przecież mamy do czynienia nie z żydami.

Wspólnicy jeden po drugim uścisnęli mu rękę.

— Więc najlepiej, jeżeli panowie przyślą kogoś od siebie do Poręby, niechby pilnował...

Stanisław spojrział na Kazia, lecz ten powiada:

— Ja nie mogę, wiesz przecie...

— I ja bardzo nie mogę—odzywa się Stanisław— gdzie tu żonę w mieście zostawić samą z dziećmi; ona tak się boi, żeby po całych nocach nie spała.

— Ja mogę jechać — rzecze pan Mikołaj — co mi to szkodzi. Moja stara już niczego się nie boi.

Poczęto żartować na ten temat i kwestya została ubitą. Potem termina oddania, termina zapłaty, potem nasze obywatelskie zdrowie, potśm kochajmy się, nie dajmy się, uściskajmy się i rzecz skończona. A musiała to być ochota nie mała przy tśm wszystkim, jeżeli hultaj Fridler, żyd przecie, a pił z panami na pohybel faktorów współwyznawców. Prawda i to, że on mało co jest żydem, przesiadując bowiem ciągle po dworach obywatelskich, zajada trefne obiady i czysto mówi po polsku, zatraćając nawet z mazurska. Wieczór tego dnia spółnikom przeszedł w domu bardzo przyjemnie. Pan Mikołaj ciągle coś rachował, a nawet położywszy się do łóżka, zawołał na córkę:

— Maryniu słuchaj no, a masz tam gdzie ołówek?

— Mam.

A. Wilczyński.—Tom XX.

- Proszę cię, poi acliujno mi, ile to wypadnie dwa tysiące podzielone przez trzy...
- Sześćset sześćdziesiąt sześć i dwie trzecie—odpowiada po chwili.
- Hm—pomruknął, a może w kwandrans potem znowu zapytał:
- Masz jeszcze ołówek pod ręką, Maryniu?
- Mam.
- To ile będzie cztery razy ta suma wzięta?
- Dwa tysiące sześćset sześćdziesiąt sześć i dwie trzecie.
- Dobrze. A jaki to wypadnie procent od sześciu tysięcy reńskich?
- Nie rozumiem, proszę taty...
- Dałbyś jej pokój—wtrąca matka—dziewczynie spać się chce, a ty ją męczysz

głupstwami.

— Co to jest głupstwami! — odpowiada, rzucając się niecierpliwie. — To nie głupstwo, a rachunek każdemu człowiekowi potrzebny... Czy to moło mnie kosztowała jśj edukacya przez trzy lata, niechże też mam z niśj użytek. Otóż wyrachuj, że jak dam sześć tysięcy kapitału, a mam z niego dwa tysiące sześćset sześćdziesiąt sześć i te tam trzecie na rok, to jaki to będzie procent od sta? sześć, ośm czy inaczej?

— Co ty rachujesz naprzód! — znowu przerywa żona.

- No, co? Cztery ra,zy kupi się na rok zboża te same pieniądze...
- Blizko czterdzieści od sta — mówi córka. — Ułamków nie rachuję...
- No widzisz matko, jak to te szelmy faktory i handlarze zarabiają! I żyć tu szlachcicowi na wsi

i orać, i siać. A bodajże cię, bodaj... Ile to lat trzeba zbierać z dzierżawy, aby to mieć... Ot głupi my szlachta, że się nie bierzemy do handlu.

Mruczał jeszcze dość długo, nim zasnął, a nazajutrz wstał taki rzeźki i zdrów, jak dawno nie pamiętał.

Korzystając z tego usposobienia męża, przy kawie występuje pani Mikołajowa:

— Ot, udało ci się szczęśliwie, to mógłbyś też chłopcu sprawić jakie futerko na zimę... Marznie biedak...

— Tak, tak, zaraz futerko... młody chłopak niech się hartuje. Kiedy ja byłem w jego latach, mości dobrodzieju, to w burce na mróz trzaskający...

— On taki delikatny...

— Prędzej oto Maryni jaki płaszczyk watowy.

— Co jej tam po płaszczyku, siedzi w domu, a jak chcę wyjść, to może wziąć moją salopę...

Dziewczyna i Tadzio tylko się uśmiechnęli, spojrzawszy na siebie.

— A ładnieby wyglądała w salopie*mamy...

— No, cóż brzydkiego? Moja salopa jeszcze bardzo dobra, obszerna, ciepła...

— Dobrze, tylko na takie dwie, jak Marynia; wyglądałaby w niej, jak straszycło na wróble—rzecze pan Tadeusz.—Kto dziś chodzi w takich salopach? Żebra- czki stare, albo dewotki...

I ojciec, i matka byli taką mową obrażeni, a stary wystąpił z morałami, że grosz jest ciężki, że kurczęta nie powinny być od kur mądrzejsze, że nie ubiór człowieka, ale człowiek ubiór zdobi i t. p.

Jednakże w południe, przed samym obiadem, zja

wił się żydek w mieszkaniu państwa Okoniewskich, niosąc kilka futer na rękę.

— Tadeuszu! — zawoła stary na syna, który był w swoim pokoju—a pójźno tu!... Przymierz to—mówi dalej z powagą senatora, gdy syn się pokazał w prog.

— Co?... ja mam barany przymierzać? — ofuknie, widząc jak żyd rozwija obszerny tołub, podbity[^] czarne - mi, o długim włosie baranami.

— Lekkie mówię ci, jak piórko!

— Dziękuję tacie za takie futro! Stróżowi z kamienicy nie śmiałybym podobnego proponować...

— Ale słuchaj no Tadeuszu...

Lecz syn tak się uczuł obrażonym, że ani patrząc na owe futro, wyszedł z pokoju.

— Mikołaju — wtrąca pani — gdzież można dla młodego chłopca do miasta coś podobnego kupować?

— Ale bo widzisz matko — rzecze na to, śmiejąc się stary—ja te barany chce dla siebie, a jemu dam swoje szopy... Zawołajno go niech przymierzy, zobaczę na nim, jak to będzie.

— I twoje szopy nie dla niego...

— Otóż macie! Moje szopy nie dla niego!... To cóż? może mu sobole? Ja człowiek stary, i przecież coś więcej znaczę, niż taki młokos, a mogę chodzić w szopach!... Eche, moja pani, takeście spysznieli...

Przyszedł wezwany przez matkę Tadeusz i jak się dowiedział, że ma dostać płaszcz szopowy po ojcu, roze - śmiał się prosto w oczy.

— Ja miałbym chodzić w tej staroświeckiej delii, w szopach, które zburzały jak stare psy...

— To idź asan do domu!—rzecze pan Mikołaj do żyda. Potem siadł do obiadu, zasapał się i nic nie mówiąc do nikogo, jadł za dwóch.

Jednak po południu znowu się zjawił ten sam żyd z futrami ale przyniósł już algierki w mieście używane. Tadeusz dał się namówić do przymierzenia i po długich targach, oglądaniu, rozpruwaniu futra, kupił ojciec piżmowce. Matka trąciła syna, żeby starego pocałował w rękę, a Marynia wystąpiła z projektem, że powinien tatko i dla siebie zamienić szopy na inne, porządniejsze futro. Pan Mikołaj się wyprzysięgał, że nie potrzebuje, że dla niego takie szopy dobre, lecz gdy przyłączyła się matka i Tadeusz do tej prośby, dał się namówić i zrobił facyendę z żydem. Naturalnie, sprawiwszy sobie i synowi, wypadło coś kupić dla Maryni; poszedł więc tajemniczo do miasta i kupił dwa płaszczyki zimowe dla żony i córki. Nastąpił jednak lament, że brzydkie, or- dynaryjne, nie modne, a gdy jeszcze do tego krz)ku przyłączyła się i pani Wanda, więc odnosić do sklepu, brać inne, dopłacać z wielkiem krzywieniem się szlachcica; który ani myślał tyle wydawać, jak to się teraz pokazało.

Za ubraniem poszły inne konieczne potrzeby dla domu, a że właśnie tego dnia libty zastawne poszły o 50 centów w górę, więc usłużny wekslarz przyniósł gotówkę za tysiąc reńskich i szlachcic był kontent, że jednocześnie na zmianie listów coś dwadzieścia reńskich zarobił..

Pani Okoniewska nie mogła się nadziękować łaskawym sąsiadom, że pod ich wpływem mąż nabrał ta-" kiego humoru, jakiego już dawno nie miał. Nie zrzędził w domu, nie grymasił i nie narzekał na wielkie wydatki, ale przeciwnie żartował sobie z kobiet, czasem

przyśpiewywał, a raz nawet w niedzielę przyniósł spory pakiet ciast z cukierni.

I w sąsiednim lokalu Paternackicli wszystko inaczej poszło. Kazio, jako osoba kompetentna, pokupował książki do prowadzenia przyszłej rachunkowości spółki, pan Stanisław, dotąd ziewający i znudzony, odżył. Dwa dzieła, traktujące o buchalteryi sprowadziwszy sobie z księgarni, z największą uwagą słuchał wykładu młodego szwagra o różnicy pojedynczej rachunkowości od podwójnej... W trzy dni już doskonale rozumiał, co się ma zapisać w memoryale, co w dzienniku, a co w wielkiej księdze; porubrykował księgę magazynową, założył kasową i wpisał w nią, co jest winna towarom, a co ma u pana Jaskuły w Porębie.

— Wiesz Warjdusiu — odzywa się do żony, która przyszła poprosić go na śniadanie — nigdy nie przypuszczałem, że to jest tak łatwo prowadzić rachunkowość kupiecką... Jak ciebie kocham, doskonale rozumiem wszystko...

— Bo tóż pracujesz tak wiele, Stasieczku—mówi z rozrzewnieniem, siadając obok niego i rozgarnując na czole poplątane bujne jego włosy—odpocznij trochę, nie tak gorąco Stasieczku...

— A, moje życie bez pracy nic się samo nie zrobi. Wierz mi, ja nie żałuję trudu, jak widzę rezultaty...

— Więc gotów jesteś poświęcić się handlowi?

— Gdyby szło dobrze, to i owszem... Przyznam ci się, zajęcie takie jest bardzo przyjemne. Ja nie lubię długo czekać na rezultaty pracy, jak na przykład na wsi gdzie wszystko rozłożone na lata i od przypadku zawisło. Tu przeciwnie: kupił, sprzedał — mam zysk czy stratę i rzecz skończona.

— Wiesz, bardzo mię cieszy, że tak myślisz, bo przyznam ci się żadnej a żadnej nie mam ochoty znowu zakopywać się na wsi i wydawać na obiad dla Maćków i Józków, borykać się z dziewczkami, pilnować kucharza, żeby się nie upił. A tu mi tak dobrze, cicho... Bałam się tylko, czy ty, szlachcic i obywatel, będziesz chciał zrezygnować...

— Z najczystszym sumieniem. Wierz mi Wandziu, ja sobie żartuję z tych naszych klejnotów dawnych... Praca jest dzisiaj obowiązkiem każdego, a uczciwa praca nikogo nie poniża...

— No, a matka twoja jak się dowie...

— Cóż mi matka? Kocham ją, szanuję, ale trudno żebym nie robił tego, co uważam dla siebie za właściwe.. Powiem ci nawet, że radbym służyć zaprzykład. innym i pokazać, że nietylko żydzi, ale i my mamy rozum.

I jakby na potwierdzenie tych przekonań urządzili z Kazimierzem z pierwszego pokoju bardzo przyzwoity kantor handlowy, porozwieszali tablice tekturowe, pod które miały się zaczepiać na gwoździach frachty, awiza, telegramy i t. p. Kazali przy tem zrobić eleganckie stampille i pieczętki, szafkę z przedziałkami na listy podług alfabetu, a że potrzeba było wciąż mieć do czynienia z większemi sumami pieniędzy, zatem po wspólnej naradzie sprowadzono małą kasę ogniotrwałą i ustawiono pompatycznie obok biurka...

Lecz ze wszystkich współników najszcześliwszym może był pan Kazimierz. Marynia, czy wskutek skłonności serca, czy też przez wdzięczność, że ojca przypuszczono do tak korzystnej spółki, witała zawsze młodego inieyatora tak miłutkim uśmiechem, że pod jego

wrażeniem formalnie się rozplęwał. Z natury już wesoły i żywy, teraz stał się niezwykle przyjemnym w jej towarzystwie. Dowcip poprostu raketami strzelał z ust jego, a gdy jeszcze nowy przyjaciel Tadzio, jako domowy, zaczął mu nieco swobodniej pomagać, perłowe ząbki Maryni prawie nigdy nie cłowały się za malinowe usteczka, a stara Okoniewska ze śmiechu trzęsła się jak galareta w fotelu.

Wieczory te, które wówczas przepędzali razem, te długie jesienne pogawędki, miały dla niego niewysłowiony urok, więc dziwić się nie można, jeżeli za to ranne godziny w biurze wydawały się bez końca. O ile mógł, korzystał z każdej sposobności wyjścia na miasto, a wtedy, żeby w którąkolwiek stronę powoływał go interes, musiał parę razy przedelfilować przed oknami swej ukochanej i póty się kręcił, póki nie zobaczył jasnej twarzyczki Maryni za szybą, póki jej się nie jikło- nił i nie poczerwieniał, jak student złapany na czytaniu lekcji z książki ustawionej za plecami kolegi. Do innych kobiet śmiały, czasami nawet zanadto, wobec Maryni nie miał odwagi jednego słówka takiego wymówić, przez które mogłaby się ona domyśleć jego uczuć. Panienska rada mu była, gdy przyszedł, śmiała się, gdy dowcipkował, rumieniała, gdy wypadkiem dotknął jej ręki, lecz o tyle była prostoduszną czy naiwną, że w jego postępowaniu widziała tylko zwykłą towarzyską uprzejmość.

Z innych osób pani Wanda rozumiała wybornie intencje brata, ale w duszy ich nie aprobowała. Podług niej Kazio wart był lepszej żony, niż poczciwa sobie, ale zawsze wiejska gąska Marynia. Tadzio także widział, że pan Kazimierz ma się ku jego siostrze, jak się wyrażał, lecz tyle miał swoich interesów na głowie, że ta rzecz wcale go nie obchodziła. Matka uważała znowu to wszystko za dzieciństwo; Marynia dla niej była jeszcze podlotkiem, więc cieszyło ją, że ma przyjemną rozrywkę w domu, a ona nie potrzebuje robić nowych znajomości. Jeden tylko pan Mikołaj widocznie rzeczy te brał więcej naseryo, bo tak sobie cichaczem, zdaleka, próbował wywiadywać się o sytuacji i widokach na przyszłość pana Kazimierza. Powoli badał pana Stanisława, dowiadywał się w kantorze domu handlowego, jaką pobiera płacę, i musimy przyznać, że rezultat tych poszukiwań, nie bardzo go usposobił do popierania zamyślań młodego kawalera. Najprzód dowiedział się, że nie pochodził z czystej krwi szlacheckiej, albowiem ojciec jego i pani Wandy był aptekarzem w małym miasteczku, w Królestwie. Hm—myślał sobie—dlatego to on ma ten spryt wrodzony do wagi i miary... Dalej, że jeszcze będąc w szkole handlowej w G-ratcu, przepuścił parę tysięcy rubli, które otrzymał w spadku po matce, wreszcie w banku czy domu komisowym, gdzie pracował, płacili mu tylko czterdzieści reńskich na miesiąc...

Skutkiem takich odkryć i używania przez młodego eleganta perfumy paczulowój, od której zawsze szlachcicowi kręciło coś w nosie, Kazio stracił wiele z tej adoracji, jaką Okoniewski miał dla niego z początku.

— Słuchajno matko — mówił raz do żony—niechno on mi się tak nie kręci koło Maryni. To panie dobrodzieju nie dla niej partya...

— Dzieci, dajże pokój, bawią się...

— Piękne mi dziecko! Chłop dwadzieścia siedm lat, wąs jak u huzara, a czterdzieści reńskich dochodu

na miesiąc... Uważasz matko, nasza Marynia trochę więcej warta. Przecie i coś będzie miała i tego...

— No, to i on coś musi mieć...

— Acha, będzie miał panie dobrodzieju—odrzekł szlachcic z fantazyą—chyba trochę pudełek na pigułki, bo słyszę swoje po matce już przepucował w szkołach, a rodzeństwa mieli dużo...

— Pleciesz... a jakżeby do spółki z wami należał?

— Otóż to moja dobrodziejko łaskawa—mówi ciszej — sprawa ta wydaje mi się trochę tego... nie — dokończył, poruszając głową i krzywiąc wyraźnie nosem.— Ja daję pieniądze, no i pracę, bo widzisz sama, że oto chodzę wciąż za tem płótnem na worki; tamten także daje pieniądze i coś tain niby skrybie w rachunkach, a elegant panie dobrodzieju papierosy pali i robi fetor dziegiem, a do trzeciej części także.

— No, ale ty przecie dałeś tylko trzecią część kapitału, prawda? Więc cóż cię obchodzi, że go szwagier do swego działu przypuszcza.

— Prawda, ale zawsze to jakoś panie dobrodzieju nie tak... Ja daję trzecią część i pracę, on nic nie daje, a jednakowo idziemy...

— Dziękuj Bogu stary, że cię przyjęli — ofuknie żona—i siedź cicho.

Umilkł pokonany, lecz nie przekonany, i od tej chwili zaczął się czuć w tej spółce niojako pokrzywdzonym, a z tego znowu konsekwencya, że skoro go mogli raz tak wykierować, więc trzeba panie dobrodzieju być ostrożnym i pilnować rzeczy, bo to różnie bywa na świecie... JJóg wie, co to za ludzie...

Natuialnie, że z temi myślami nie wydał się przed nikim, jednak tego spółnika bez pieniędzy, począł daleko lżej traktować, odzywał się do niego: „a słuchajno ty panie Kazimierzu" i pilnie obserwował zachowanie się jego w interesie... Htn, ubiera się, jak pierwszy dandy, cukierkami szafuje, niby sam cukiernik, a to panie za czterdzieści reńskich na miesiąc... to coś w lem jest!...

IV.

Mimo wejścia w interes zbożowy z Paternackim i spółką, mimo że legawiec Romans nie oduczył się napastować go w uprzykrzony sposób, Fridler przychodził tak samo z cennikiem giełdowym do pana Mikołaja. Czy z powodu, że temu zacnemu izraelicie spółka nie powierzyła czynności zamiany monet, czy też z innej przyczyny, dość, że zachowując wciąż dla pana Okoniewskiego też samą uniżoną życzliwość, wyjaśniał mu wiele drobnostek, odnoszących się do handlu zbożowego, jak to inni kupcy w tem a w tem robią, ile płacą za ekspedycyą na kolei, po czemu kupują worki i t. p. Przytem było tam jeszcze coś tajemniczego między nimi, bo często bardzo, żeby pani nie słuchała ich rozmowy, wynosili się na dziedziniec i tam radzili we dwóch, a czasami przyłączał się do nich gruby właściciel domu, także pewnego rodzaju kupiec, trzymał bowiem piwiarnię, sklepik z tytuniami i wiktuałami.

Naturalnie, że w dalszym ciągu tych narad, pan Mikołaj znowu parę razy, ale już nie tak ostentacyjnie, zajrzał do wielkiego kufra, a mianowicie owej paczki

obwinętej rącznikiem i dość długo porządkował. Jejmość, która znała męża swojego, jak zły szeląg, miarkowała, że coś się robi, bo znowu skala humoru jego zaczęła upadać, w nocy wdychał i kazał Maryni różne cyfry dodawać, mnożyć, dzielić i t. p.

Aż tu jednego dnia zdziwienie tej poczciwej kobiety nie miało granic, gdy około południa pokazali się tragarze żydowscy, niosąc nowy garnitur mebli.

— To nie do nas!—mówi do jednego z nich, który się przyszedł zapytać, gdzie mają zestawić.

— Ale tu, kazał nam zanieść sam pan.

— To nie mój mąż, jabym wiedziała...

— Jakto nie mąż, ja jego znam, taki stary, siwy, z oczyma, co jemu się śmieją.

Wnieśli, a tymczasem zjawił się cały rozpromieniony i sam fundator... Zona zarzuca go pytaniami, a on tylko się śmieje i dyryguje, gdzie się ma co postawić.

— Mikołaju, co ci się stało?... Szkoda pieniędzy...

— No, no, nie pytaj, co się stało... Ja wiem panie dobrodzieju swoje... Dlaczego ja mam mieć stare graty, a tamci aksamity — dodaje, wskazując głową na sąsiednie mieszkanie... Nie bój się, ja z gotówki jednego centa nie ruszyłem i jeszcze jak się nazywa, coś tu zostało...

— Bardzo się cieszę, mój drogi—rzecze uradowana pani —tylko szkoda, żeś kupował bezemnie, bo trze- baby i naszemu Tadziskowi jaki szeslong... ten co ma, taki zrujnowany...

— Zobaczymy... nie naraz Kraków... Widzisz moja matko, nie tylko oni mają głowę do interesów, twój sta

ry taki to niby do niczego szlachcic, a jakoś da sobie radę...

I znowu był dobry humor parę dni, była pierwszy raz także łoża do teatru i jasne rękawiczki dla Maryni.

Tymczasem nadchodził czas odbioru pierwszej partii zboża z Poręby. Fridler przyniósł nowe próbki i wołał na gwałt o worki, bo na wsi mają spichrz mały, a sypać niema gdzie. Kazio z Fridlerem proponowali nabyć starych, które ma pewien kupiec do sprzedania po takiej a takiej cenie.

— Zobaczmy — odpowiada szlachcic z powagą dyrektora — ja także myszkuję od kilku dni i wiem, co gdzie jest... Pójdziemy po południu.

— Jakto wszyscy? — przerywa Stanisław.

— Dlaczego nie?... jest przysłowie nasze, panie dobrodzieju: czego nie dopatrzysz okiem, to dołożysz workiem.

— Sądzę, że Kazio i Fridler mogą się znać na tem...

— ■ Tu, panie dobrodzieju, na workach i ja się może trochę lepiej znam...

— Więc niech pan idzie, obejrzy i kupi — wtrąca Kazio — bo to rzecz pilna.

Poszedł tedy pan Mikołaj, wdrapał się na strych, gdzie go zaprowadzono i zaraz na wstępie nabił sobie guza o belkę... Nie zważając na kurz i zaduch, jakie tam panowały, przełożył własną ręką kilkaset worków, pokazał sprzedającemu wszystkie dziury i wady, poodrzucał mnóstwo niezdatnych, a gdy przyszło do zgody, zaciął się o półtora reńskiego, nawymyślał żydowi, drugi raz palnął się o też samą belkę, zniszczył nowy kapelusz i — nie kupił.

— Ech — panie dobrodzieju — rzecze, wróciwszy z tej komisji — gałgaństwo, szmaty, jakto można polegać na opinii żyda... Tylko, aby okpić, i żebym był nie poszedł...

— Bardzo dobrze — przerywa Stanisław — jednakże trzeba jakieś kupić.

— Co tu długo debatować — rzecze na to — wziąć płótna ze sklepu, kazać uszyć i będą droższe worki, ale mocne i swoje...

— Szkoda nowych — wtrąca Kazimierz — pójdą za granicę, tam pozmieniają, zniszczą. W naszym banku tyle razy to się przytrafiło...

— I na to jest sposób, kupi się taką blachę, każe się wyciąć nazwisko, i naznaczy każdy worek. — Zje licha wtedy, czy mi kto ukradnie znaczony... tak robiłem na wsi.

Uśmiechnął się Kazio, lecz nie chciał się sprzeczać z ojcem Maryni, który widocznie uparł się do nowych worków, więc przyjęto taki projekt i pan Mikołaj z przyjacielem wekslarzem, z którego insynuacji cała rzecz wyszła, udali się do sklepów szukać owego płótna.

Szlachcic nie żałował swej fatygi, zrewidował w kilku miejscach kilkaset sztuk grubego płótna, pona- znał te, które kupił, i oddano worki do szycia.

— A słuchajno matko — nie mogłaby nasza W^Tikta uszyć trochę worków, ht? Ma kto inny brać po trzy centy, niechbyś ty wzięła... każdy grosz coś znaczy... Nie ma co robić wieczorami, a tyle nas kosztuje...

Pan Mikołaj, jak się pokazuje, nie gardził najmniejszym zarobkiem, bo nietylko Wikta, ale cichaczem i obie panie wzięły się do szycia.

Nareszcie zbudowano po tygodniu owych dwieście miechów dowolnej objętości, bo chodziło o to, żeby nie marnować odpadków ze sztuki płótna—potem sam pan wziął się do ich znaczenia. Trzeba przyznać, że pracował jak wół, pędzując sadzami po blaszanym patronie, cieszył się niezmiernie gdy wyczytał na pierwszym worku: „M. Okoniewski i Spółka,” takie bowiem nazwisko kazał wyciąć na blasze.

Doniesiono z Poręby, że zboże zaczyna się czyścić, więc wypadałoby pojechać do odbioru na miejsce. Pan Mikołaj, jakkolwiek sam ofiarował się kiedyś do tej czynności, teraz oburzył się niepomału.

— Cóż u dyabła — pomyślał — wszędzie tylko ja i ja. — Lecz, że jakoś nie śmiał wystąpić z tem jawnie, więc zai akowawszy owe worki, wyjechał do Poręby. Sam zgodził furmankę bardzo tanio, a skutkiem tego ujechawszy milę, zbiedzone koniska ustały. Radząc sobie jak można, większą część worków oddał znajomemu żydowi, który także jechał w tę stronę, z prośbą o odstawienie do Poręby, a sam biedując i wymyślając, na czem świat stoi, już późno w nocy, dotarł do miejsca.

Upłynął tydzień, przymrozki już zaczęły ściągać jesienne błoto i drogi się poprawiły, a o szanownym współniku z Poręby ani słycho. Zniecierpliwiony Stanisław codzień wychodzi wieczorem na spacer za roгатkę, czy czasem nie spotka fur jadących z pszenicą, ale gościniec aż roi się od wozów ze zbożem, a ich pszenicy niema. Tu co targ ceny idą w górę, kupcy się kręcą i nagabują pana Kazimierza, a tu nic.

Pisze tedy Stanisław i wysyła umyślnego z listem: na miłość Bozkfj, przysyłajcie!... Posłaniec wrócił trzeciego dnia dopiero, bo pana Mikołaja nie było w Porębie, jeździł do miasteczka szukać swoich worków, które przez grzeczność znajomy kupiec zabrał na furę i dotąd nie odstawił, gdzie potrzeba. Pan Mikołaj odpisał barszczem na dwóch półarkuszach bibulastego papieru, gdzie skreślił liistorią swojego pobytu i jazdy, i tysiącnych trudności, jakich tu doświadcza. Przez całą pierwszą stronicę wymyśla na żonę i syna, którzy go namówili do zamiany jego szopów na kusy miejski spencerek, w którym nogi mu od kolan ciągle ziębną, potem jak siedzi kamieniem pizy młocarni, która się nieustannie psuje, bo z koła co minutę pas spada...

„Osły nic a nic nie znają się na ustawianiu. Musiałem przez dwa dni dyrygować cieślą i stawiać grund- wagę—dopiero idzie, jak się należy. Wczoraj zaczęliśmy czyścić na młynku, który jest do niczego, kazałem zawołać baby z przetakami, bo arfa z Wrocławia dyabła warta... Czemu nie kupią od Cegielskiego, przecie to nasz i sumienniejszy od Niemców... Oczyszciliśmy kilka korcy i spodziewam się bardzo dobrze, na dowód posyłam dwie próbki, jedną, jak oni chcieli, z arfy, a drugą, jak ja chcę... Rządca się trochę krzywi, że grymaszę, ale ja już taki, że do czego się wezmę, musi być, jak się należy...”

Dalej przez trzy stronice opisuje, jak zastał w polu nowe zasiewy ozime i krytykuje, że pod psem wszystko tu robią, a nie tak, jak on, kiedy gospodarował w Bo- rowicach. Dwie ostatnie stronice zajmuje liistorią zagubionych i szczęśliwie odzuczanych worków, że żyd jak żyd, zostawił je gdzieś w karczynie, że z nich zginęło siedm, że ośmnaście mają przetarte dziury od koła wozu, każdy w dwóch miejscach; wreszcie, że z tego powodu wytoczył skargę do sądu przeciw niegodziwemu ży-

dowi i spodziewa się w przyszłym tygodniu uzyskać termin. O zbożu zaś kiedy będzie gotowe—ani słowa.— „Otóż widzi łaskawy sąsiad dobrodziej — pisze na końcu — co ja się tu naponiewieram i znoszę dla wspólnego interesu, a wy sobie tam siedzicie w mieście spokojnie i wygodnie. Szczęściem, żeście trafili na człowieka sumiennego, który potrafi sobie dać radę w każdym wypadku i który nie dopuści najmniejszej szkody.”

Prócz tak obszernej i wyczerpującej relacji, było jeszcze po wszystkich marginesach kilka dopisków, że obywatel Jaskuła jest bardzo uczciwy, gościnny człowiek, ale nie gospodarz, że wszyscy tu mówią o wojnie na wiosnę, a zatem żeby pszenicy tanio nie sprzedawać; dalej, że wartoby kupić parę tysięcy korcy owsa i że on już za nim myszkuje, a wreszcie, żeby powiedzieć wek- slarzowi tylko te słowa: „anglobanki nicht,” a on już będzie wiedział, co to znaczy... „Próbek, które posyłam, proszę nie marnować i oddać mojej żonie, a ona niech kupi parę kur i pasie..”

Przeczytawszy to Stanisław, ze złości, miał list i rzucił na podłogę.

— A niechże jego dyabli wezmą! — zawoła, chwytając się za głowę—siedzi tam blisko dwa tygodnie, reperuje młocarnie i zamiast zboża przysyła mi próbki.-.

— Daj pokój —rzecze pani Wanda—jemu się zdaje, że on robi jak najlepiej...

Przyszedł Kazio, naradzają się, ale że i on jakoś pobłaźliwie odzywa się o panu Mikołaju, postanowiono uzbroić się w cierpliwość i czekać. Hultaj chłopak miał także w tem swój osobisty interes. Nieobecność starego pozwalała mu daleko częściej zaglądać do mieszkania pani Okoniewskiej, częściej może, niżby to wy

padało. A i tam jakoś nie bardzo wyrzekano na nieobecność pana Mikołaja. Nie miał kto zrzędzić i gadać, nikt ich nie nudził i nie kontrolował, więc schodziły dnie bardzo wesoło i przyjemnie. Marynia w oczach pana Kazimierza z każdą godziną stawała się piękniejszą i miłszą. Pozbywszy się dawniejszej nieśmiałości, teraz rozigrała się, jak małe kociątko. Tysiączne figle i psoty, coraz to miłsze i dowcipniejsze, przychodziły jej do głowy tak, że nieraz matka musiała na seryo użyć swej powagi, żeby ją trochę pohamować. Od rana do wieczora rozlegało się po tych ponurych komnatach nieustanne szczebiotanie naiwnego i żywego dziewczęcia, a gdy wieczorem przyszedł pan Kazimierz, co minutę można było obserwować wybuch serdecznie-wesołego śmiechu, który, zdawało się, jest odgłosem gdzieś w oddali poruszanego srebrnego dzwonka. Z ożywionej i delikatnym rumieńcem ubarwionej twarzyczki tryskała sama tylko pustota, a szafirowe, podobnie jak ojca trochę figlarne oczy, rzucały z pod dużej rzęsy prawdziwie brylantowe iskry. Zakochany i zachwycony takim zjawiskiem pan Kazimierz, stał się prosto jej niewolnikiem, a raczej lalką, z którą wyrabiała niestworzone rzeczy. Ubierała go w czepek na głowę, kazała stroić różne komiczne miny, trzymać na rękach nici do zwijania, szukać kłębka, a matka śmiejąc się z tych figłów, pytała nieraz:

— Moja Maryniu, czyś ty sobie kupiła już pana Kazimierza?

— Tak jest mamusiu, kupiłam i musi robić, co ja chcę.

— Ależ dokuczasz zanadto...

— Umyślnie, żeby wiedział, co to my możemy. Panowie wszyscy są okrutnie zarozumiali i mają nas

za co bądź, niech też ja jedna zemszczę się na nim za wszystkie.

Jesień była w tym roku prześliczna, wychodzono więc c odzień na przechadzkę, a często do teatru. Stara Okoniewska od kilku lat cierpi na nogi, wracając tedy późno, obie z panią "Wandą idą pod rękę noga za nogą, a Tazio, pozujący już na dorosłego kawalera, asystuje pani Paternackiej, bo między kolegami daje mu to pewną wyższość, że nadskakuje pięknej mężatce. Młodzi, jako więcej niecierpliwi, zwykle wysuwali się naprzód, przystawali lub wracali, gdy zanadto oddalili się od reszty towarzystwa.

— Niech pani weźmie mię pod rękę — proponuje raz Kazio, dotąd bowiem chodzili tylko obok siebie.

— A na co mi pańska ręka?

— Będzie pani wygodniej, tak ślisko...

— Ocho, ja doskonale potrafię sama chodzić, mogłabym jeszcze pana prowadzić. Pan myśli, że ja jestem taka niedołączna, jak tutejsze panie?...

Kazio nic nie rzekł, ale przykro mu się zrobiło.

— No jeżeli pan tak chce koniecznie—odzywa się, spostrzegłszy jego zadumę—to spróbujemy...

I wsunęła swoją rączkę pod jego ramię, lecz mimo to nie wróciła do poprzedniej wesołości. Szli, nie zgadzając się w takcie; panna nie miała wprawy do takiego chodzenia.

— Niech się pan stosuje do mnie — rzecze po chwili. — Patrz pan, skaczemy, jak dwa wróble uwiązane na nitce...

— Mnie bardzo dobrze — odpowiada, wzdychając Kazio.—Jabym z panią tak szedł, szedł...

— Aż do księżycy — dorzuca wesoło, widząc jak towarzysz jej zadarłszy nieco głowę, przesyła wzrok swój na księżyc.

— Jeszcze dalej...

— Na miłość Bożką, to chyba już do nieba...

Znowu milczenie, a gdy uszli kilka kroków, pyta ją drżącym głosem:

— A pani by tak szła?

— Bo ja wiem?...

Poczuwszy jednak pewne drżenie ręki sąsiada, zwraca się twarzą ku niemu, jakby chciała zobaczyć, czy się nie gniewa.

— No szłabym, kiedy pan tak chce...

— Ach panno Maryanno—zawoła żywiej, przyciskając jej rączkę do piersi—pani nie wiesz... Boże drogi, kiedy nie umiem powiedzieć tego, co chcę...

— Jak to można? — Ja zawsze wszystko powiem, co mam powiedzieć.

— Szczęśliwa pani, boja nie mogę...

— Ale przymuś się pan... no, bo jestem ciekawa!

— Ze... że... pani mi jest tak... tak droga... jak nic na świecie...

— I dlaczego, proszę pana? — zapytuje nieco pomieszonym głosem.

— ■ Bo ja wiem? Jak panią widzę, jestem zupełnie inny człowiek i czuję tyle szczęścia w duszy, taką radość, tak coś rozkosznego, że niczego więcej, w życiu nie pragnę.

Ręka dziewczęcia coraz silniej zaczyna dygotać pod jego ramieniem, a on przełamawszy pierwsze lody, płynie już pełnemi żaglami na tym odwiecznym oceanie miłości.

— Niech pan tak nie mówi, mój drogi panie Ka

zimierzu, ja się boję... Ach Boże mój, mama tak daleko.

— Więc dla pani przykre mi są moje słowa?

— Doprawdy nie wiem, co mi jest, ale czuję, że mi nie dobrze. Po co pan to wszystko mówił?

— Maryniu najdroższa, słówko z twej strony, jedno, jedyne! Powiedz, czy możesz mnie kochać?

— Ach Boże! Co też pan chce odemnie... Pan przecie wie, że go lubię... ale po cóż to mówić?...

— Dzięki ci moja najpiękniejsza, moja najdroższa!—woła w uniesieniu, przyciskając jej rączkę do ust.

Trzeba nieszczęścia czy szczęścia, że historia ta miała miejsce blisko domu i że właśnie w tej chwili Tadzio, odłączywszy się od starszych kobiet, mijał ich, aby zadzwonić do bramy...

— Cóż tak czule? — pyta ze śmiechem i na tem zakończyło się to pierwsze ich wyznanie.

Całą noc jedną i drugą nie spała Marynia. Dostała bicia serca, matka parę razy musiała wstawać, przygotowując odwar waleryanu, który podług niej ma skutkować pi-zy palpitacyach, a w końcu zdecydowała, aby z powodu takiej wrażliwości Marynia na przyszłość chodziła na same komedye... czule sceny dramatów widocznie jej szkodzą.

Kazio był w siódmym niebie i chociaż bez bicia serca, tak samo nie mógł zasnąć. Najbujniejsza iantazyja poety nie byłaby w stanie wysnuć tylu obietnic szczęśliwości na przyszłość: ile ich młodzieniec przemarzył w ciągu tej nocy, widząc się już obok tej najukochańszej i najmiłszej istoty. Tysiące projektów urzędzenia przyszłego pożycia zmieniały się przed oczyma jego duszy. Roił, jakie- mi to otoczy Marynię wygodami, jak ją będzie ubóstwiał.

spełniając najdrobniejsze życzenia, odgadując jej myśli. To widział się bogatym naczelnikiem domu handlowego, człowiekiem dysponującym milionami, poważanym, czczone • nym i podziwianym, a on to wszystko z prawdziwą rozkoszą serca składać będzie u stóp wdzięcznego i kochającego dziewczęcia...

Maryni przeciwie zdawało się, że popełniła jakiś okropny grzech, coś tak niegodziwego, za co tylko wielki wstyd może ją czekać. Dlatego też, gdy pod jakimś pozorem, niby to w interesie Tadzia, wpadłano do ich mieszkania Kazio—nie mogła spojrzeć mu w oczy i czuła się jeszcze bardziej nieśmiałą, niż przy pierwszym poznaniu. Wogóle, musimy przyznać, że dawna jej pustota i dziecięca, naiwna wesołość — znikły od razu, jakby za dotknięciem czarodziejskiej laseczki. Z dziecka stała się tkliwą, serdeczną, ale poważną kobietą, dla której ten mało ceniony pan Kazimierz stał się uosobioną mądrością i ideałem wszystkiego. Gdy co inówił lub czytał, ona podparłszy główkę na rękę, wlepiła weń swe piękne szafirowe oczy i zasłuchana zdawała się tonąć gdzieś w przestrzeni bez końca, w chaosie nieokreślonych rozkoszy, nie mających nic wspólnego z warunkami codziennego życia.

— Maryniu!—o czym tak dumasz?—pytała nieraz matka, widząc podobne zamyślenie. — Patrzysz i patrzysz na ten sufit, jakbyś chciała liczyć na nim muchy.

— Tak sobie mameczko... o niczem...

— Jakto można myśleć o niczem?... Może jeste-ś chora? Może ci czego brak, powiedz!

— Bardzo mi dobrze moja mamusiu i zdrowiuteń- ka jestem jak ryba...

— Możecie się pogniwiali z panem Kazimierzem?... bo tak jakoś stronicie od siebie?

— Nie, i owszem, pan Kazimierz jest bardzo dobry dla nas... "Widzi mama, co mi naznosił książek do czytania.

— Może za wiele czytasz?

— Przeciwnie mamó, mnie się zdaje, że za mało... Jak słucham rozmowy panów o różnych naukach, tak wstydę się bardzo, że ja nic o tych rzeczach nie wiem i z niczem odezwać się nie mogę... Prawda mamó, że ta moja Koziubińska nic nie umiała i niczego mnie nie nauczyła?

— Dostyc ci i tego...

— Aaa, moja mamó, to bardzo przykro tak mało umieć. Dlatego wzięłam się do nauki i muszę dojść wszystkiego... Pan Kazimierz to nawet więcej wie od Tadzia, a jak on potrafi każdą rzecz gładko wypowiedzieć i objaśnić... Kiedy go słucham, powiadam mamie, zdaje mi się, że oczy mi się otwierają na nowo i zaczynam inaczej na świat ten patrzeć.

Jakoż, czy skutkiem nowego uczucia, czy wykładu Kazia, bohaterka nasza z całym zapalem duszy chciwej wiedzy wzięła się do pracy. Nieraz Kazimierz sam zwracał jej uwagę że źle robi, czytając do późna w nocy.

— Proszę, nie odmawiaj mię pan od tego—mówiła z błagalnem spojrzeniem. — Mnie to tak zajmuje, ja chciałabym, żeby się nikt nie potrzebował wstydzić za moje nieuctwo...

— Zaręczam pani, nie znajdzie się taki... Dla mnie pani jesteś najwyższą doskonałością, jaka tylko istnieje pod słońcem.

— Bo pan jesteś za dobry dla mnie...

— Droga moja, ja myślę, jak tylko ojciec przyjedzie, prosić go otwarcie o twoję rękę... Skoczyła z krzesła, rumieniąc się po same białka.

— Nie rób tego, panie Kazimierzu! —zawołała, składając ręce, jakby do modlitwy. — Jabym umarła ze wstydu, gdyby się kto bądź dowiedział, że ja...

— Więc nigdy nie będę mógł przyznać się publicznie, że panią kocham nad życie...

— Jeszcze nie teraz... Niech będzie tak, jak było między nami. Mój drogi panie Kazimierzu, jeszcze nie... Potrzebuję się upamiętać... Ach, co mnie się zrobiło... Na coś mi pan powiedział... ja nie mogę poznać samej siebie... Czy panu tak źle jest teraz?... Ojciec zdaje mi się, nie bardzo lubi pana... możeby zakazał, a ja doprawdy nie wiem, cobym zrobiła... Nikt, nikt, nie powinien wiedzieć.

V.

Upłynął znowu drugi tydzień, a od pana Mikołaja z Poręby—nic. Tym razem pan Stanisław wyprawił już faktora, żeby tam jakoś 'wpłynął na przyspieszenie przesyłki, zbliżał się bowiem termin dalszej wypłaty panu Jaskule, więc dobrzeby coś odebrać z pszenicy. Fridler spotkał w drodze furmanki, wiozące zboże więc zabrawszy list pana Mikołaja, dowodził o niezwyklej sumienności sprzedającego. Ponieważ zaś w całej stokorcowej partyi niema ani dwóch worków o jednakowej wadze, więc ponumerowane są rubryką podług wykazu. „No, spodziewam się, że będziecie panowie z tej pszenicy kontenci — pisał dalej — i że waga się zgodzi, sam bowiem własną ręką pieczętowałem każdy worek...”

— A dziur tyle jest — przerywa, śmiejąc się Fridler— że chłopci rady sobie dać nie mogą.

— Jakto, przecież nowe worki?

— Cóż z tego, kiedy kilka dni stały nasypane w spichrzu i myszy pocięły.

Następnie pan Okoniewski, jakby to on był sprzedawcą, szeroko i długo rozpisuje się o przeszkodach,

które nie dozwoliły panu Jaskule pośpieszyć z młocką, „bo jużciż przyznacie panowie sami, pisze, że pilniejsza jest orka pod owies na wiosnę, kiedy pogoda służy, albo też i włóczka zasianego żyta po kartoflach. Nie wiele to warte takie późne sianie, ale czasami bywa niezłe żyto, jak do roku.”

Skończywszy sprawozdanie co do pszenicy, donosi dalej, że udało mu się przecie kupić pięćset korcy owsa z odstawą na wiosnę, od bardzo porządnego i uczciwego dzierżawcy po cenie o dwadzieścia pięć centów na korcu niżej, jaka będzie przy odbiorze...

— Któż jego o to prosił?—ofuknie Stanisław, czytając list taki.

— To jaśnie panie po sąsiedzku. Ten dzierżawca jest szwagrem pana Jaskuły...

— Okropność, co ten człowiek robi! Dał już zadatek i przysłał mi kontrakt, żeby resztę pieniędzy wypłacić, Kaziu słyszysz, co on tu pisze... A to co znowu za kontrakt?—mówi, spostrzegłszy drugą terminatkę.— Jakaś umowa o wełnę... Tak jest, pisze, że kupił trzydzieści kamieni wełny z przyszłorocznej strzyży, dał zadatek... i znowu każe wypłacać należność... Ależ on zwaryował, albo jest kompletnym idiotą! Nie znając stanu kasy, właśnie, gdy mamy płacić znaczną sumę za pszenicę, której także nie mamy, wchodzi w tak odległe zobowiązania... Masz Kaziu, czytaj resztę, ja nie mogę... Okropność... ani się zna, ani wie, jaka cena wełny.

— Pisze—odzywa się Kazio, ile można spokojnie— że to bardzo korzystne kupno, że stręczył mu je Dawid najpierwszy agent od wełny.

— No, ten Dawid, co on tu wciąż do niego przychodził— wtrąca Fridler.—Ja też dziwuje się, co jego

tak dawno nie widzę w mieście, a to on pojechał za swoim panem w tamte strony...

— I cóż ty myślisz?—pyta Stanisław Kazia.

— Cóż tu myśleć, zrobił w nasze imieniu, i trzeba przyjąć. Nie wypada przecie współnika kompromitować między szlachtą...

— Kaziu! ja cię nic poznaję! — zawoła z irytacją szwagier.—Taki to kupiec z ciebie!... Ja umyвам ręce i nie akceptuję...

— Nie mój drogi, tak nie można... Napisać mu ostro, żeby tego więcej nie robił, ależ trudno narażać człowieka, działającego w dobrej wierze, na zawód... Stało się .. w handlu solidarność przedewszystkieni...

Rzucał się jeszcze i irytował pan Stanisław a to tem więcej, gdy drugi raz zaczął czytać bazgraninę pana Mikołaja, w której na końcu chwali się jeszcze, że on chociaż sobie szlachcic simplex, a mimo to umie wyszukiwać korzystne interesa i nie siedzi napróżno w Porębie.

Z próbek na targu sprzedano przy pomocy Fridle- ra owe sto workow pszenicy i sprzedano z zyskiem przeszło reńskiego na korcu. Młynarz Niemiec czy żyd dał zadatek i polecił, jak tylko przyjdzie transport, ładować wprost do wagonu. Wekslarz, przyjaciel pana Mikołaja, powiadał mu później, że można było wziąć daleko większą cenę z innym faktorem, bo Fridler umie tylko wziąć faktorne od jednej i drugiej strony, ale na sprzedaży się nie zna.

Już popołudniu nadciągnęły furmanki i skierowano je wprost do magazynu kolejowego... Strach jak te worki poobtykane sianem i słomą wyglądały!... Zewsząd sypało się ziarno, pieczęcie jednak z herbem pa

na Mikołaja przy zawiązaniu trzymały się doskonale — szanowny spółnik nie żałował laku.

Przeszło dwie godziny ściągały się fornalki przed magazyn, a w końcu po zliczeniu pokazało się, że jest tylko worków sześćdziesiąt.

— A gdzie więcej?—pyta Fridler.

— Nie chcieli jechać za te pieniądze—mówi jeden z furmanów, dobywając z zanadru jakąś karteczkę. — Tu pan napisali wszystko.

Stanisław czyta—rzeczywiście, donosi Okoniewski, że w ostatniej chwili chłopci z Jaroszkowiec z powodu zlej drogi zbuntowali się i zażądali po pięć centów więcej na worku, niż była zgoda... Ja wiem, czyja to sprawka! To Arona, propinatora z Poręby, który koniecznie mi się narzucał na entraprenera dostawy furmanek... On ich namówił niezawodnie... Ale ja nie w ciemię bity, żeby mi się dał komu za nos wodzić... Nie chcecie?— to jedźcie sobie z Panem Bogiem... Jeszcze oni sami przyjdą do mnie prosić — a z żydem wdawać się nie myślę; dość ja miałem w życiu od nich...

Ostatni ten czyn pana Mikołaja już nawet nie mógł wzbudzić gniewu pana Stanisława, roześmiał się gorzko i kazał przeprosić kupca, że nie może dać mu więcej tylko sześćdziesiąt worków... Kupiec zajęty odbiorem innego zboża na targu, ani chce słyszeć o tém...

— Kupiłem sto—powiada—to jest pełny ładunek wagonu i muszę mieć sto, inaczej fracht będzie mię kosztował znacznie drożej...

Wdał się w to pan Kazimierz, mówiący dobrze po niemiecku, targ w targ z młynarzem i trzeba było ustąpić z poprzedniej ceny po-trzydzieści centów od korca...

Przyszło do odbioru, Niemiec przychodzi z tak

zwanym sztyclierem stalowym—próbuję pierwszy worek od dołu, a tu pszenica na pół z groszkiem i kąkolem... Zrobił się krzyk, porównywały, z próbką — pszenica też sama, tylko nie czyszczona... Przechodzą dalej od worka do worka i pokazuje się, że w kilkunastu workach pod spodem wsypano może po ćwierci tej nieczyszczonej pszenicy...

— Co to jest, jak to jest! — wola zaperzony Niemiec, a na ten hałas zlatuje się gromada innych miejscowych i kupców, i faktorów, żartują, krzyczą, dziurawią worki, przypatrując się drwiąco panom handlarzom.

Stanisław, nasunawszy kapelusz na oczy, uciekł do domu, a Kazio z Fridlerem poczęli traktować z owym młynarzem. Ani chce słyszeć o zwrocie zadatku, rozrzuca się, wymyśla, napomykając o oszustwie; potem sprowadza jakichś znawców, biorą próbki, pieczętują, piszą protokół czy coś podobnego. Tu śnieg zaczyna padać wielkimi płatami, tu furmani nalegają, żeby składać, bo chcieli przed nocą wyjechać z miasta, a magazynier nie chce przyjąć zboża na skład bez listu frachtowego. Kazio zdesperowany i zawstydzony kompletnie stracił głowę.

Szczęściem, że Fridler mając stosunki z urzędnikami kolejowymi, uprosił, iż pozwolono złożyć na dylach pod ścianą magazynu, i że dostał gdzieś wańtuch dziurawy, którym owe nieszczęśliwe i sypiące się worki po- nakrywano. Naturalnie, że o sprawdzeniu wagi na łuty, jak stało w rubrykowanym wykazie pana Okoniewskiego, nikt nie myślał.

Zmęczony, zablocony i przemoknięty, a jeszcze bardziej zgryziony, wrócił już wieczorem nasz Kazimierz do domu.

— Co się to stało? — pyta niespokojnie siostra, przybiegając do niego—Stanisław przyszedł tak zły, jakim go jeszcze nie widziałam, nie chce nic mówić, tylko zamknął się w swoim pokoju i chodzi wciąż i chodzi... Słyszysz... tak od godziny... A gdzież ty znowu tak się zawałałeś? Kaziu, spojrzysz w lustro, jakże ty wyglądasz? — mówi, spostrzegłszy zacerwienione ręce jego i płaty błota po twarzy i na ubraniu.

Płaczliwym i przygnębionym głosem opowiedział jej pokrótce, co się stało...

— No, to przecie jeszcze nic tak strasznego... A ja myślałam, że Bóg wie co... Dziwny jest Staś, żeby o takie rzeczy tak się martwić. Idź i wytłumacz...

Jak raz na to otworzyły się drzwi od sieni i cała kolonia sąsiadów, matka, córka i syn weszli do pokoju, jako zaproszeni przez panią Wandę na wieczór. Pierwsza Marynia, zobaczywszy tak straszną postać Kazia, nie mogła się powstrzymać, żeby nie krzyknąć, i nie zważając na nikogo, przybiegła do niego.

— Co panu jest, panie Kazimierzu!

— Zabłociłem się przy odbiorze pszenicy — odpowiada, siląc się na uśmiech.

— Ale pan jesteś zmartwiony, powiedz pan, co panu jest?

— Dajże pokój Maryniu z twojemi dopytywania- mi—przerywa matka, zajmując zwykły swój fotel przy stole. — To nie ładnie, żeby młoda panna była tak ciekawą...

— Bo niechno mameczka spojrzysz...

— Bądźcie panie spokojne, nic mi się nie stało —

rzeczce Kazimierz — przepraszam, że pójdę na chwilę przebrać się i zaraz im będę służył...

Usiedli, lecz Marynia nie mogła się uspokoić, a gdy powrócił Kazio, przypatrywała mu się pilniej, niż zwykle i była przekonana, że podejrzenia jej są słuszne.

Podano kolacją, gospodyni starała się ożywiać towarzystwo rozmową, Kazio także silił się być takim, jak zawsze a jednak nie kleiła się gawędka.

— Gdzież pan Stanisław?—pyta Okoniewska.

— Nie wiem, czy ma jakąś pilną robotę, czy słaby trochę—rzeczce pani Wanda — ale kazał przeprosić panie, że później dopiero przyjdzie... Posłałam mu nawet herbatę do jego pokoju...

I byłoby wszystko przeszło bez uwiadomiania sąsiadów o kłopotach sprawionych spółce przez pana Mikołaja, gdyby nie wejście niespodziewane Fridlera, który nie proszony, nie pytany, zaczął opowiadać o wrzawie, jaką narobił ten wypadek między kupcami. Panie zaczęły się dopytywać, jak, co się stało, zkad to poszło— tak, że musiał Kazio, oszczędzając ile możliwości stareg o opowiedzieć całą historią.

— No, ale to drobnostka—kończy uśmiechnięty— ani pan Okoniewski, ani mój szwagier nie są otrzaskani z takimi sprawami i robią sobie wielkie rzeczy...

— Więc cóż będzie z tym kupcem?—pyta z miną żywo zainteresowanego pan Tadeusz.

— On grozi procesem—mówi żyd.

— Ale do czego! — przerywa Kazimierz. — Straci się coś na tem i rzecz skończona.

— On dużo sobie rachuje — znów odzywa się Fridler...

— Co, dużo?... Może kilkaset reńskich? — zapy

tuje znów Tadzio, albowiem porządny ten młodzieniec bardzo pozytywnie zapatruje się na kwestyą strat i zysków ojca, od których zwykle cierpią, lub kwitną jego finanse.—Dobrze tak tacie, mówiłem, żeby się nie wdawał w żadne handle, bo to nie jest rzecz szlachecka... Do tego trzeba się już urodzić...

Matka pociągnęła go za surdut, więc urwał, spojrzawszy jednak znacząco na pana Kazimierza.—Marynia, słuchając tego wszystkiego, aż drżała, wlepiając przestraszone oczy swe w Kazimierza, jak w tęczę. Czuła ona, że sprawa ta może ją oddalić od niego, a z drugiej strony żal jej znów ojca, który i tak z natury zgryźliwego usposobienia, gotów się zamartwić.

— Ale moi panowie trzeba coś zrobić—odzywa się stara Okoniewska. — Powinien ten pan sprzedający zapłacić stratę...

— Naturalnie, że musi—dodaje Kazimierz.

— Wypada, żeby który z panów tam pojechał — radzi faktor—najlepiej pan Paternacki sam.

— Wątpię, czy Staś pojedzie — dodaje żona — i przyznam się państwu, ja sama będę go odmawiała. On jest taki prędki...

— To pan pojedzie panie Kazimierzu, prawda?— rzeczce Marynia, oblewając młodego człowieka błagającym spojrzeniem. — Pan się na tem zna, wytłumaczy pan wszystkim, jak się rzecz miała i panowie się pogodzą...

— Owszem, pojedę zaraz jutro, poproszę dyrektora o urlop, wezmę Fridlera, niech on tam zostanie do pomocy panu Mikołajowi...

— Tak najlepiej... dziękuję ślicznie panu, dziękuję — zawoła uszczęśliwiona panienka. — Prawda, że to

A. Wilczyński.—Tom XX.

jest drobnostka, a pan Jaskółka, czy tam Jaskuła jest podobno bardzo porządny obywatel, pan się z nim rozmówi... i wszystko będzie dobrze...

— Ja, gdybym był na miejscu tego pana—wtrąca sensacyjnie Tadeusz—tobym nic nie dał... przyjęto, zaakceptowano, fakt spełniony... legalnie...

— No, no, ty mądry prawniku—mówi, śmiejąc się matka—nie wszyscy ludzie na świecie rządzą się paragrafami.

— To właśnie źle; gdzie prawo nic wnika w krew i charakter narodu, tam musi zastąpić je zwyczaj często oparty na przesądach.

Byłby może rozwodził się w tej materii, czerpiąc mądrość ze skryptów uniwersyteckich, lecz pani Wanda skręciła rozmowę na inny przedmiot, i musiał dać pokój. Pożegnano się wcześniej, niż zwykle, i goście poszli do siebie.

VI.

Nazajutrz raniutko już zajechał Fridler najętą bryczką po pana Kazimierza, lecz on biedaczysko nie może głowy podnieść z poduszki. Czy skutkiem zaziębienia się wczorajszego, czy też zmartwienia i przykrości, jakich ta sprawa nabawiła szwagra, a której bądź co bądź czuł się promotorem, dostał tak silnej gorączki, że o wyjeździe ani podobna myśleć. Przyszedł pan Stanisław, a widząc co się dzieje, pomimo wczorajszych dąsów, zaczął mu sam perswadować, że to dzieciństwo jest martwić się taką rzeczą, która przecież nie zrujnuje nikogo.

— Ale swoją drogą — odzywa się Kazimierz — trzeba koniecznie, żeby tam ktoś pojechał... Okoniewski dobry człowiek, jednak safandula, a tam zła wiara, czy niedbalstwo...

— Niech jedzie Fridler...

— Nie, on jest ich totumfackim i faktorem. Ach, trzeba mi było jeszcze tego nieszczęścia, żeby zachorować! .. Dreszcze, ból głowy... łamanie po kościach...

— No—odzywa się na to z widocznym przymusem Stanisław — jeżeli koniecznie trzeba, to ja pojedę, tylko już nie dziś...

— Stasiu, nie radzę ci—dorzuca Wanda — jesteś popędliwy, powiesz coś w gniewie i jeszcze wyniknie jaka awantura...

— Dzieciństwo—przerwie małżonek—przecież jak trzeba, potrafię zimną, krew utrzymać. Zresztą jak zastanowiłem się nad tem, to najlepiej będzie o[^]dzić tam obcego człowieka, a tego niedołągę sprowadzano domu

— Tylko daj mi słowo — odzywa się proszącym głosem Kazimierz—że staremu nie zrobisz żadnej przykrości... Uważasz, człowiek w latach, chciał jak najlepiej...

— Stasiu, daj słowo!—dodaje żona.

— Cóż was u Pana Boga ten Okoniewski tak bardzo interesuje, że każecie mi obchodzić się z nim, jak z jajkiem! Wprosił się do nas, protegowaliście go, a ja wam się przyznam, że od pierwszej chwili poznania nie lubiłem go i dotąd nie lubię... Umysł ograniczony, a interesowny, podejrzliwy, zarozumiały... No, no, nie róbcie takiej modlącej miny. Dobrze, daję słowo, nic mu nie powiem, niech tylko wraca ztamtąd... i odczepi się od nas.

Jak nie w smak była ta podróż panu Stanisławowi, to widać z całodziennych przygotowań i krzywień, że tego mu brakuje, to mu będzie niedogodne, w tem zimno, a w tem znowu gorąco i t. p. Zabrawszy tedy futrzane buty, rewolwer, mnóstwo zapasów do jedzenia, pościel, laskę, parasol i wiele innych przyrządów do podróży, wyjechał na drugi dzień parokonnym fiakrem i bez faktora, albowiem zostawiono Fridlera dla pilnowania owych sześćdziesięciu worków, leżących pod otwartem niebem na kolei. Dał mu tylko adres krewnego swego z sąsiedniego miasteczka, którego po drodze ma ugodzić na dozorcę dalszego odbioru zboża.

Tymczasem jak się dowiedziano u państwa Okoniewskich o chorobie Kazia, zaczęto go serdecznie żałować. Biedna Marynia nie mogła sobie znaleźć miejsca w domu. Co chwila pytała się matki o jakieś lekarstwo na przeziębienie, posyłała do apteki, preparowała w ku[^]P[^]i i niosła do mieszkania sąsiadów. Nie skłamię, jeżeli powiem, że regularnie co dziesięć minut migąła się jej szafirowa sukienka we drzwiach kuchni państwa Paternackich, a zawsze niosła to filiżankę jakąś z płynem, który przez drogę łyżeczką chłodziła, to szła niby z poleceniem od mamy, żeby tak a tak zażywał pan Kazimierz, to znowu, żeby się nie odkrywał, lub dowiedzieć się, czy mu lepiej, naturalnie zawsze od mamy.

Pani Wanda, która znała się dobrze na tych poleceniach mamy, uśmiechała się, patrząc na zakłopotane oczy dziewczęcia, a ona[^].rumieniła się ponsem i starała się zagadać swoje ambarasujące położenie. Nie mogąc iść do pokoju chorego, bo to dla obcej panny nie wypadało, odprowadzała aż do drzwi panią Wandę, niosącą lekarstwo, a po jej wejściu niby to oglądała album z fotografiami, leżące na stole salonu, a rzeczywiście nadstawiała ucho, aby dosłyszć rozmowę z jej bratem. Drugiego dnia nawet pozwoliła sobie powiedzieć parę słów upomnienia przeze drzwi, a ta pierwsza próba już później coraz się częściej powtarzała.

Choroba pana Kazimierza nie była wcale groźną,

więc i my jako nie zakochani w nim, przynajmniej w tym stopniu, co Marynia, zostawmy go pod bezpieczną opieką aż trzech dozorczyń i czwartego Tadzia, który przychodził co wieczór bawió go rozmową, a podążmy za naczelnikiem spółki.

Bez przeszkody, z małym przypadkiem pożaru w rękawie od cygara, dostał się do owego miasteczka, gdzie trzeba było zabrać dozorcę do Poręby. Stał w zajeździe, w którym był także handel wi[^]i koi zeni, z salonem bilardowym, a że to dzień targow[^]P miasteczku, więc można wyjątkowo dostać śledzia marynowanego, lub wędzonej kiełbasy na śniadanie.

Zajawszy miejsce przy stoliku w ciemnym kącie pokoju, kazał sobie podać owego śledzia. Przy innych stoliczkach siedziało także kilku panów, zdaje się obywateli z sąsiedztwa, a koło każdego co najmniej jeden oberwany żyd z leszczynową laską, jako faktor i totumfacki, odbierający różne rozkazy jaśnie pana.

Obecni rozmawiali głośno podług zwyczaju, nie troszcząc się, czy ich kto obcy słyszy lub nie.

— A już to sąsiedzie dobrodzieju — mówi jeden tłusty, z przystrzyżonymi siwymi wąsami, do drugiego chudeilawego, z czarnym zarostem i skrzywioną miną— trzeba mieć takie szczęście, jak ten Jaskuła.

— A bo to jego głowa, to rządca mu tak wszystko myszkuje...

— Niechby i rządca, ale zawsze to szczęście... Z Porębą już było bardzo krucho, już wisiała licytacya, a powiem sąsiadowi dobrodziejowi nawet ostrzyli sobie na nią zęby niektórzy.

■— Któż taki? —pyta ciekawie brunet.

— A "któżby, jak nie mój szwagier — odpowiada pierwszy. — On panie dobrodzieju do takich rzeczy ma węc... I wiesz sąsiad dobrodzieju, cieszy mnie nie to, że się Jaskuła wykręcił, bo za rok, dwa, przyjdzie znowu toż samo, ale że mojemu kochanemu szwagierkowi nos się opuścił, ale to tak mości dobrodzieju, dotąd— kończy, pokazując ręką na piersi.

— I cóż to za jedni tacy dobrodzieje, że go uratowali... Słyszę, podobno jacyś nowicyusze?...

— Hultaj Fridler zwał, że mają pieniądze i ubrał ich — mówił ten gruby, śmiejąc się seide- cznie. — Kupili dwa tysiące korcy pszenicy... Trzeba być osłem panie dobrodzieju, żeby z Poręby kupić i dać z góry pieniądze za tyle pszenicy, kiedy tam jak Poręba Porębą, nigdy połowy tego nie zbierali...

— Słyszałem, że mają ładny urodzaj, chwalił się rządca.

— Śmiej się z tego, kochany sąsiedzie... Ja o granicę, to wiem każdą kopę, jak ją zwozili, a groszku i ką- kolu to pół na pół... Nie było za co wyleć w swoim czasie, potem przyszła susza i basta...

— Jednak proszę, łaskawego sąsiada dobrodzieja—odzywa się ten czarny jegomość—mogą sobie napytać biedy...

— Jakiej?... Kontrakt napisał rządca około, rozumiesz sąsiad dobrodzieju, około, to jest bardzo szerokie wyrażenie...

— No, ale pieniądze trzeba zawsze oddać...

— Zapytaj kiedy? — zaśmiał się zagadnięty spoglądając w oczy drugiemu.—I w tem cała sztuka.

— Będą go procesować...

— Wielka rzecz dla Jaskuły... Mało ich to ma! Słyszę, płaci adwokatowi już rocznic... Zahypotekują na

Poiebie i muszą czekać z małym procentem... Ot, w tein głowa i interes, a tymczasem spłaciło się Briinera i mojemu szwagrowi figa...

Można sobie wyobrazić położenie naszego Stanisława, kiedy słuchał takiej rozmowy. Skóra mu cierpła na całym ciele, ręce mimowoli zacisnęły w pięście, a z oczu strzelały pioruny. Lecz nie na tem jeszcze koniec, bo właśnie w tej chwili pokazał się trzeci, małego wzrostu, z twarzą okrągłą i czerwoną, jak jabłuszko. Nowoprzybyły ubrany jest w krótki kaftan z wielkim lisim kołnierzem, który żółci się na nim, jakby obsypany był jesiennymi liśćmi klonu... Nie chce usiąść na zaproszenie tamtych, tylko drepcze wciąż drobnymi nóżkami i zaciera ręce...

— Cóż to sąsiedzi łaskawi tak na sucho... warto- by się co napić... Zima jakoś wcześniej bierze, he? — mówi nowoprzybyły.

— Albo oni tu mają co dobrego!

— Jest tu jeden zieleniaczek wcale dobry, tylko jeżeli jeszcze nie wypili.

— A któż funduje?—pyta ów cliuderlawy.

— Kto? — mówi, stojąc na środku ów do jabłuszka podobny, wskazując palcem na swoje piersi. — Ja panowie dobrodzieje, ja, Jacenty Rozturchała, do usług...

— A to z kąd ci się wzięła taka hojność? — rzecze ów starszy.

— Wiedźcie o tem, że dwa dni temu sprzedałem wełnę...

— Starą?

— Ale gdziebym ja tam dotrzymał starą do tego czasu, nową, z przyszłorocznej strzyży...

— Jeszcze wełna na baranie, a już szlachcic pije na nie—zawoła siwy.

— I po czemu?

— Trzydzieści pięć za kamień — mówi figlarnie, zasłaniając sobie pół twarzy dłonią, jak to czynią aktorzy, kiedy mówią na stronie.

Obaj słuchający zerwali się z krzesel.

— Słuchaj Jacusiu, nie żartuj... Twoja wełna najwyżej dwadzieścia dwa reńskie za kamień.

— Dali, zapłacili, cóż robić — odpowiada z miną niewiniątka... Hej, hej, Pawełek! — woła do sklepu.— Przynieśno butelkę zieleniaczku tego, co to wiesz—rozkazuje pobrudzonemu i rozczochranemu wyrostkowi, który się zjawił na to wołanie.—Ty, uważasz mi smyku, tego samego, bo za okno wyleję...

Chłopiec pochwycił z kąta rozszczepany kijek, w którym tkwiła zakopcona łożówka i otworzywszy klapę w podłodze w tym samym salonie, spuścił się do locliu.

— Któż to kupił?

— Może ci sami, co w Porębie?

Pan Jacenty kiwnął tylko głową na znak potwierdzenia.

— Ależ to Krezusy jakieś, jak Boga kocham! — zawoła gruby jegomość. — A dajcież mi ich, gdzież oni są, niechże też i ja co sprzedam... Możeby kupili parę stogów siana...

— "Wystawcie sobie, byłem w tarapatach... Trzeba mi pięćset reńskich na gwałt dla chłopaka, który stoi u profesora na stancyi, a tu ani rusz... Kruty, werty, już chciałem wołać Berka o jęczmień, bo nic innego nie mam do sprzedania, ale ociągam, bo Herod ten kazałby

sobie zaraz młócić, a ja nie mam czasu... Aż tu przyjeżdża Dawid...

— Ten stary cygan...

— Cygan nie cygan, jednak zrobił... Sprzeda jaśnie pan wełnę? Sprzedam, albo co? Mam kupca... Żartujesz... Auf meine munes mam... On czeka w karczmie, obywatel, co on chce handlować wełną... Dawaj go... Tylko, powiada, niech jaśnie pan z nim nie tak, jak z naszym, on jest delikatny pan... Przyprowadził go...

— Zkądże?—pyta ów brunet.

— Z Poręby, on tam siedzi od paru tygodni i odbiera zboże od Jaskuły... Ja, panie dobrodzieju, zaraz, wódeczki, śniadanko, cygarko, patrzę, jakiś poczchuna i gaduła. Opowiada różne swoje historie, jakie miał z żydami i adwokatem o dzierzawę... Potem zaczyna

o wełnę. Mówię mam do sprzedania. Każę przyprowadzić barana, oglądają, wycinają próbkę, stary nawet patrzy przez szkiełko, jak to mają zegarmistrze, i mówi co ja chcę? Na chybił trafił powiedziałem czterdziesiąt, targ w targ, ubiliśmy na trzydzieści pięć, dał zadatku trzysta a reszta pieniędzy na jutro...

— To się orznął biedaczysko...

— Kto wie, może oni mają takich kupców, gadali coś, że poszłą do Amsterdamu...

— Winszuję—rzecze brunet—sąsiad zrobiłeś kapitalny interes... Teraz wziąć pieniądze bez procentu

I taka cena...

— No, nie wszystko to dla mnie, Dawidek tego mię obdarł.

— He?

— Pięć reńskich od kamienia, ale cóż robić!

— I któż to są ci nowi kupcy w naszych stronach?—pyta znowu chuderlawy, targając sobie brodę z niecierpliwości.—Że ja też nie mogę na nich trafić!

— Jedź sąsiad do Poręby, tam siedzi ten mój

stary.

— A reszta?

— Drugi ma być jakiś pisarz z banku, młody fanfaron, tak powiada Dawidek, a trzeci obcy, z grubetni pieniędzmi...

— Niemiec?

— Nie, nasz. Sprzedał majątek w Królestwie i chce handlować.

— Jeżeli tak dalej będą iść, to niedaleko zajdą...—konkluduje gruby, nalewając wino do kieliszka.—A szkoda panie dobrodzieju, bo jak się jeden, drugi sparzy, to nigdy nie wyjdziemy z rąk żydowskich... Powiadają, że straszny popłoch stał się między nimi, i odgrażają się, że ich tak powikłają, że stracą...

— Jużciż sąsiad dobrodziej daruje—mówi pan Jacenty, próbując wino i przyglądając się kieliszkowi do światła—że nikt nie będzie od siebie, ale do siebie... Co tam, wypijmy zdrowie Dawidka...

— Nie, już wolę tej nowej spółki—odzywa się poważnie starszy z białymi wąsami...

— Zgoda, spółka niech żyje! — zawoła pan Jacenty...

Nasz Stanisław już nie mógł wytrzymać dłużej. Śledzia ani tknął, lecz zasłoniwszy się, jakby ze wstydu kołnierzem futra, szybko przebiegł pokój, a zapla-liwszy w sklepie, co się należało, kazał zajeżdżać powozowi.

— To ja, proszę jasnego pana, co pan posyłał—

zaczepia go w sieni jakiś mizerny, piegowaty, z ryżemi włosami żydzina, widocznie krawiec, bo jeszcze ma pasemko czarnych nici zarzucone na szyi.

— Czego ty chcesz odemnie?

— Ja jestem Fajwel, krewny Fridlera, on pisał, co ja mam jechać do Poręby.

— Ty?... do Poręby?—mówi nieprzytomnie Stanisław.—Niepotrzeba!—krzyknie, spoglądając marsem na owego biedaka, i wskoczywszy prędko do powozu, każe jechać.

Trudno mi tu opisać walkę wewnętrzną tego człowieka, jaką staczał sam z sobą podczas tej mili drogi, dzielącej go od Poręby. Co chwila podskakiwał na siedzeniu, rozpinął futro pod szyją, zdejmował czapkę, wychylając głowę na zewnątrz a z ust jego sypały się urywane słowa szyderstwa na siebie i swoich spółników. Kie tyle mu chodziło o straty materyalne, ile o wstyd, że się stał przedmiotem żartów publicznych, które musiał z taką rezygnacją wysłuchiwać. Gdyby choć jedna setna część pogrózek, jakie wówczas miotał na żydów, na Kazia i tego niedołęgę Okoniewskiego, na żonę i cały kraj, spełniła się kiedy—większa część tych osób już dawnoby świętą ziemię gryzła, a on sam siedział w więzieniu do samej śmierci...

Szczeńciem dla niego i tych wszystkich zagrożonych, że droga z miasteczka do Poręby była jak najha- niebniejszą, i konie ledwo noga za nogą wlec mogły ciężką dorożkę, zbudowaną do jazdy na bruku. Miał więc czas wysapać się należycie, nim zobaczył z daleka rysujący się dwór w Porębie, ozdobiony dwoma szkieletami suchych topoli.

Ostatek wewnętrznej burzy, chociaż już bez pio runów, rozwiął się na stoku góry, wiodącej do pańskiego przybytku, góry o glebie gliniastej, lepkiej, którą z powodu zupełnego ustania koni przebywał pieszo w wielkich futrzanych butach. Co zrobi dwa kroki to musi stawać, a wyłamawszy kij z płotu, oczyszczać nim żółtawe i piętzące się bryły gliny... Nareszcie zmęczony, oblany potem, dobił się przecie do starej bramy z daszkiem, wiodącej do gumien. Tu już ziemia była porośnięta zwiędłym trawnikiem, więc lżej mu iść ku otwartej stodole, w której kilka wiejskich kobiet na środku klepiska podsiewa przetakami pszenicę.

— JVIoje kobiety, a którą do dworu?

— Niech pan idzie koło obory na prawo, jest tam przełaz do sadu, a z sadu to już prosto...

— Psów niema?

— Bogać tam niema, jest tego moc — odzywa się jedna — ale może karbownik wielmożnego pana zaprowadzi.

Karbownik, którego proponowała kobieta, spał między snopkami, zasłonięty połową wrót, żeby na niego nie wiało, i dopiero zerwał się na równe nogi, gdy nań zawołano.

— Mój przyjacielu, zaprowadź mię do dworu, bo podobno złe psy inacie.

— Ech, one ta nie gryzą, tylko szczekają...

— Zawsze proszę cię...

— Nie mogę wielmożny panie odejść ze stodoły, trzeba pilnować.

— A jak śpisz, to co?

— Ho, ho, wielmożny panie — mówi pociesznie uśmiechnięty—ja tam niby śpię, ale ja wszystko widzę, co się dzieje.

Jtdnak dał się namówić i wzięwszy w opiekę nieznanego, po pod ścianami budynków, odpędzając psy i głosem, i laską, szczęśliwie dostawił go do ganku. W sieni nie było żywej duszy, w pierwszym pokoju także; nie wiele tedy myśląc, zaczyna się pan Stanisław rozbierać sam, chociaż mu to przychodzi z ciężkością. Złożywszy futro, szal, zabłocono buty futrzane, już zupełnie uspokojony, puszcza się na dalszą wędrówkę. Przechodzi wielki salon jadalny, z podartymi, brudnymi i wygniecionymi sofami, dałj pokój, zdaje się, kredensowy i tu zastaje także drzemiącego na zydlu, kogoś w rodzaju lukaja. Rozbudziwszy go z trudnością, zapytuje o pana Jaskułę.

— Nie wiem, czy jest, a jeżeli jest, to śpi w kan- celaryi.

— Możeby go obudzić?

— Nie można proszę pana, strasznie się gniewa

o to.

— A długo on sypia?

— Jak czasem, ale prawie do samej kolacyi.

— Gdzież tu jest ten pan, co to zboże odbiera, ten stary z miasta, albo może pan rządcą?

— Ten stary stoi w oficynie, ale on najczęściej u naszego starszego pana tam za salą.

Pewnie tam

I rządcą jest, grają w karty, bo starszy pan lubi ciepło i pali mu się dwa razy, to do niego się schodzą.

Stanisław przeszedł ową salę paradną, także obdrapaną, pustą i zimną, a ztąd już łatwo trafić do pana Mikołaja, bo właśnie rozlega się jego wesoły śmiech przez jedne z trzech drzwi, prowadzących ztąd do dalszych pokoi.

— Jak mi Bóg miły, skroję ja wam kurtę, o skroję...

— No graj pan!—słysząc głos rządcy—na co tyle preludyj... Ile?

— Ośm... nie, przepraszam, dziewięć bez atuta.

— Nie wolno się poprawiać!—zawoła ti'zeci nosowym tonem.

— Na więcej wolno, mniej nie wolno...

Właśnie w tej chwili wszedł pan Stanisław, ale panowie, siedzący w drugim końcu przy piecu podłużnego pokoju, wcale go nie słyszeli...

Okoniewski czerwony, jak burak, zr rozpiętą kamizelką, a cygarem w ustach, trzyma wachlarz kart w rękę i tak się śmieje rozkosznie, przypatrując się zakłopotaniu partnerów, jak dziecko kiedy dostanie karmelek i drugim się przekomarza. Aż tu naraz, chrząknąwszy dobitnie, zbliża się pan Stanisław do stolika i staje naprzeciw niego. Szlachcic przypadkiem spojrzał, oczy wytrzeszczył ze zdziwienia i zerwawszy się nagle z krzesła, przyskoczył do wspólnika.

— Złoto, srebro widziałem, jak mi Bóg miły, to pau Paternacki! A witajip dobrodzieju kochany. Prę- dzejby się śmierci spodziewał...

Powstał i rządcą nieco zakłopotany, przywitał go także, a tymczasem trzeci gracz, staruszek o dużym spiczastym nosie i opuszczonej wardze, zgarbiony, pomarszczony, jak pieczone jabłko, ani spojrzawszy na przybyłego, szybko przegląda zostawione na stole karty pana Mikołaja.

— Za pozwoleniem panowie!—zawoła-przyskaku- jąc do niego Okoniewski—jakże to można?...

— Ja tylko tak... nic nio szkodzi—odpowiada sta

ry, rozwieszając kolorową chustkę od nosa na poręczu krzesła.

— Jakże tam w domu, dobrze? — pyta Mikołaj, chowając swoje karty do kieszeni, kiedy rządcą podaje krzesło i częstuje Stanisława cygarem.

— Dziękuję, dopiero co paliłem...

— Bierz!—mówi ciszej, trącąc go Mikołaj — to zagraniczne...

— W domu u pana wszyscy zdrowi...

— He, zdrowi, to dobrze, a interes jak?

— Nie bardzo—odpowiada Stanisław—i to właśnie tutaj mnie przypęda.

— Czy to warto na taką flagę... Ja mości dobrodzieju całe rano siedziałem w stodole przy podsiewa- ezach i tak jakoś przeziębłem, że do jegomości naszego na ogrzanie i skleciliśmy sobie małą puleczkę... Pszenicę sąsiad dobrodziej odebrał, co? Prawda, że jak szkło, he?

— Szkoda, że tylko 60 worków...

— Jutro idzie czterdzieści, już nasypane, zważono i zapieczętowane... Taki mości dobrodzieju przetrzymałem chłopów i przyszli sami się prosić. Dodałem im te pięć centów od worka, ale na wódkę z łaski. Ja tak zawrze wytrzymam i na swoim postawię.

— Mieliliśmy dosyć kłopotu ze sprzedażą tak małej partyi, która ładunku wagonu nie stanowi — rzecze Stanisław — ale gorsza sprawa, że zboże nie jednakowo we wszystkich workach...

— Co? niejednakowe!—zawoła pan Mikołaj, śmiejąc się szeroko.—Ja je sam nusypywałem.

— W siedmnastu na spodzie jest inna pszenica z kąkolem i groszkiem... Ot masz pan—mówi, wyjmu

jąc na stół pakieciki.—Rzecz sprawdzona przez biegłych i w protokule opisana...

Rządcą, który przez cały czas rozmowy panów milczał i chrząkał, szukając szklanki do napicia się wody, teraz uznał właściwem odezwać się do nich:

— My o tem nic nie wiemy... Może w drodze co się stało...

— Ale nie może być!—powtarza Mikołaj, rozwijając pakieciki. — My zaraz tę rzecz sprawdzimy... Piotrze!—woła na służącego—słuchajno, niech tu przyjdzie karbowy, on był świadkiem.

Nim przyszedł wołany, pan rządcą, człowiek jeszcze młody, z twarzą wąską, podobną do charta, ogląda także próbki, rusza głową i uśmiecha się ironicznie.

— To furmanów sprawka, oni do takich sztuk chwaty... Trzeba pilnować, panowie jeszcze nie mają w tém doświadczenia...

Ten sam karbowy, którego pan Stanisław zastał śpiącym w stodole, widocznie stary wyjadacz dworski, staje w postawie żołnierskiej przy drzwiach.

—• Słuchajno, Błażeju—'mówi z powagą Okoniewski, przystępując do niego — tylko mów szczerą prawdę. Kto nasypywał pszenicę do worków?

— Wojtek i Mateusz...

— A widzisz, że kłamiesz, bo i ja...

— Tak, niby i wielmożny pan trzymał worek, kiedy oni wysypywali z ćwierci.

— Panie Okoniewski — przerywa Stanisław—na co to wszystko, fakt jest.

— Ale proszę mojego pana, tu idzie o czystą prawdę — występuje niejako w roli adwokata rządcą

A. Wilczyński—Tom XX.

G

w Poivbie.—Mów Błażeju dalej, ileś my tych worków razem nasypali?

— Ha, może ze czterdzieści...

— Znowu kłamiesz, bo całe sześćdziesiąt!

— Bez obrazy wielmożnego pana, ja dobrze pa* miętam, bo sobie kreski stawiałem kredą na belce. Nie było więcej czterdziestu, kiedy wpadł Wałek od kucharza i zawołał, że lis jest w sadzie. Wielmożny pan poleciał do dwora po strzelbę, a ja też po psy...

— Prawda, prawda... Wystaw sobie sąsiad dobrodziej, stare lisisko zakradło się nocą do kurnika i nie mogło trafić napowrót na dziedziniec, tylko dostało się do ogrodu, który jest wysoko oparkaniony. Na dzień przycupnęła kanalia pod przycieś, ale nasze pieski jakoś go zwęszyły. Heca tśz to była, heca, jak mi Bóg miły. Ja ze strzelbą, Błażój psy założył od obory, a on robi takie szprynce i chce koniecznie przeskoczyć ogrodzenie, że dalibóg warto było patrzeć... Aż w końcu przypuszczam ci go panie dobrodziejku na sztych i paf... Zobaczysz sąsiad u mnie w pokoju skórę, to jakby z kozła jakiego, a nie z lisa...

Po zakończeniu tego epizodu, znowu wszyscy trzej zwrócili się do pana Stanisława, że tylko chłopci odmienili w drodze, bo tutaj nic podobnego stać się nie mogło.

— Ależ moi panowie — rzecze podniesionym głosem Stanisław — ja tu nikogo nie chcę obwiniać, lecz trudno składać na furmanów, kiedy worki były zapieczętowane, a pieczęcie nienaruszone.

— A ja tak pieczętuję! Sześć lasek laku wyszło...

— Więc na co czas tracić na próżne domysły, proszę więc pana — mówi Stanisław, obracając się do rządcy — każ uwiadomić dziedzica, że chciałbym się z nim widzieć.

— Teraz śpi. Ale na co tu dziedzica, pretensya pana dziwna. Oddajemy zboże na miejscu...

— Umowę zawierałem z panem Jaskułą i dlatego darujesz pan, muszę z nim o tej sprawie pomówić. A że nie mam czasu czekać, nim się pan Jaskuła raczy obudzić, więc proszę, każ pan to zrobić...

Stanowczość mowy Stanisława zaimponowała rządcy, błysnął tylko złośliwie oczyma i wyszedł, a za chwilę powrócił z zaspanym Jaskułą. Jest to wysoki, chudy i jakby połamany mężczyzna, z wyrazem oczu, oznaczającym coś bezmyślnego, jednak z manierami wielkiego pana. Dość lekceważąco przywitał Stanisława i zaczął toż samo, że to są dziwne pretensye...

— Panie, ja tu nie przyjechałem na dysputy, ani słuchanie pańskich morałów, tylko upomnieć się o swoje prawa kontraktem zastrzeżone.

— To pan rządcza załatwi...

— Ja nie znam tu nikogo, tylko tego, kto umowę podpisał — rzecze, ledwie hamując gniew swój Stanisław. — Nie dajesz pan satysfakcyi, my wstrzymujemy dalszą wypłatę i żądamy rozwiązania kontraktu, zwłaszcza, że dotąd powinniśmy mieć oddane 500 korcy, a mamy 60.

— ■ Nie nasza wina, nie było worków — dodaje rządcza.

— Jest tu dwieście, zresztą proszę mi w tej chwili wydać zboże, a ja dostarczę worków.

— No, a macie?—zapytuje dziedzic rządcę i karbowego.

— Oprócz tych stu wj danych, zbierze się ze siedm- dziesiąt...

— No więc któż nie dotrzymuje terminu?

Jakoś po tym argumente i po licznie zamienionych spojrzeniach dziedzica i rządcy między sobą, naraz przypomniał sobie gościnnie pan domu, że pan Stanisław przebywszy tak uciążliwą drogę, musi być głodny. Wołaj Piotra, każ robić naprędce befsztyk, pomimo zapewnień Paternackiego, że nie jest głodny.

— No, zresztą o co idzie między nami? O tych kilka koicy pszenicy nieczyszczonej— odzywa się dobrodusznym tonem Jaskuła — to się doda panom bez pre- tensyi.

— ■ Otóż tak mi się nazywa po naszymu, po obywatelsku! — zawoła, ściskając rękę dziedzica nasz Mikołaj. — Mówię kochanemu spółnikowi, że to złote serce... No, no, już zgoda, podajcie sobie ręce i basta!... Jak mi Bóg miły, nie wiedziałem, że pan Stanisław taki gorączka!

Były tam jeszcze kwestye o kosztach czyszczenia, nasypywania i przeważania, ale rozochocony szlachcic chodził od jednego do drugiego i głaskał po plecach powtarzając:

— No, no, no, jakoś to się pogodzimy, co tam...— więc i Paternacki musiał złągodnieć i przyjąć gościnność w domu Jaskuły.

Wieczorem jednak, kiedy się znaleźli obaj spółni- cy w pokoiku pana Mikołaja, Stanisław, zaczyna mu rozpowiadać wszystko, co słyszał w oberży.

— Ale śmieję się pan dobrodziej z tego! Już to pomiędzy naszym obywatelstwem jest tak brzydka wada, aby drugiemu łatkę przypiąć, czy jest, czy niema za co.

I ja też panie w ciemnie nie jestem bity i spenetrowałem stodoły po folwarkach... Pszenica będzie, niech się pan dobrodziej nie boi.

— ■ Jednak uważałem za swój obowiązek prze- strzedz pana, póki czas, to jest, póki nie wypłaciliśmy wszystkich pieniędzy...

, — Ech, strachy na łachy!... To są ludziska poczciwi z duszą i kośćmi, choć ten Jaskuła pan z panów i zawsze powiem, lepiej z nim być dobrze i delikatnie, niż stawać sztorcem. Mówię łaskawemu sąsiadowi, jak oni mię tu szanują i przyjmują—w rodzicielskim domu nie byłoby mi lepiej. Sam Jaskuła, chociaż wdowiec i małomówny, ale zacności niesłychanej. My tu we czterech, to jakby bracia... No, no, niechno sąsiad dobrodziej nie kiwa głową i nie wątpi, bo jakby co do czego przyszło i nasze pieniądze były zahaczone, to ja panie dobrodziej sam wezmę na siebie, a oni mi krzywdy nie zrobią.

Poprzestał więc na tem Stanisław, lecz zaproponował, czyby nie żądać zmiany umowy, żeby im dopłacić na furmanki, a oni odsyłali już zboże.

— Na co? Cóż to ja nie znajdę furmanek?

— Jakoś dotąd wolno to idzie, a szkoda, ceny dobre...

— Bo to i to worki bruździły, o które mam sprawę w sądzie i ta niegodziwa młocarnia... Widziałem, że nie mogli.

— Panie Okoniewski — rzecze na to z uśmiechem Stanisław — pan te rzeczy bierzesz jakoś zanadto po obywatelsku, a nie po kupiecku. Dlaczegoż my mamy tracić, że oni mają złą młocarnię?

— No, a sumienie?... Czy to człowiek z kamie

nia? O ceny się pan nie bój, nie spadną, nie. Prusak nie da spokoju Francuzowi i na wiosnę pewna wojna. Proszę mnie wierzyć, ja człowiek stary i na tem się znam.

Wypadało wreszcie powiedzieć panu Mikołajowi i o tej wełnie... Lecz, zaledwie parę słów wyrzekł, a szlachcic przerywa:

— He, he, to już żydowska intryga przeciw Dawidowi. Oni się nie cierpią z Fridlerem i nagadał panu... A ja daję słowo uczciwości, że Dawidek więcej wart, niż oni wszyscy razem.

— Jednakże wziął po pięć reńskich łapowego na kamieniu.

— Fridlera gadanie...

— Daję panu słowo, że słyszałem to przed godziną z ust samego sprzedającego...

— He, ho, he, niechże i tak będzie...

— Mówię na seryą, proszę mi wierzyć! — zawoła nieco żywiej Paternacki.

— Fridler potrafi każdego namówić, bo to faryzeusz, jakich mało na świecie... Ja się na wełnie znam, sam chowałem owce tyle lat i ta jest więcej warta, niż 45 guldenów za kamień, a ceny jeszcze pójdą w górę na wiosnę... Mundurków potrzeba będzie dla Prusaczków, mundurków! Zresztą ja pana dobrodzieja przekonam gazetami! Ot tu stoi—mówi, wydostając z kieszeni obszarpane numera Nowej I'ressy—w Berlinie tak, w Amsterdamie tak, w Peszcie tak... a z Australii nic nie będzie w tym roku, bo była susza i owce klapnęły...

— Być może, że tak jest—przerywa mu Paternacki—jednak wypadało nas się przynajmniej zapytać...

— Alboż to ja nie wspólnik?

— Kiedy nie o to idzie...

— Czy tak samo panowie nie kupiliście tój pszenicy bezemnie?

— Wtedy pan nie był wspólnikiem...

— A teraz jestem, no!—mówi dalej podrażnionym nieco tonem.—Przecież i panowie sprzedajecie także na targu bez mego pytania... Acha prawda? Widzi pan dobrodziej, tak znowu nie można kontrolować drugich... Bazem, to razem...

Długo jeszcze musiał Stanisław czekać, nim potrafił wzburzonemu szlachcicowi wytłumaczyć, że tu nie idzie o jakąś, władzę, ale o fundusze, których może nie być w kasie.

— To niechby pan Kazimierz dał także swoją część...

— On już dał, wszak my dwie trzecie, a pan je- dnę trzecią...

— Ech, bo to tam on dał...

— Kto dał, to dał, ale pieniądze są i pana to nie obchodzi.

— Licha tam... Zawsze to jakoś dziwnie; nic nie daje, a do trzeciej części...

Na tym punkcie niepodobna było przekonać szlachcica, więc dawszy mu za wygraną powtórzył swoją uwagę, żeby na przyszłość bez zapytania się o stan wspólnej kasy nie robił nowych zobowiązań.

— Wielka historia!—zawoła rozdrażniony—to ja sam zapłacę resztę i wełnę biorę na siebie. Interes pewny, jak bułka za grosz. Ale co mi to za spółka, gdzie dwóch rządzi, a trzeci musi słuchać jeszcze takiego, który nic nie dał... Bo niech pan dobrodziej, co chce mówi,

ale w tych plotkach i pan Kazimierz musiał rękę umoczyć; to taka przyjaźń z Fridlerem...

Pomny danego słowa żonie i Kaziowi, Stanisław tylko zęhy zacisnął i nie starał się więcej przekonywać szlachcica, że jego podejrzenia najmniejszego nie mają sensu, jednak w duszy musiał sobie powiedzieć, że pierwiastkowa niechęć jego do Okoniewskiego znajduje teraz usprawiedliwienie. Było to pierwsze, trochę nieprzyjemne starcie się nowych spółników, i pomimo, że potśm jeszcze z godzinę rozmawiano spokojnie o innych przedmiotach, to swoją drogą zarodek kwasów został już rzucony.

Nazajutrz wstawszy raniutko pan Mikołaj, czy pod wpływem rozdrażnienia wczorajszego, czy też wrodzonego gadulstwa, nie miał nic pilniejszego do roboty, jak pójść do dworu i wypowiedzieć się przed swoimi przyjaciółmi z żalów do pana Stanisława, a naturalnie i opowiedzieć całą z nim rozmowę o pszenicy.

Sam Jaskuła, człowiek bardzo tępego umysłu i chorujący na pana, ale rzeczywiście prawy, tyle wiedział o swoich interesach i gospodarstwie, ile mu o nich mówił rządca. A ten rządca daleki jego krewny, miał kompletne jego zaufanie i uchodził w okolicy za bardzo rozumnego i sprytnego człowieka. Nigdy więc nie robił nic bez jego porady i wierzył weń, jak w ewangelię... zwłaszcza od czasu, gdy udało mu się wyprowadzić go przez tę sprzedaż z bardzo niebezpiecznej sytuacji. Oburzyły go zatem wiadomości przyniesione przez pana Mikołaja, skutkiem czego już bardzo chłodno przywitał Stanisława, gdy przyszedł na śniadanie, i ani chciał słyszeć o żadnych ustępstwach poruszonych przez spółnika. Jednym słowem Paternacki zgryziony i zagniewany na wszystko, a nawet na siebie samego, wyjechał z Poręby, dając uroczyste słowo, że gdyby nawet cały majątek miał stracić, więcś tu noga jego nie postanie.

Gdy tylko wysiadł z powozu przed domem, już pani Wanda poznała, co się święci, bo przedewszystkiśm jej się dostało za to, że ma brata letkiewicza, który go namówił do interesów, za to, że wstawiała się o przyjęcie Okoniewskiego do spółki, za to, że mu kazała teraz jechać na wieś, za to, że się przeziębził, i za wiele innych rzeczy, o których nawet nie wiedziała.

Kazio już wyzdrowiał, a że udało inu się dobrowolnie załatwić spór o owe 60 korcy zboża z Niemcem, a ceny ciągle sły w górę, więc nie bardzo brał do serca zły humor szwagra, powtarzając z uśmiechem pewności:

— Zobaczysz rezultaty. Żaden interes z ludźmi nie może się obejść bez pewnych przykrości, a zwłaszcza z początku.

VII.

Mimo protestu pana Mikołaja posłano do Poręby sprytnego i energicznego żydka dozorcę, i transporta kupionego zboża zaczęły iść żywiej. Sprzedano drugie sto korcy, już bez takich ambarasów, jak pierwsze, a trzecio były w drodze.

Na termin płacenia drugiej raty zjechali obadwaj panowie do miasta, a z nimi i pan Mikołaj z taką tuszą, że żona poznać go nie mogła. Ledwie, że pokazał się w domu i wyładował z bryczki różne wiktuały dla żony, z których parę zajęcy i garnuszek masła kazał udzielić pani Wandzie, zjawił się faktor wekslarz i wywołał go na tajną konferencyą na dziedziniec. Chodzili długo, rozmawiali, przystając po kątach, lecz widać było, że wiadomości udzielone panu Mikołajowi nie musiały być bardzo przyjemne, skoro pochmurniał trochę, a oczyściwszy się z drogi, natychmiast pobiegł do wspólników. Nad podziw pana Stanisława stał się znowu niezmiernie czułym i serdecznym, panią Wandę coś trzy razy z rzędu w rękę ucałował, a pana Stanisława aż w górę uniósł przy uściskach.

— No, prawda, że teraz dobrze idzie?

— Dobrze, i dlatego sprzedaliśmy drugą partyę korzystnie.

— Chwała Bogu... Zawsze pierwszy początek trudny, dlatego kochany sąsiad zobaczy, iż tak samo pójdzie z wełną i owsem.

Nic na to nie odpowiedział Paternacki, lecz podawszy mu rachunek dotychczasowych wydatków, prosił o złożenie reszty, przypadającej od niego teraz dla Ja- skuły.

— ■ Zdaje się, że ja wszystko już dałem, co potrzeba...

— Tak, ale porobiliśmy nakłady na worki i inne koszta, a za ostatni trsftisport pszenicy pieniądze jeszcze z zagranicy nie nadeszły od kupca. Niech pan przejrzy rachuek...

— Ha, trudno, jak trzeba, to się da, ja się nigdy nie usuwam.

Przyszedł Kazimierz i z nim przywitał się serdecznie.

— No, a jakże będzie z tą wełną i owsem?—zapytuje niby nawiasem — bo trzeba i tu resztę dopłacić...

— Wszak wełnę wzięłeś pan na siebie.

— Tak to niby, ale jabym się nie chciał rozdzielać. Niechno>się panowie namyślą, interes nie wielki...

W tej chwili właśnie, jakby to się działo, w teatrze na scenie, wtacza się do pokoju mnóstwem drobnych paczek sznurkami powiązanych, stary faktor Dawid, i przedstawwszy się jako dawny znajomy pana Okoniewskiego, od razu rozpoczyna zwyczajny swój wykład o korzyściach handlu wełną. Gestykulując żywo, nie pozwala nikomu odezwać się ani słowa,

lecz rozwiązuje pakiety z wełną, kładzie je na stół, a posiłkując się artykułami giełdowymi, recytuje swoje, jak dozorca, pokazujący gościom zwierzęta w menażeryi.

— Mój panie — przerywa mu bez ceremonii znudzony Stanisław — proszę cię, daj nam pokój ze swo- jemi propozycjami. Nie myślimy handlować wełną.

— No, dlaczego?—odpowiada z całą aroga- cyą i znowu dalej swoje, że na wełnie można sto na sto zarobić, że teraz najlepsze są konjunktury, bo potrzebuje Berno, Wrocław i coś ze dwanaście innych miast europejskich.

Pan Mikołaj, słuchając tych prelekcij Dawida, tylko się uśmiecha zachwycony i wciąż potakuje, kiwając głową.

Paternacki zaczyna się już na seryo niecierpliwić, co zobaczywszy Kazio i nie wiedząc, o ile ten pan Dawid jest persona grata Okoniewskiego, bez ceremonii zbiera rozłożone pakiety wełny ze stołu, oddaje do rąk faktora i dość niegrzecznie wyprowadza go za drzwi. Szlachcic nie powiedział nic, ale gdyby był Kazio zobaczył, jakim w tej chwili mierzył go wzrokiem, z pewnością struchlałby z przerażenia.

— Więc obliczmy się panie Okoniewski—mówi Stanisław—co trzeba dopłacić.

— Tyle a tyle na każdego — powiada Kazimierz.

— A jakże z owsem?... Może panowie także nie chcecie?...

— I owszem—pospiesza dodać Kazio.

— Tak, gdzie interes czysty, jak bursztyn, to spółka, a gdzie trochę ryzyka—wtrąca burczącym głosem pan Mikołaj—to nien.a spółki.

— Szanowny panie—odzywa się Stanisław—bierz i owies, ja na wszystko się zgadzam... i owszem.

— Ale co tam—łagodzi Kazimierz — zboże, to zboże...

— Hm!—pomrukuje szlachcic—jak to pan łaskaw na mnie...

Obliczono wreszcie, co każdy ma dołożyć do kapitału, a pan Mikołaj występuje:

— Dobrze to wszystko moi panowie; dać to dać, tylko że dotąd tak jakoś jesteśmy niby, na słowo... A ludzie na świecie są śmiertelni, możeby tak coś napisać między nami...

— Bardzo słusznie — przerywa prędko Stanisław. — Niech pan dobrodziej przygotuje projekt, a my podpiszemy.

— To niech pan napisze bo ja nie jestem bardzo do tego.

— Dobrze, napiszę. Za godzinę będzie gotowe.

— Między mną i panem dobrodziejem?

— I Kazimierzem — dodaje z przyciskiem Stanisław.

— Ha, niechże i tak będzie!—kończy, wzdychając, jak człowiek przyciśnięty przykrą koniecznością.—Więc ja tu przyjdę po obiedzie po tę umowę...

Przyszedł, ale tak samo chmurny, przeczytał i prosił, żeby mu dano ten projekt do domu, bo chce się jeszcze rozpatrzeć. Nie broniono mu, lecz on zamiast do domu poszedł do miasta, widocznie, aby się kogoś poradzić.

Łatwo sobie wyobrazić, jak postępowanie takie musiało drażnić Stanisława i co sobie myślał o tak przyjemnym współniku. Co do Kazia, ten kompletnie osowiał, milczał i gryzł się, widząc, jak cały gmach

jego marzeń co do przyszłego szczęścia z Marynią tak widocznie chwieje się w podstawach i to niewiadomo z jakiej przyczyny.

W tem przekonaniu utwierdziła go i sama panna, gdy podług zwyczaju wieczorem poszedł z siostrą i dziećmi do mieszkania sąsiadów. Stary przy kolacyi prawie, że go nie widział, a na córkę rzucał wciąż tak surowe spojrzenia, że biedaczka aż drżała ze strachu.

Wstawszy od stołu, zamyślony szlachcic skinął na syna, i wynieśli się oba do ostatniego pokoju, a tam coś pisali, radzili, zdaje się nad umową, bo od czasu do C/.a- su dolatywały ztamtąd wymyślenia pana Mikołaja na syna, że już półtora roku uczy się prawa i to z drogich książek, a głupiej transakcyi nie rozumie.

— Go to tam zaszło między panami? — zapytuje ciszej Marynia, odsunawszy się na bok z Kazimierzem.—Ojciec czegoś taki zły...

— Dalibóg nic nie wiem i chciałem się właśnie pani zapytać...

— Ciszej, drogi panie... Okropnie jestem zmartwiona...

— A ja już nie czuję głowy, która mi pęka z nawału myśli. Ani ja, ani Staś nie daliśmy żadnego powodu. Żądał umowy między nami—daliśmy.— Chyba, że ojciec gniewa się, że ja należę do spółki, ale gotów jestem natychmiast zrzec się wszystkiego... Boże, jakże ja jestem nieszczęśliwy.

— A ja nie?—szepnie dziewczyna, ocierając ukradkiem łzy, spływające po jej twarzy. — Mnie się jednak zdaje, że tu coś z tym żydem wekslarzem zaszło, bo tatko przyjechał w dobrym humorze, a po rozmowie z nim na dziedzińcu wrócił zupełnie inny. Co to będzie?

— Ja myślę, że ojciec zmieni swoją niechęć.

— O wątplię... Jest to dobry i zacny człowiek, ale jak się do kogo, lub do czego uprzedzi, niczem go nie przekonasz... Na miłość Bożką tylko czego tak desperacką przybierać minę?... Fe, mężczyzna, — przy pierwszej przeszkodzie już tracić ducha... No, no, popatrz pan na mnie... tak wesoło — bardzo dobrze... A może niepotrzebnie się martwimy i dlatego najlepiej wszystko zdać na opiekę Boga i czekać cierpliwie. Wierz mi, mój drogi ja mogę długo, bardzo długo czekać.

Rozpogodził twarz, uściskał jej rączkę i rozeszli się pokrzepieni nadzieją, która jakkolwiek nazywa się matką głupich, ale zawsze jest matką.

Na drugi dzień z wymęczoną i zapisaną licznymi poprawkami umową stawił się pan Mikołaj u swoich współników. Najprzód żądał, żeby nie on, ale jego żona figurowała na umowie... Propozycją tę, którą bardzo niejasno usprawiedliwiał toczącym się dotąd procesem z właścicielem Borowicy, choć nie podobała się panu Stanisławowi, jednak ją przyjął. Dalej, żeby spółka odnosiła się tylko do interesów teraz zawartych, a nie na rok, jak proponował p. Stanisław. I na to się zgodzono. Następnie, że każdemu ze współników wolno robić inne interesa na swoją rękę niezależnie od tej spółki.

— Zmusza mię pan do tego—mówi pan Mikołaj— nie przyjmując wehny.

— Słuszny warunek, zgadzam się zupełnie.

Otóż właśnie ta pohopność do zgody zamiast cieszyć, zaczyna niepokoić szlachcica... W tem coś musi być, myśli sobie, spoglądając podejrzliwie na obydwóch

panów, i już z mniejszą werwą proponuje, żeby wspólnicy we wszystkich sprawach, czy to kupna, czy sprzedaży, porozumiewali się z sobą.

— A widzi pan, czy nie toż samo proponowałem w Porębie?—odzywa się Stanisław.

— To też pan dobrodziej nauczyłeś mię, jak się pilnować...—rzecze filuternie

Okoniewski.

— Jabyem sądził, że to znowu będzie uciążliwem...

— Skończone, zaakceptowane!—przerywa Kaziowi pan Mikołaj, który wogóle mało zważał na niego, przemawiając wciąż do pana Stanisława.

— Właśnie ja chciałem dla zabezpieczenia pana dobrodzieja...—znowu proponuje Kazio.

— Ech, obejdzie się już tam lepiej będzie, jak każdy sam będzie dbał o swoje...

Umilkł skonfundowany Kazimierz, umowę na dwie ręce przepisano, pani podpisała, dając upoważnienie mężowi do zastępstwa we wszystkich sprawach, a szlachcic znowu wyjął z ręcznika kilka akcyj kolejowych i złożył na ręco Stanisława po kursie bieżącym.

— Ot i na tem tracę — mówi, jakby z wyrzutem — ale stało się, człowiek do śmierci rozumu się uczy.

Przed zjawieniem się panów z Poręby, jeszcze raz Paternacki podnosi ową wątpliwość, czy ci panowie mają tyle zboża, co sprzedali.

— Ale, co to panie dobrodzieju, niema o czem mówić...

— A jak się pokaże?

— To ja panie dobrodzieju pierwszy, mój dział u nich zostawię... Jak mi Bóg miły, życzylbym sobie

wszędzie tak być spokojnym o swoje pieniądze, jak u nich...—dokończył, uśmiechając się dwuznacznie.

— Więc proszę pamiętać...

Dopełnienie wypłaty odbyło się krótko, sztywnie prawdziwie po kupiecku. Stanisław nawet nie prosił sprzedających do salonu, lecz za to pan Mikołaj koniecznie zawerbował ich na małą przekąskę. Paternacki wymówił się, że jest słaby, Kazimierza nie bardzo znowu obligowano, dość że poszli tylko obaj panowie z Poręby i tam parę godzin, podejmowani z niezmierną uniżono-ścią przez całą rodzinę Okoniewskich. Gdy wychodzili, już trochę podchmieleni, rządcą odzywa się w progu do gospodarza:

— Ależ to prześliczna i miluchna panienka z tej panny Maryi...

— Rzeczywiście, prześliczna — powtarza pan Ja- bkuła.—Winszuję panu, winszuję...

— W łaskawych to oczach panów dobrodziejów— odpowiada ucieszony i rozpromieniony szlachcic. — Jak mi Bóg miły, swojego ohowu szlachcianka...

— Prześliczna, niema co powiedzieć — powtarza pan rządcą, obzierając się parę razy na stojącą w oknie Marynię.

Sentymentalne czytelniczki gotowe mieć do mnie żal, iż za wiele opowiadam o interesach spółki, a za mało zajmuję się uczuciami naszej młodej pary, ich ta- jemnymi udręczeniami, które zapewne trapiły ich ciągle, odbierając spokój i słodkie sny podczas nocy. Ale cóż ,ja na to poradzę, jeżeli w codziennem życiu tak się dzieje i jeżeli ten brzydki, więcej niż prozaiczny interes musi się wcisnąć między najszlachetniejsze uczucia i tam bolesny znak swego pobytu zostawić. Trudno zaprze-

A. Wilczyński.—Tom XX. 7

czyć, że ten interes dzisiaj, a podobno dawniej, stanowi jedyny sztandar, koło którego najwięcej grupuje się zapaśników życia do walki o byt codzienny. Jakże więc tej powszechnej służbie mamony oprzeć się mogą uczucia?...

Czyż ten wir namiętnie prowadzonej walki nie powlecze ich za sobą, choćby jako maroderów i rozbitków, szukających swojego pułku!

Po zawarciu umowy i zostawieniu możności działania na swoją rękę, nasi wspólnicy rozpoczęli tajemną rywalizacją i wzajemne śledzenie każdego kroku. Stanisław, już znudzony tem wszystkim, sam nie działał, lecz dał się powodować Kaziowi, któremu znowu młodzieńcza ambicya kazała w oczach pana Mikołaja pokazać się energicznym i znającym na interesach. Udało mu się kupić znaczną partią kukurydzy, gdzieś w Mołdawii i odprzedać z zyskiem, a okoliczność ta już nie pozwoliła spokojnie zasnąć staremu Okoniewskiemu. Nie rozumiał się na interesach i bał się ryzykować, więc chodził, jak nieswój, medytował, radził się, a swoją drogą głośno złorzeczył Kazimierzowi, że jest chciwym i podstępny, co stanowi brzydki rys charakteru młodego człowieka. Nieodstępny Dawidek musiał skorzystać z takiego usposobienia szlachcica, i znowu podsunął mu projekt, że wyjedzie do Węgier za kupnem wełny, na którąś świetny interes zrobią. Już nie żądał wynagrodzenia komisowego, tylko kosztów podróży i pewnej części czystego zysku, co skłoniło pana Mikołaja, że się zdecydował i dał pieniądze. Dawid pojechał, a pierwsze jego listy datowane z Pesztu w tak dobry humor wprowadziły szlachcica, że nawet spotykając się z Kazimierzem, żartował z nim i tajemniczo dawał poznać, jako i on bez niczyjej pomocy potrafi także coś robić i robić korzystnie.

Tymczasem, co przyjdzie nowy transport pszenicy z Poręby nalega koniecznie, żeby we trzech szli go sprzedawać. Stanisław naturalnie nie chciał, więc we dwóch z Kazimierzem udają się na plac targowy. Pan Mikołaj, obładowawszy kieszenie próbkami, ma minę przynajmniej dyrektora banku, i tak jakoś z góry traktuje młodego spółnika, jakby on był pisarzem dodanym mu do pomocy.

Na placu miejskim, obok pewnej oberży, parę razy na tydzień odbywają się tak zwane targi zbożowe. Gromada pejsatych i surdutowych faktorów kręci się tu i tam, jakby gorączką jaką trawiona. Zaczepiają kupców, przedstawiają próbki, wysypują na dłonie, wciskają pod pachy lub między poły surduta i gadają z taką natarczywością i arogancją, że nie sposób im się opędzić. Podobny targ, jak zwykle przy interesach, odbywających się na większą skalę, kończy się koło godziny 11-tej z rana. Przyjezdni kupcy spieszą na pociąg, więc kupno i sprzedaż załatwia się w kilku słowach: dam tyle — zgoda, albo nie dam i nie wezmę — i rzecz skończona. Tymczasem pan Mikołaj, przywykły na wsi do całodziennych utarczek z kupcami, których wodził za sobą po wszystkich stajniach i oborach, żartując i dowcipkując i tutaj chciał w ten sposób prowadzić praktykę handlową. Faktorzy rozbijali się koło niego, wydzierając torebki z próbkami, a on im stawia niebywało ceny, jakby dla żartu. Kazio słysząc to, czynił mu delikatne uwagi, że więcej nie dadzą, ale on uśmiechał się z całą pewnością siebie:

— Dadzą, dadzą, niech się pan nic turbuje...

Naturalnie, że Fridler, jako także podejrzany, został usunięty od faktorowania; pod tym względem Okoniewski chciał mieć wolną rękę i przez obudzenie konkurencji innych komisantów zniżał do minimum ich zarobek.

Przyszła godzina jedenasta, kupcy zagraniczni zniknęli z placu, a miejscowi ze zwykłą arogancją żartowali ze szlachcica kupca, ofiarując coraz niższe ceny. Ma się rozumieć, nie sprzedano, i trzeba było szukać spichrza, zboże z fur składować, wysypywać, potem znowu nasypywać i ważyć i do kolei wywozić przy następnej sprzedaży, co znacznie obniżało zyski. Gdy przy takiej manipulacji odzywał się Kazio, pan Mikołaj znowu się śmiał, mówiąc:

— Nic nie szkodzi i ja też mam swój rozum, panie dobrodzieju... Wszystko się to opłaci, tylko trzeba żydów wytrzymać. Znam ja się na ich manewrach... Słuchajno, panie Kazimierzu, w handlu zimna krew dużo znaczy.

Tak skonfundowany, pomimo że mu się aż niedobrze robiło, patrząc na takie fanaberye współnika- dyletanta, dla miłego spokoju i jeszcze miłszych stosunków z Marynią, milczał, nawet nie wspominając o tem przed szwagrem. Taż sama historia, lecz jeszcze bardziej pocieszna była z rachunkami, gdy pan Mikołaj odebrawszy pieniądze za sprzedany towar, z całym arkuszem notatek wagi pojedynczych worków, składał to wszystko na stole i kazał sprawdzać, czy tak dobrze jest...

— Ot, tyle wziąłem, tyle się wyważyło, rachujcie panowie, bo ja nie znam się na tych potracaniach tary, na tych centnarach nowych...

Równie oryginalnemi, nawet naiwnemi były sprawozdania jego z funduszów, które brał z kasy na różne wydatki do Poręby.

— Cóż ja tu mam zdawać za rachunki! — odezwał się na pół obrażony, kiedy Kazio raz poprosił

0 nie. — Wziąłem tyle a tyl ■, mam reszty tyle, zatem wydałem tyle i basta!

— Ale nam potrzebne są szczegóły każdej partyi, żeby obliczyć, jaki jest zysk, czy strata.

— Straty być nie może, bo zkadże!... kosztuje nas tyle, a bierze się więcej, to przecie wystarczy na koszta

I coś zostanie....

— Zawsze dla porządku—odzywa się Stanisław— te szczegóły potrzebne, żeby właśnie wydatki nie przewyższały zysków...

— Ale co znowu?... No, a zresztą kiedy chcecie, to ja tu mam każdy cent zapisany...

Wprawdzie notowałem ołówkiem i trochę się pościerało, ale ja panu podyktuję.

Siedli tedy, Kazio pisał i porządkował te wydatki, lecz jak się dodało wszystko razem, pokazało się, że ta reszta pana Mikołaja wcale się nie zgadza.

— Co u licha panie dobrodzieju, to nie może być. Pieniądze wspólne trzymam zawsze oddzielnie i centa na co innego nie biorę... Niechno pan jeszcze raz zrachuje.

Zrachowano, sprawdzono — toż samo. Nastąpiła chwila milczenia, szlachcic się kręci i łysinę trze, a Stanisław powiada:

— Niechno pan dobrodziej sobie przypomni.

— Cóż u licha, przecież nie wziąłem dla siebie! —

zawoła zirytowany, — daję słowo honoru wydałem tyle niezawodnie!

— Mój panie szanowny, któż pana posądza, ależ musi być na coś wydane...

— Dobrze, ja wezmę ten rachunek do domu i jeszcze go strutynuję.

Wziął, jednak już zły i zasadziwszy Marynię do pisania, trzymał ją do godziny trzeciej rano przy stoliku, nie mogąc wybrnąć z owego deficytu.

— Ot, panie dobrodzieju, masz tobie spółki! Oni tu siedzą sobie, jak u Pana Boga za piecem, a człowiek nie dosyć, że się naponiewiera po obcych kątach, nie dośpi, wyziębnie i tu się wystoi przy sprzedaży, a potem jeszcze mu się każą rachować... Dziesiątemu powiem: „Śpiewały jaskółki, licha warte spółki.”

Jeszcze cały następny dzień rachował i przypominał sobie, aż nareszcie przy pomocy Tadeusza wykończył ów memoriał zgodny ze stanem swojej kasy.

— No— mówi, oddając Kazimierzowi—jest. A teraz, niech też mi pan pokaże, ile też mamy zysku dotąd na tej pszenicy.

Kazio tylko spojrział na jego rachunek, a poznał zaraz, że sklecony jest od biedy i pełen niekonsekwencji, jednak nic nie mówiąc, zaczął wyciągać różne pozycje dochodu z ksiązek. Dziwna rzecz, iż pan Mikołaj, który tak mało pamiętał o wydatkach przez siebie czynionych, doskonale był poinformowany o każdej sprzedaży, o kosztach tej sprzedaży i tym podobnych, które wspólnicy ponosili. Pozycją za pozycją kontrolował, spoglądając w swoją ksiąteczkę notatkową i sprostował nawet jeden wydatek komisowego dla faktora, który przez pomyłkę został o zł. 2 ct. 50 wyżj zapisany.

Po zestawieniu wszystkiego i dodaniu kosztów przedstawionych przez pana Mikołaja pokazało się, że zysk na sprzedanych dotąd pięciuset korcach pszenicy, jest prawie żaden— coś kilkadziesiąt reńskich.

— To nie może być!—zawoła popędliwie, czerwieniąc się Okoniewski.

— Dobrze, ja jeszcze raz sprawdzę — mówi Kazimierz, tak samo zakłopotany podobnym rezultatem.

Przeszedł znowu wszystkie pozycje, a pan Mikołaj stał nachylony nad nim i cyfry połykał.

— Dobrze jest!

— To nie prawda! Jakto, wzięliśmy blisko po dwa reńskie więcej za korzec, jak kosztowała pszenica, i gdzieżby się ten tysiąc reńskich podział?... Musi być pomyłka.

— Daję panu słowo, że niema!

— Et, co mi pan tam gadasz... Niema, niema... A dawno to wytknąłem panu to faktorne!..

— Bagatela...

— Ha, jak jest bagatela, to może być i więcej... takie rachunki...

Kaziowi aż pociemniało w oczach, tak mu krew z oburzenia nabiegła do głowy, więc zapomniawszy i o Maryni i całej uległości dla i mpe tycznego szlachcica, powiada mu ostro:

— Naturalnie, zkąd ma być zysk, jeżeli pan sam wydałeś na kosza blisko półtora reńskiego na korcu. Proszę porównać cyfry...

Szlachcic się zasapał, gryzmołąc różne liczby ołówkiem i niestety przekonał się, że tak jest... Na jego przerażonej twarzy widać było rozpacz; nie wie

dział, co odpowiedzieć, ale swoją drogą nie chciał się przyznać do winy.

— No to dobrze, a gdzież reszta?

— Rachuj pan. Ekspedycya na kolej od tyłu a tyłu worków—tyle...

— Otóż za wiele. Kto płaci po sześć centów, kiedy jak ja zacząłem sprzedawać, to daję po cztery...

Taż sama i coraz więcej dotkliwa krytyka była przy innych pozycjach, czem zniecierpliwiony Kazio powiada:

— Proszę pana, myśmy płacili jak jest zwyczaj, a różnica na wszystkim może razem wynieść dwadzieścia guldenów, ale niech mi też pan dobrodziej wytłumaczy, jakim sposobem transport jednego worka z Poręby wypada o siedmdziesiąt centów więcej, niż było naznaczone i ugodzone?...

Jak raz na to wszedł pan Stanisław i rozżalony Kazimierz wytoczył całą sprawę przed nim. Ten wziął rachunek pana Mikołaja do ręki i tylko rzucił okiem, a zaraz znalazł mnóstwo niekonsekwencji.

— Więc koszt dostawy kilku paczek worków pustych u pana wynoszą tyle, że za te pieniądze można- by trzy razy tyle nowych kupić. Patrz pan: furmanka do szukania żyda, adwokat na proces, znowu furmanka, znowu stemple...

— Musiałem — odpowiada pan Mikołaj — bo ja sobie łada łapserdakowi nie dam grać na nosie.—Proces się wygra, to się to zwróci...

Od słowa do słowa, zaczęła się głośna i niebardzo delikatna sprzeczka między spółnikami. Pan winien... Nieprawda, wyście winni, to o wagę, to o cenę... wszystko po pańsku... I byłoby, nie wiem do jakiej awantury doszło, gdyby nie zjawiła się we drzwiach pani Wanda i nie wywołała męża pod pozorem ważnego interesu.

Energiczna ta kobiecina, znając gwałtowny charakter Stanisława, już go nie puściła więcej do kantoru, a że i Kazio trochę ochłonął, więc pan Mikołaj straciwszy adwersarzy, namruczał się i nabrzdakał pod nosem, a w końcu rzuciwszy kilka impertynencyj młodemu spółnikowi, cały zaperzony i karmazynowy, wyszedł do swego mieszkania.

VIII.

Już to jak się bieda jaka raz zacznie, zwykła iść coraz dalej, bo nigdy jedno nieszczęście na człowieka samo nie przychodzi. Właśnie tego dnia rano odbyła się tajna konferencja Tadeusza z mamą, żeby od starego wydobyć kilkadziesiąt reńskich na sprawienie garnituru balowego dla młodego akademika, którego koledzy wynieśli na godność członka komitetu przyszedłego balu prawników.

Rzeczywiście trafili na dobrą ch^lę — ledwo bowiem matka wystąpiła z tem do pana Mikołaja, on rzucił się cały w ogień i zasyczał, jakby przez żmiję ukąszony.

— Tak, rujnujcie mię, obdzierajcie jeszcze i wy! Tamci wyprowadzili mnie w pole ze swoją spółką... Śliczna mi spółka,, świetne interesa!... Na pięciuset korcach pszenicy czterdzieści reńskich zarobku... a ty dawaj na fraki dla syna... Panowie, zachciało im się bawić w kupców z perfumami, w rękawiczkach i szkiełkami w oku... Ty stary, poniewieraj się po drogach, roz

bijaj z żydami i chłopami, oszczędzaj, a oni płacą fa- ktorne, co kto chce...

Proszący przycupnęli już i ani słowa o fraku, a swoją drogą rozczarowany pan Mikołaj rady sobie dać nie mógł... Wszystko mu było złe; obiad zanadto pański.

— Tak, jedzcie, jak hrabiowie, smakujcie czarną kawę, a niedługo i na suchy kawałek chleba nie wystarczy... Czemużem wprzód nóg nio połamał, nimem poszedł do nich do tej spółki.

Zona parę razy próbowała mu perswadować, ale także dostała za swoje, że właśnie ona winna temu wszystkiemu, że mieszkają w mieście, że syna wychowała na panicza, że zachciewa się im strojów, przyjęć, balów, że gdyby byli wzięli tę małą dzierzawkę, która się trafiała, żyliby sobie spokojnie... Jednym słowem, powtórzyło się tutaj to wszystko, co się zdarza w stosunkach z ludźmi zarozumiałymi o ciasnej głowie, którzy nigdy sobie żadnej winy przypisać nie chcą, ale szukają innych winowajców. Pan Mikołaj w tej chwili zapomniiał o całej przeszłości i początku historyjnej spółki, o swojej nieporadności, w sprawach handlowych, a tylko pamiętał, że jego spółnicy szastali pieniędzmi, opłacając hojnie faktorów; nazywał ich też ciągle dyletantami, fanfaronami, paniczami i t. p.

— Albo i ten facet woniejący dziegiem! — krzyczał chodząc wielkimi krokami po pokoju.—Jakiś pisa- rzyna z banku, liznął tam trochę tej bazgraniny w książkach i on się podejmuje interesów... I on mnie starego człowieka, szlachcica i obywatela, chce uczyć rozumu, dyktować, jak mam pisać rachunki!... Furfant, panie dobrodzieju!

— Prawdę ojciec mówi! — dogaduje pan Tadeusz, który nie może darować elegancji w ubraniu panu Kazimierzowi, a dzisiaj zawdzięcza zniweczenie swych planów co do sprawienia fraka. — Skończyło to parę klas ledwie, a jak o wszystkim rozprawia i drugich chce uczyć. Maryni naznosił tyle głupich książek...

— Acha, dobrze!—zawoła stary, wyciągając drżącą ze strachu Marynię na środek pokoju. — Proszę ją acpanny wyrzucić to wszystko, no i rozumiesz panna żadnych czułości... Słuchajno, jak on mi się tu pokaże, ani słowa... Słyszałaś? Ani słowa... Rozumiesz matko-mówi, zwracając się do żony.—A-ty, panie akade- demiku, żadnych przyjaźni, to nie dla ciebie...

— Jak ojca kocham — odzywa się z ironicznym uśmiechem synek — ja byłem z nim dobrze tylko dla taty... i dla tych interesów...

— A bodaj one nigdy nie były...

— Mój drogi Mikołaju—odzywa się dotąd obojętna na te rzucania się małżonka — przecież macie tyle jeszcze zboża u Jaskuły, cóż tam te pięćset korcy...

— To też ja teraz, panie dobrodzieju sam wszystko biorę w rękę... i nie popuszczę... fiosyc tych eksperymentów wielkopańskich, tych szafek, pieczętek i innych facecyj...

Jakby na poparcie tych argumentów zagniewanego szlachcica, właśnie listonosz przyniósł mu list z Pesztu od Dawida. Gadatliwy ten agent donosił, że pierwsza partya wełny przez niego kupionej już jest w drodze do Wrocławia, że odebrał list od domu komisowego, któremu naprzód próbki posłał i ten list załącza...

— Otóż macie—mówi już udobruchany ze śmieją- cemi oczyma — do czego człowiek sam się weźmie, to idzie... Ten z Wrocławia pisze, że jeżeli wełna wszystka będzie taka, jak w próbce, to cena za nią 80 talarów za centnar, co na nasze pieniądze wypadnie 20 reńskich na czysto zysku na centnarze...

— Chwała Bogu! —odzywa się żona.

— A tu dalej pisze Dawid, że znowu kupił 50 centnarów jeszcze taniej...

— Zawsze ja mówiłem ojcu—wtrąca Tadzio, żeby jakoś dobrze usposobić starego—że do handlu u nas tylko z żydami. Wolę ja z mądrym stracić, niż z głupim zarobić.

— Tak, prawdę mówisz, tylko ich trzeba trzymać w ryzach panie dobrodzieju i nie popuścić. Żydzi zawsze żydzi i każdy skubnie, jak może. Ale tak, jak ja, wszystkim sam dyryguję i nie pozwolę ani kroku bez mojej wiedzy, to można ich rozum i spryt wyzyskać... Bo, że mają rozum, to mają...

Naturalnie, że Dawid, donosząc o tem pomyślnem zdarzeniu i nowem kupnie, żądał przesyłki pieniędzy więc pan Mikołaj znowu do owego wielkie go kufra i paczki owiniętej ręcznikiem. Otworzył i jakoś zdaje mu się, że w paczce powinno być daleko więcej papierów. Co to jest? — myśli opanowany strachem — tu ktoś musiał ruszać, gdzieżbym ja tyle wydał. — I zaczyna liczyć z gorączkowym pośpiechem, zaczyna przypominać sobie, ile wziął na to, ile wziął na to, a gdy jakoś rachunek taki nie może się złożyć porządnie, próbuje szukać między rupieciami, czy czasem gdzie się co nie uroniło.

Siedząc na krawędzi owego kufra, coraz niecierpliwiej wyjmuje rozmaite staniki, szmizetki i zapasy bielizny, ręce mu drżą, a oczy mało na wierzch nie wyskoczą, upatrując, czy gdzie jakiego papieru nic dojrzy.

W takiej właśnie pozycji zastaje go żona, przechodząca w tej chwili przez pokój.

— Mikołaju, cóż ty robisz najlepszego! — zawoła, zobaczywszy cały stos wyrzuconych na podłogę rupieci.—Jakżeż można tak wszystko mieć i mieszać?

— A słuchajno matka — mówi, nie zważając na reklamacje żony—czy mi tu kto tego, nie zaglądał?...

— Do czego?

— No do tego, uważasz... Jakoś mi się zdaje, że coś tego jakby brakowało pieniędzy...

— Sfiksowałeś! — mówi zagniewana imość, odsuwając go przemocą od kufra i zabierając się do porządkowania—któżby ci tu zaglądał... Ja klucze noszę przy sobie!

— Ale pozwólże — mówi, patrząc się badawczo w twarz żony—ja muszę przeszukać.

W tem coś jest...

— A ślicznie prowadzisz swoje interesa, że nawet nio wiesz, co masz...

— Ale moja matko, przy takich kłopotach to człowiek nie wie, czy włosy ma na głowie... Jednak powinno być więcej — mówi dalej, jakby do siebie — chybaby kto... bo na cóż jaby mógł wydać...

Żona widząc zakłopotanie, już mu nie przeszkadzała dalej, on też przegląda każdy gałganek, maca puste deski kufra i tak medytując ciągle, zabiera owe papiery, jakie są jeszcze, i wychodzi. We drzwiach spotyka go wekslarz, lecz jakoś z miną nieszczęśliwą...

— No cóż tam? — pyta go żywo — nasze Ost- Bahny?

— Jeszcze Jlau... ale pójdą, niech wielmożny pan będzie spokojny. To są Węgrów takie figle, bo te Węgry bardzo mądry jest naród... i kuponu nie chce płacie.

— Przecie gwarantowane...

— To też ja myślę, że oni tylko tak się drożą... ale tymczasem ludzie się boją i spadły... Trzeba żeby wielmożny pan dopłacił bankowi, bo oni gotowi zastaw sprzedać.

— Ani myślę...

— Kiedy jest wezwanie — mówi żyd, wyjmując awizacją banku.—To nic nie szkodzi, niech się pan nie boi, żebym ja tyle szczęścia miał, ile ludzi w Galicyi ma te Ost-Bahny...

Skrzywił się bardzo pan Mikołaj, przeczytawszy wezwanie i chodząc z wekslarzem po dziedzińcu, zaczął się na seryo odgrażać rządowi węgierskiemu, jak on śmie nie płacić kuponów od swoich poręczonych papierów...

— Ja pójdę ze skargą wyżej—woła z zapalczywo- ści, pokazując palcem do góry.— Myślisz, że ja nie trafię... Ho, ho, byłem ja tam i wiem...

— Ale tymczasem wielmożny pan da 600 reńskich ..

— Nie dam!

— To oni sprzedadzą Ost-Bahny i pan dużo straci.

— Nie dam ani centa!

— Niech wielmożny pan się zastanowi... Wielmożny pan będzie się prawował z węgierskim rządem, to jest długa rzecz i historia, a oni powiadają, że kolej nic nie ma, to na co mają płacić procenta?

— Niech pilnują, co mi do tego...

Kramarzyli się jeszcze w ten sposób dość długo.

Szlachcic odgrażał się, że niechno on pojedzie do Pesztu, to takich awantur dyrekcyi narobi, o jakich oni

jeszcze nie słyszeli, lecz jak zaczął mu powoli żyd przekładać i tłumaczyć, że to swoją drogą, a to swoją drogą, tak dał się przejednać i na teraz postanowił nie robić kłopotów rządowi węgierskiemu.

— No, dobrze, dałbym, ale nie mam! — i przy tej sposobności wylał całą żołąć swoją na spółników, opowiedziawszy wekslarzowi całą historią rachunków i zuchwałstwa pana Kazimierza.

— Ja to wielmożnemu panu dawno mówił, że oni nie znają się na handlu, a ten Fridler tylko ma wygodę z tego... No, jeżeli pan nie ma pieniędzy, dlaczego nie wziąć od nich, co się utarguje za zboże? Oni także muszą brać z kasy, bo za co by zakupili wczoraj rzepak?

— Masz rację! A że ja też o tem nie pomyślałem. Jak mi Bóg miły, mojami pieniędzmi robią i zarabiają, a mnie jak fagasowi jakiemu każą jeździć i rachunki składać... To ci filuty... ha!... I to powiadają, że żydzi nas wyzyskują... nasi panowie bracia jeszcze lepiej potrafią...

Nazajutrz był dzień targowy, ale z powodu braku zagranicznych kupców mały był popyt i ceny zboża nieco się chwiały. Pomimo tego i pomimo ostrzeżeń Kazia, żeby dzisiejszy transport złożyć do magazynu i czekać następnego targu, pan Mikołaj sprzedał po niższej cenie dwieście korcy, pieniądze wziął do kieszeni i z rachunkiem się nie pokazał. Mija drugi dzień cały, nie zgłasza się, więc posyłają zapytać, czy gdzie nie wyjechał.

— Nie, jest, tylko ma jakieś interesa w mieście.

Nie chcąc iść do niego, Stanisław czatuje, jak będzie przechodził koło okna, a spotkawszy — pyta, co się stało ze zbożem?

— Sprzedałem.

— Wiem, tylko gdzie rachunek i pieniądze?

— Wziąłem, bo mi było potrzeba, a rachunek zaraz przyszlę.

— Jakże tak można, przecież umowa...

— Myślę także kupić rzepaku na handel, panie dobrodzieju, więc te pieniądze zapiszcie panowie na mnie...

— Ależ kasa potrzebuje, mamy wypłatę za owies, któryś pan kupił...

— Ech, znajdzie się...

— Niema tyle, proszę, niech pan liczy.

— No, no, no, jak się znalazło na kukurydzę na rzepak dla panów, to i na wspólny owies się znajdzie — dokończył, śmiejąc się dwuznacznie i poszedł.

— Okropność! Co ten człowiek z nami wyrabia! Nie wytrzymam, jak Boga kocham, nie wytrzymam! — zawoła Stanisław, wpadając do żony.

— To się rozdzielcie! — mówi ona.

— Jak tu się rozdzielić, kiedy interesa powikłane i nieukończone... Ach ten Kazio, co on mi narobił!

Czem dalej, stosunki między spółnikami stawały się drażliwsze. Już zaprzestali ucześzczać do siebie, a gdy potrzeba było koniecznie porozumieć się w interesach, to odbywało się to zawsze z pewnemi docinkami, szczególnie ze strony pana Mikołaja, który stawał się już tak dalece impertynenckim, że Stanisław wysiłał się na cierpliwość, aby nie przyszło do awantury. Kobiety udając neutralność, spotykały się i niby to utrzymywały stosunki przyjaźni, lecz czuć było w tem wszystkim pewien przymus — o interesach rozdzielających mężczyzn nie bywało wzmianki. Pan Tadeusz, taki

przedtem nadskakujący dla pani Wandy, obecnie zsoli- daryzował się z ojcem i spotkawszy kogo z sąsiadów, robił surową minę i ledwie raczył się ukłonić. Jedna Marynia najwięcej może na tem cierpiała, płacząc tajemnie po nocach, bo Kazio już nie śmiał zajrzeć do Okoniewskich; czekała więc przy oknie, kiedy wchodził lub wychodził z domu, i uśmiechała się smutnie z wszelką ostrożnością, czy kto z domowników nie widzi.

W domu, szanowny pan Mikołaj co dnia miewał rozmaite usposobienia. Raz był śmiejący się i ręce zacierał, to znowu ponury, wzdychający, gderliwy. A narzekał wciąż, że tyle wydają na dom, że wszystko chcą po pańsku, jakby nie żyli z grosza, a mieli u siebie w domu fabrykę pieniędzy.

Z Poręby tymczasem transporta zboża coraz stawały się rzadsze i mniejsze, chociaż droga znakomicie się poprawiła i o najem furmanki nie było trudno. Zostawiony tam dozorca donosił coś nie jasno, że w Porębie już kończy się młocka pszenicy, a w innych folwarkach dopiero mają młócić na wiosnę, bo jest przyłożona innym zbożem. Pomimo naprzężonych stosunków między spółnikami, Paternacki odzywa się raz do pana Mikołaja:

— Geny spadają, zboża niema, co to będzie?

— Ha, trzeba tam pojechać — odpowiada żało- śnym tonem.

— Niech pan jedzie.

— Dlaczegoż ja?

— Dlatego, że pan jesteś z nimi w przyjaźni, i że kiedym ja chciał wstrzymać wypłatę pieniędzy, pan zaręczałeś, że zboża mają tyle, co sprzedali.

■— Jechać, to jechać, ale ja przecie Duchem świę- tym nie jestem, żebym miał za wszystko ręczyć. Ot, mówiło się, jak się wiele rzeczy mówi... Jednak pojedę, cóż robić, bo to już taka moja dola, gdzie nikt nie chce—tam stary Okoniewski.

Mówiąc to, udawał ofiarę szanowny pan Mikołaj, a właśnie jechał z wielką ochotą i przyjemnością. W mieście, załatwiwszy sprawę Ost-Bahnów, nudził się kapitalnie, a do Poręby coś go zawsze ciągnęło. Czy ten spokój i wygodki życia, czy partyjka ze stryjem starszkiem, czy polowanie, za którym przepadał, dosyć, że czuł się tam jakby w swoim żywiole. Nikt mu głowy nie kołatał, nikt nie strofował i nie wołał o pieniądze, nie widywał nienawistnych sobie spółników, nie słyszał w nocy turkotu wozów pod oknami, a w dodatku mógł czasami wyburczyć karbowego Błażeja lub nawy- myślać ludziom, czyszczącym pszenicę.

Kiedy zajechał przed ganek w Porębie, przyjęto go jednozgodnym okrzykiem: „A, pan Mikołaj, nasz kochany, zacny, przyjemny, nieocehioy pan Mikołaj!... Przecie... przecie...” — wołali wszyscy trzej panowie, podając go sobie kolejno w objęcia. I zaraz wołać Błażeja, Kaspra, Piotra, zabieraj rzeczy pana Okoniewskiego do oficyny, biegnij, niech podają obiad, a w piecu napalić, a niech gospodyni da świeżą pościel — słowem tak się cieszyli, jakby ten pan Mikołaj co najmniej był bezdzietnym wujaskiem, który jeszcze testamentu nie napisał. Ten pomagał odwiązywać zielony szal, skrzyżowany na piersiach gościa, ten ściągał futro z rękawów, a sam rządca, jak wiadomo, blizki krewny wielkiego pana, nie wstydził się wziąć do futrzanych butów pana Mikołaja i to z taką energią, że szlachcic nie mogąc

się oprzeć jego natarczywości, z krzesłem jeździł za nim po całym pokoju.

— Otóż to mi są poczciwi ludziska — myślał sobie Okoniewski, prowadzony z tryumfem do jadalnego pokoju. Tu już czekał go stryjasek z lampeczką domowej jarzębinówki, a z wazy dymiącej na stole wydobywał się kwaskowo dymny zapach barszczu sporządzonego na wędzonce.

Pytaniom, jak się ma pani dobrodziejka panna Marya dobrodziejka, rozumny i dystygowany prawnik, co słyhać w mieście, co słyhać na wielkim świecie—nie było końca. A gdy jeszcze pokazały się ulubione pana Mikołaja flaczki z imbirem i butelczyna znanego zieloniaku—nie można się dziwić, że szlachcic czuł się, jak w siódmym niebie i nie widział ani słyszał żyd-ka dozorecy, który jak duch Banka parę razy zjawiał się przy drzwiach jadalnego pokoju z raportem.

— Potem, potem! — mówi Okoniewski, dając mu znać, żeby sobie poszedł, choć widocznym było, że żyd ma coś ważnego zakomunikować swemu handlowemu pryncypałowi.

Po obiedzie cygaro dobre i czarna kawa, po kawie partyjka, potem herbata i kolacya z omówieniem projektu jutrzejszego polowania na lisy i to z naganką, potem wielka polityka europejska i wojna na wiosnę, wreszcie odprowadzenie łaskawego gościa do oficyny, gdzie panie dobrodzieju ciepło, jak w ulu, a miękko, jakby człowiek leciał gdzieś w przepaść.

Na drugi dzień żyd dozorca znowu czatował na pana Mikołaja, ale się widzieć nie mógł i dopiero wieczorem, kiedy panowie wysiadali z sanek z dwoma ubi-temi lisami, gwałtem potrafił go odciągnąć na bok i szeptać:

— Wielmożny panie, pszenicy już niema...

— Głupi jesteś!—mruknął pan Mikołaj...

— Ny, to co ja mam tu robić?

— Siedzieć i czekać!—odpowiedział, wchodząc do dworu.

Czy pan rzadca dosłyszał, czy też dorozumiał się, co żyd mógł powiedzieć Okoniewskiemu, dość, że sam po kolacyi wystąpił z tą kwestyą, że chociaż pszenicy w Porębie już niema, a ta, co była, haniebny w końcu dawała omłot, to zaraz rozpocznie się młocka banatki w Sękocinie, drugim folwarku, jak tylko odrzucą groch, który na niej jest ułożony...

Pan Mikołaj oświadczenie to przyjął łaskawie do wiadomości, a mimo, że brzęczały mu słowa spółnika o tych spadających cenach—nie śmiał ambarasować tak uprzejmych gospodarzy, jakby to zrobił pierwszy lepszy handlarz... To nie po obywatelsku—myślał sobie—cóż oni temu winni, że pszenica źle wydawała. Czy to się nie zdarza w gospodarstwie jeszcze gorzej... Człowiek rachuje w jesieni, że będzie miał tyle a tyle, a potem na wiosnę inaczej się pokaże... Zresztą i tak zboże musi pójść w górę, bo niepodobna, żeby Bismarck tak długo cicho siedział.

Zaspokoiwszy w ten sposób handlowe swoje sumienie, napisał list do Paternackiego i rezydował dalej w Porębie, grając po całych dniach w preferansa. Coś czwartego dnia z rana, kiedy jeszcze leżał sobie w łóżku, czekając na kawę, a na kominku ogień buchając ja-skrawym płomieniem, skłaniał do drzemki, przyszedł stary wujaszek z rozciągniętymi na widelkach skórami

lisów. Gawędzili to o tem, to o owśui, oglądając, gdzie dostał lis postrzał, aż z tego naraz skręca staruszek na córkę pana Mikołaja.

— Powiadam acanu dobrodziejowi, ten nasz Józef (tak jest na imię rządcy) nie "może się odchwalić, co to za miła dziewczeczka...

— Swojego chowu, panie dobrodzieju...

— Bo to powiada, fertyczne, zgrabne a wesołe. Hm... że mu zajechała do głowy, to zajechała...

I zaraz potem zaczął wychwalać pana Józefa, co to jest za człowiek, z jakiego to rodu, no i nie bez grosza... A proszę aspana dobrodzieja, podjął się być rządcą, tylko z przyjaźni... I wiesz asan dobrodzić, chcę mu puścić cały majątek w dzierżawę...

Pan Mikołaj słuchał, i jakoś przyjemnie mu się robiło na sercu, a choć gadaniny starego nie wypadało brać za formalne swatanie, to jednak miarkował, że to wszystko na wiatr się nie mówi.

— Ten, to przynajmniej człowiek do czegoś—myślał w duchu — a nie jakiś dziegiem woniejący sowizdrzał i zarozumialec, pobierający czterdzieści reńskich na miesiąc... Zaraz znać krew panie dobrodzieju... to nie syn aptekarski.

Dlatego też, gdy zeszli się razem na obiad, pan Mikołaj już nieco familiarnie zaczął traktować owego rządcę, a oczy mu się tak jakoś dziwnie śmiały, gdy dostrzegł pewne z jego strony zakłopotanie.

— A słuchajno panie Józefie — odzywa się, zapaliwszy cygaro — podobno chcesz wziąć Porębę w dzierżawę?

Rządca obejrzał się na wszystkie strony i skinął, na niego, żeby szedł do oficyny.

— Nie chciałem przy służbie mówić o takich rzeczach, bo to zaraz plotki, ale rzeczywiście mam ochotę i właśnie pana dobrodzieja, jako tak wytrawnego i rozumnego gospodarza, chciałem prosić o radę.

— Hm, dlaczegoż nie! Bierz, ziemia wyborna, aby nie drogo...

— Ech, co do ceny, to z Jaskułą sprawa łatwa. On chce się wyprowadzić do miasta i w najgorszym razie zatrzymać Porębę ze dworem, żeby miał gdzie przez lato mieszkać z dziećmi, a jabym wziął dwa folwarki. Tylko uważa pan dobrodziej, boję się...

— No, czego?

— Trochę to zawiele na moje fundusze. Trzeba- by roczne dać z góry, interesa tak wymagają, i dlatego gdyby zdarzył się ktoś porządny a uczciwy na Sękocin, jabym wziął Wolice... Człowiek sam, bez gospodyni, to jakoś trudno brać tyle na siebie.

— Hm—mruknął znowu Okoniewski, spojrzawszy filuternie w oczy mówiącemu.— Dlaczegożby się kto nie znalazł na Sękocin?

— Dworek jest i ogród, i rzeka też, a ziemia od zagona do zagoua pszeniczna...

— Hm,, może jabym sam...

— O, panie dobrodzieju, jakieby to było szczęście i dla Jaskuły i dla mnie, gdybyśmy mieli tak miłe i zacne sąsiedztwo...

— Zobaczymy—odpowiada na to Mikołaj—trzeba się rozpatrzyć i z kobietą muszę pogadać, bo to panie ona ciągnie do miasta, aby bliżej do Tadzia... zwyczajnie jak matka za jedynakiem.

— Niech pan dobrodziśj się zdecyduje, bo wierz

mi pan dobrodziej, że handle to nie dla naszego brata szlachcica.

— Niestety, wiem ci ja o tem, wiem. A szczególnie te spółki, to już kością mi w gardle stoja.

I folgując swemu żalowi, Okoniewski szeroko i długo rozgadał się o spółnikach, jacy to są ludzie chciwi a interesowni, jak to posługują się nim, a sami nic nie robią, jak on się musi pilnować na każdym kroku, bo to rozmaicie bywa...

Na drugi dzień pojechali obadwaj obejrzeć Sęko- cin, który się bardzo Okoniewskiemu podobał, a przy tej sposobności była mowa o paniach, że będą miały wszelkie wygody, pan Józef zaś tak miłe sąsiedztwo, za którym od dawna tęskni.

— To trzeba się ożenić!—występuje pan Mikołaj.

— Ba, żeby to można znaleźć pannę i z dobrego domu i po sercu, a tymczasem miło mi będzie korzystać z tak porządnego sąsiedztwa. Spodziewam się bowiem, że pan dobrodziej nie zamknie drzwi sąsiadowi...

To mówiąc, pan rządca dziwnie się jakoś rozczulił, że pocałował starego w rękę, Okoniewski znowu objął go za szyję i także pocałował w czoło.

Po tem niejako milczącym oświadczeniu się o Marynię i milczącej aprobacie starego, zeszła rozmowa na iundusze potrzebne do tej dzierżawy.

— ■ Ech, jakoś to sobie poradzimy — przerywa stary...

— A panu dobrodziejowi będzie łatwiej — mówi znowu rządca—bo jak mi się zdaje, zabraknie nam trochę zboża. Rachowaliśmy, że wszystkie kopy będą dawać po półtora korca, a tu powiem panu prawdę, na ostatku ledwie po półtory ćwierci.

— No, a cóż będzie z tamtymi?...

— Jakoś im się odda, może trochę innym zbożem, a zresztą cóż robić, jak nietna...

Pan Mikołaj nieco się zamyślił i kto wic, czy nie przypomniały mu się ostrzeżenia Stanisława. Żał mu było spodziewanych zysków, na które już liczył.

— Z panem dobrodziejem łatwiej pójdzie—rzecze pan Józef, jakby czytając w jego myśli — sądzę, że o te zyski stracone ułożymy się... Jaskuła jest bardzo za tem. A co do tamtych panów, to niech się sami upominają, wszak to oni ten interes, rozpoczęli...

U waga ta trafiła bardzo do przekonania Okoniewskiego i już od tej chwili widział się dzierżawcą w Sęko- cinie, a swoją córkę panią Józefową z Woliey. Zaczął tedy rozmyślać, ile on może włożyć w gospodarstwo, gdzie kupić woły i konie, gdzie kazać wozy robić, a wreszcie, czy się nie uda odkupić pary kasztanków, które, wyprowadzając się z Borowicy, sprzedał sąsiadowi.

— Zadni i poczcwi ludziska — kończył zawsze wieczorne swoje dumania — oni mi krzywdy nie zrobią.

IX.

W mieście z chwilą wyjazdu szanownego wspólnika kontrola nad postępowaniem Maryni od razu zwolniła, a choć pan Tadeusz, niby generalny zastępca ojca, jeszcze się chmurzył, widząc rozmawiających Kazia ze swoją siostrą, to względy finansowej natury zdołały udobruchać tego tak surowego dozorcę. Stary Okoniewski mało co pieniędzy zostawił żonie, więc z konieczności musiała się udać o zaliczkę do kasy spółników, z czego także i on korzystał więcej, niżby wypadało. Kochankowie zatem odżyli trochę, a ta swoboda czasowa kazała im prędko zapomnieć o tem, co było i nie myśleć o tem, co może nastąpić. Widywali się znowu codzień, chodzili do teatru, na przechadzki, a nawet Marynia zaczęła uczyć się ślizgać na łyżwach, w czym Kazio i brat Tadeusz, uchodzący za mistrza w tej sztuce, gorliwie jej pomagali. Uszczęśliwionej dziewczynie ani przez myśl nie przeszło, że stary ojciec wspólnie z panem rządcą Józefem, kuja tam w Porębie plany na jej uszczęśliwienie, nie puszczając jakiegobądź przeszkody.

Owa uroczysta i pełna błogiej rozkoszy cisza trwała coś ze dwa tygodnie, a choć pan Stanisław niepokoił się, że zapowiadanej z drugiego folwarku banatki nie widać, to Kazio, zapomniawszy o całym świecie, puszczał mimo uszu ciągłe utyskiwania szwagra, jakby te ani jego osoby, ani jego interesów nie obchodziły.

Aż tu pewnego dnia, wśród tak pogodnego nieba spadły naraz dwa pioruny w postaci dwóch listów, które odebrali jednocześnie prawie pan Stanisław od dozorczy żydka z Poręby, że pszenicy już do młócenia niema, a pani Okoniewska adresowany do męża z Wrocławia. Ten drugi list był rekomendowany, a na kopercie miał nadpis firmy handlowej braci Eibenhut i spółka.

Stanisław, przeczytawszy relacją dozorczy, rzucał się jak opętany, wymyślając na wszystkich, którzy go do handlu namówili, a szczególnie na Kazia i Okoniewskiego. Pokazało się bowiem, że nawet połowy sprzedanej pszenicy ci panowie nie dostawili, więc teraz procesuj się, proś i upominaj o swoje pieniądze i narażaj na różne szyderstwa. Posłano po Fridlera, którego zaraz na pierwszym wstępie obrzucił pan Stanisław gradem zarzutów i wymówek. Żyd ze stoicką powagą i cierpliwością wytrzymał pierwszy atak, dziwiąc się, jak panowie mogą w takich rzeczach mieć pretensji do faktora, który nie jest ani rządcą ani karbownikiem u dziedziców, mających zboże do sprzedania.

— No, co pan chce Adeninie! Mój interes jest zarobić komisowe... Jak ja nie mógł ręczyć za panów, czy będziecie mieli tyle pieniędzy na to kupno, tak samo nie mogę zapewnić, czy oni mają tyle zboża...

Nie było co argumentować dłużej, lecz zaczęto radzić co tu zrobić i stanęło na tera, że Fridler pojedzie z listem pana Stanisława do Poręby, żeby jakoś wyrozumieć, co oni myślą.

W domu znów Okoniewskich ten pilny list z Wrocławia również niepokoił panią Mikołajową. Mało wiedziała o interesach męża z Dawidem, bo szlachcic nie bardzo jej się zwierzał, więc gdy przyszedł Tadzio % prelekcyi, postanowili list odpieczętować i przeczytać. Pismo było w języku niemieckim i takim stylem handlowym pisać?, że Tadzio ani odczytać, ani zrozumieć nie mógł, poproszono więc pana Kazimierza.

— Donosi dom handlowy z Wrocławia — mówi Kazio — że odebrał awizo nadesłanego sobie z Pesztu transportu wełny z polecenia pana Okoniewskiego, ale że wełna jest ordynaryjna i małej wartości, więc nie może zapłacić nałożonej na nią przez wysyłającego zaliczki. Zostawia ją przeto do dyspozycyi w magazynach kolejowych.

— ■ To nie do mojego męża!—odzywa się Okoniewska — zkadże mój mąż wełnę posyła, z Pesztu — w tej chwili bowiem zapomniała o Dawidzie i jego operacyach.

— Jeszcze tu w dodatku pisze, że poprzedni transport dotąd nie sprzedany i, że wełna jest nieczysta, mieszana, zupełnie inna, niż była w próbce—pyta więc, co ma z nią robić, bo więcej jak 46 talarów za centnar nie dadzą.

— Mój drogi panie — rzecze znów Okoniewska — to nie do nas... Niech pan będzie łaskaw odpisze tym panom, że...

— Mameczko!—przerywa pan Tadeusz — a może to do ojca, bo pamięta mameczka, że tata mówił raz o wełnie, że posłał Dawida gdzieś do Węgier...

— Prawda, może być, a czy to co złego w tem, co oni piszą?

— Zdaje mi się, że nie bardzo pomyślnie, jeżeli nie chcą odebrać z kolei. Radzę przeto posłać ten list do Poręby, bo czem dłużej towar będzie leżał w magazynie, tem większe narosną kosza... Właśnie wysyłamy tam Fridlera.

Pan Tadeusz, dołączywszy parę słów od siebie, kopertę napowrót zakleił i jeszcze wieczorem dnia tego odebrał pan Mikołaj wspomniane pismo. Nie czytał go zaraz, bo właśnie panowie grali w preferansa, a karta szła mu szalona, więc dopiero przyszedłszy na noc do swego pokoju, rozciął kopertę i zdziwił się nie- pomału, jakim sposobem w liście z Wrocławia znajduje się kartka pisana ręką syna.

Okoliczność ta i wzmianka, że z porady pana Kazimierza wysyłają ten list umyślnym, już go zirytowała, a gdy przeczytał jeszcze nie bardzo zrozumiałe dla niego wezwanie i cenę 46 talarów za centnar, uczuł się mocno zaniepokojonym. Nie wiele tedy myśląc, wraca napowrót do dworu z prośbą o furmankę na jutro,

1 właśnie trafia na walną naradę obydwóch panów z Fridlerem.

— Pan dobrodziej wie, co tu pisze Paternacki — odzywa się rządca, pokazując list.

— A niech sobie pisze, co chce!—zawoła zirytowany—mam ja już dosyć tych spółników...

— Grozi procesem...

— -To ich kupiecka sztuka panie dobrodzieju.

— A pan dobrodziej aprobeje?

— Ja? albo ja waryat! Mało mam innych kłopotów na głowie, żebym w nowe wchodził...

— Więc co do pana możemy być spokojni?

— Naturalnie, przecieżeśmy mówili, że zostanie moja część na tę dzierżawę...

Jaskuła i rządcą uścisnęli serdecznie rękę szlachcica, furmankę na dodnia zapowiedziano i pan Mikołaj cały wzburzony już nie kładł się spać do łóżka, lecz tę noc przechodził, odczytując kilkanaście razy owe fatalne pismo z Wrocławia.

Przyjechawszy do domu, wpadł jak bomba do pokoju i od razu wybuchnął z pretensją do żony, kto i kiedy upoważnił ich do otwierania listów do niego adresowanych.

■— Myślałam, że coś pilnego — tłumaczy się żona. — Zresztą pan Kazimierz, który się na tem zna...

— Tak samo, jak wy!—krzyknie, oczyszczając się z drogi.—Ciekawość kobieca, nic więcej...

— I Tadzio radził...

— Ja jemu dam rajcować tutaj! Student niech pilnuje książki...

— A jednak tyle razy prosiłam, nie wdawaj się z tymi żydami... Nie słuchałeś i teraz masz!

— No, co mam co? — krzyczy już cały ponsowy, stając przed żoną. — Że ten facet, fanfaron, nagadał ci biedni, to zaraz: prosiłem nie wdawaj się... Moja kochana, zostaw mnie interesa, a sama pilnuj swego... Ja, wiem co robię.

— I wybiegł do miasta zaraz i dalejże szukać przyjaciela wekslaiza, aby mu treść i znaczenie owego listu wytłumaczył. Zaprosiwszy go na piwo do restauracji, siedli w kąciuku i rozpoczęło się czytanie. Żyd

powiedział mu to samo, co Kazimierz i radził, żeby dać komuś polecenie w Wrocławiu do wykupienia towaru, inaczej koszta składu na kolei, dojdą do ogromnej cyfry.

Pan Mikołaj usłyszawszy to, o ino że się nie rozplakał. Zwiesił głowę nad stołem i kompletnie odretwiął. Widząc to wekslarz, zaczął go uspokajać, że to nie jest tak źle, że chwilowo mogły spaść ceny i żeby zetelegrafować o wyjaśnienie do Dawida.

Tej myśli uchwycił się pan Mikołaj obiema rękoma, więc zabrawszy wekslarza do domu, razem z Tadeuszem wykoncypowali telegram, który natychmiast do Pesztu wysłano.

Nie życząc nikomu doświadczać podobnego stanu zaniepokojenia, w jakim znajdował się nasz szlachcic podczas tych długich godzin, gdy czekał na odpowiedź z Pesztu. Skryty z natury, usposobienia zawsze despotycznego, jak każda zarozumiała miernota, nigdzie sobie miejsca nie mógł znaleźć. Cała rodzina musiała siedzieć cichutko po kątach, bo wszystko go drażniło, wszystko mu przeszkadzało, a najmniejszy objaw współczucia żony wywoływał gwałtowny wybuch gniewu i szereg narzekań, że to nikt inny, tylko ona i ten syn jej Tadzio są winni temu, że się wyprowadził do miasta... Kolacyi nie tknął, rozbierać się nie myślał, a tylko chodził, kombinował, ów list niemiecki czytał, i niech odezwie się dzwonek przy bramie, on wskakuje na stół, otwiera lufcik, wysadza przez okienko głowę i pyta, czy to nie telegram do Okoniewskiego.

Tak zeszła cała noc wszystkim, bo i kobiety martwiąc się, płakały po cichu, a p. Tadeusz złorzeczył w myśli sąsiadom, którzy podług niego, rozpoczynawszy handel, byli powodem, że ojciec puścił się na takie spe-

kulacye. Nareszcie dzień zaczął się robić, szlachcic już nie mógł wytrzymać i nałożywszy futerko, pobiegł do biura telegrafów. Lecz panu Dawidowi w Peszcie widać nie było tak pilno, bo jeszcze pana Mikołaja wytrzymał w takim rozdrażnieniu do samego południa.

Telegram jest—szlachcic czyta i nowe życie wstępuje w niego. Dawid oburzony donosi, że to nie może być, aby dom Eibenhut i Spółka był tak niedelikatny, że to jakaś pomyłka że telegrafuje do nich. Proszę być zupełnie spokojnym—dodaje w końcu—list objaśni, werna idzie w górę.

Gdy zobaczyła pani oknem, wracającego męża ze śmiejącymi się oczyma, aż się przeżegnała z radości, i czempredzj kazała podać obiad. Pan Mikołaj jadł, jak wilk zgłodniały, zapewnienia Dawida były dlań wystarczające, potem jak się położył spać po obiedzie, tak już na kolacyą nie mogli go rozbudzić.

Tymczasem pod wieczór nadciągnęli z Poręby pan Jaskuła z rządcą i Fridlerem.

— Nie chcę ich widzieć!—zawołał pan Stanisław, kiedy mu dano znać, że jutro rano przyjdą do kantoru.

— Stasiu, jakżeż można—perswaduje żona—czy się ich boisz?...

— Nie boję się, ale wszystko mi obmierzło, nic mogę już myśleć o interesach.

— Więc jakże będzie? Stracisz, jak się nie dopilnujesz... Przecie masz obowiązki...

— Niech stracę, a nie mogę...

Z porady Kazia zaproszono na konferencyą jednego z miejscowych adwokatów. Był to młody jeszcze ale zręczny, przytomny i rozsądny prawnik, więc napomknąwszy owym panom o dowodach, że sprzedając taką partyą zboża, wiedzieli, że jej mieć nie mogą z tylu a tylu kóp—skłonił do zgodnego załatwienia sprawy Zresztą sam właściciel Poręby, widząc krzywdę kupujących, od razu deklarował uczynić wszystko, co w jego możliwości.

Do układów przywołano pana Okoniewskiego. Ten zaczął ni to, ni owo, ja się zdaję na szlachetność pana Jaskuły, który mi krzywdy nie robi i jak nie może zaraz oddać, ja poczekam.

— Więc pan odstępujesz od układów? — pyta go adwokat.

— To jest panie dobrodzieju—mówi zakłopotany, spoglądając na rządcę—ja tego... jeżeli.

Pan Józef odciągnął go na bok i zaczęli coś szeptać, a skutkiem tej narady oświadczył, że co do jego trzeciej części on zrobi oddzielny układ z panami, i zwalnia ich od kontraktu.

— Niech pan da piśmienne zapewnienie — mówi adwokat...

"— I... nie trzeba, my się tam już pogodzimy.

Cały dzień jeszcze trwały układy. Panowie wychodzili, wracali, udawali się ze swój strony do innego adwokata i stanęło na tein, że zamiast pszenicy, której już niema, Jaskuła oddaje wszystkie inne zboża, zbywające od potrzeb miejscowych po cenach umówionych, a gdyby i to nie wystarczyło na pokrycie całej należytości, resztę z procentem sześć od sta wypłaci za rok z pierwszeństwem znowu zakupna nowego zboża.

— Od złego dłużnika biorą się i plewy!—zawołał Stanisław, gdy mu przyniesiono notaryalny i formalnie sporządzony układ do podpisu.—Przynajmniej możemy się teraz pozbyć miłego spółnika i ostatecznie obliczyć.

A. Wilczyński.—Tom XX.

— Dzięki inteligencyi handlowej twego brata— mówi potem do żony—wychodzę na tym interesie z obrwanymi połamami. I dobrze mi tak, ho człowiek nigdy nie uwierzy, dopóki sam się nie sparzy... Zapłaciłem frycowe, ale przynajmniej wielki ciężar spadł mi z serca, pozbywam się niedołęznego spółnika. No, pójdź Wandziu, nie chmuiz się, niech cię uściskam, bo teraz dopiero odetchnąłem swobodnie.

Tego samego wieczora było u państwa Okoniewskich wielkie przyjęcie. Obaj panowie ze wsi bawili tam do późna w nocy; pan rządca ofiarował Maryni pudełko cukierków i tak się jakoś do niej przysiadł, a stary takie prawił dwuznaczniki, że biedną dziewczynę szczególniejszy strach ogarnął. Kręciła się tu i tam, zastępując matkę, lecz wszystko jej szło na opak. Matka się gniewała na tę nieporadność i ciągle dawała znaki, żeby to lub to podać, to przynieść, tego prosić. Chodziła więc, jak błędna, a serce jej się ścisnęło, oddechu nie stawało, i nogi tak się plątały, że kilka razy o mało nie padła zemdlona.

Po wyjściu panów i ucałowaniu jej rączek z dobitnym spojrzeniem w oczy przez pana Józefa, stary Okoniewski, który podobnie, jak goście jego, miał trochę zapruszoną głowę, zbliżywszy się do córki, wziął ją z karesem pod brodę.

— A co, tęgi chłopak z Józefa, hę?... Pieczesz raki, hę?... podoba się... Dobrze, dobrze, moja pieszczołko, to mi przynajmniej człowiek, a nie jakiś chłystek woniejący dziegiem.

— Proszę tatki, niech tatko da mi pokój!—mówi z pewną niecierpliwością w głosie, wywijając się lekko z przed niego.

— Az jakiej familii! — prawi swoje Okoniewski, gładząc z powagą wąsy. — Bierze cały klucz Porebski w posesyę, z którego i my tam coś oberwiemy... Powiadam wam—mówi już zwracając się do żony i syna— biorę Sękocin od nich. Czteryście morgów ślicznego czarnoziemiu, dworek, jak pałacyk, ogród, rzeka i takie zacne sąsiedztwo... Już pomiędzy nami wszystko ułożone, obliczyli mi po pół reńskiego zysku na pszenicy, której nie dali i dzięki Bogu, że się wycofam z tej miłej spółki. Niech handlują dalej. Tak tedy matko dobrodziejko na wiosnę marsz na wieś, a potem... może się i wyprawi weselisko... Cha, cha, cha, czegoż uciekasz!—woła za Marynią—będziesz panią i basta! — Powiadam wam— odetchnąłem, gładko się wycofam z interesu, a ci niech sobie handlują dalej...

X.

Trochę zawczasie wyrwał się ze swoim odetchnięciem pan Mikołaj, bo nie dalej, jak na drugi dzień rano odebrany list z Pesztu od Dawida, tego odpoczynku nie zapewnił. Uczciwy ten i zacny agent rozpiśtał się aż na trzech stronicach, najprzód, że jest chory na duszność, którą się nabawił, zwiedzając magazyny z wełną i dlatego lekarze kazali mu brać ciepłe kąpiele w wodzie, która jest gorąca na drugiej stronie Dunaju; parę tygodni zatśm musi tu pozostać. Dalej, że z wełną jest trochę flau, bo Australczycy przyplłynęli do Amsterdamu na trzech okrętach, ale ich wełna jest sucha, to oni nie zrobią takiego interesu, jak myślą. Następnie dołączywszy odpowiedź telegraficzną z Wrocławia od domu Eibenhut et Comp., który jest bardzo znaczny dom, objaśnia, że oni, nie znając nowego klienta Okoniewskiego, nie mogą wełny odbierać; radzi tedy, żeby pan Mikołaj pojechał sam do Wrocławia i z nimi się poznał, to wszystko będzie dobrze. Wreszcie posyła mu oryginalne rachunki na kupione partye wełny, zapewniając, że pochodzą również od bardzo znakomitych i bardzo bogatych firm handlowych w Peszcie, jak zaś wróci po wyzdrowieniu, to z reszty pieniędzy złoży rachunek.

Po przeczytaniu tego listu na twarz szlachcica znowu pons wystąpił i nic nie mówiąc nikomu, zabrał wszystkie papiery i poszedł szukać wekslarza. Po drodze doręczono mu drugi list z Wrocławia, w którym ostatecznie wzywają go, aby wełną, zostawioną mu do dyspozycji, rozprządał.

Nowy niepokój, nowe narady już z przybraniem trzeciego żyda, dawniej handlującego wełną. Powiadają mu: Niech pan jedzie natychmiast do Wrocławia i coś z tym transportem zrobi, bo inaczej kolej sprzeda za bezcen na licytacji.

Po obliczeniu rachunków przysłanych przez Dawida pokazało się, że przynajmniej trzeba tysiąc parę set reńskich mieć w kieszeni, żeby wykupić towar i fracht zapłacić.

— No, a gdzie są moje pieniądze! — zawoła wzburzony szlachcic — które posłałem Dawidowi.

Obliczono i Dawida, a z tego znowu wyszło, że on około ośmiuset guldenów zatrzymał u siebie, z których obiecuje złożyć rachunki, jak przyjedzie...

Okropność, co działo się z panem Mikołajem po tem wszystkim! W oczach mu się zaćmiło i o mało nie zemdlał, aż żydzi musieli go ratować w piwiarni, nim przysłała rada z kąd tu wziąć pieniędzy... Wprawdzie miał jeszcze w swej skrzyni kilka listów zastawnych, ale te już nie wystarczały, zaś akcyi Ost-Bahnów i innych papierów spekulacyjnych ruszać niepodobna, bo kurs ich tak niski, że zmieniając je, musiałby pół na pół stracić... A jednak wełnę ratować trzeba!...

Rozgorączkowany i cały wzburzony wpada do kantoru spółników.

— Słuchajcie panowie—mówi, udając spokój—■ dajcie-no mi z kasy tysiąc reńskich na mój rachunek.

Obaj spółnicy spojrzeli na niego wielkimi oczyma.

— Z jakiej racy? — odzywa się po chwili zdumienia Stanisław.

— Z takiej, że mi się należy. Spółka już rozwiązana...

— Ale nie obliczona.

— A cóż tu długo rachować!—mówi nieco podniesionym głosem, wydobywając swoją notyskę z kieszeni.— Za zboże wzięło się tyle, moja trzecia część tyle... wzięłem na to tyle...

— Za pozwoleniem — przerywa mu Stanisław — a wydatki?

— No, co mogą wynosić te wydatki, parę set reńskich...

— Jednak trzeba obliczyć, tak nie można...

— Więc proszę o tysiąc reńskich teraz, a rc:>ztł jak się skończy...

— Najprzód tyle się panu w żaden sposób nie może należeć, powtóre zapomniałeś pan, że mamy owies jeszcze kupiony przez spółkę...

■— Ja się zrzekam tego kupna...

— Ale ja się na to nie zgadzam...

— Więc nic nie dacie?

— Dopóki nic obliczymy—nic!...

— Więc proszę liczyć zaraz, bo ja koniecznie tych pieniędzy potrzebuję...

— To się nie da — wtrąca Kazimierz—nie mamy rachunku od dozorczy z Poręby; są różne efekta wspólne...

— Jaki mi rachmistrz z pana!—ofuknie z szyderyczym uśmiechem. — Cóż to na obliczenie tysiąca guldenów potrzeba miesięcy?

— Proszę pana, niech pan się nie unosi i nikomu nie ubliża!—zawoła nieco żywiej Stanisław.—O o się panu należy, będziesz miał do centa wypłacone, jak likwidacja się skończy.

— Bójcie się Boga! — mówi już zmieniając front pan Mikołaj — kiedy ja gwałtem potrzebuję, inaczej będę zgubiony...

— Otóż na taką mowę mogę panu tak samo otwarcie powiedzieć, że w kasie mamy wszystkiego parę set reńskich i te potrzebujemy na wydatki bieżące...

— Więc gdzie się podziały pieniądze!

Kazio zaczął go objaśniać, przerzucając kartki książki kasowej, gdzie i na co większe kwoty wydano, lecz szlachcic ani był w stanie zrozumieć, co on mówi do niego... Stał i patrzył bezmyślni?, jak człowiek, któremu zaczyna mącić się w głowie...

— Więc nie macie litości nad człowiekiem, który ginie!—zawoła, chwytając czapkę...

— Daję panu słowo honoru, że pieniędzy nie mam!

— Hm, ja wiem, że nie macie... dla mnie nie macie, ale na rzepak, kukurydzę, macie!—krzyknął, wybiegając z pokoju i z furją trzaskając drzwiami.

Żona i córka przerażyły się okropnie, zobaczywszy, jak stary wtoczywszy się do pokoju runął na krzesło, głowę pochylił i ręce załamał...

— Co ci jest?

— Co tatce się stało?

— Zgubiony!... zabity, zrujnowany!... A bodaj- byra był tej godziny nie dożył, nimom wszedł w te interesa... Zlituj się matko nademną—błaga, wyciągając ręce do żony—idź do nich, proś, niech dadzą tysiąc reńskich... Ci ludzie bez miłosierdzia, chcą, żebyśmy z kijem poszli!

I rozplakał się stary, jak dziecko...

W sercu Maryni coś zadrżało żywiej. Chwyliła chustkę na ramiona i nic mówiąc ani słowa, pobiegła do pani Wandy.

— Kochana, droga pani, ratujcie ojca! — zawoła, całując ją gwałtownie po rękach—on zmysły straci!

Ani jedna, ani druga nie wiedziały nic więcej nad to, że tu o jakieś tysiąc guldenów idzie. Zawołano więc Kazia z kantoru i ten ich objaśnił, jak rzeczy stoją.

Przez czas opowiadania biedna dziewczyna patrzyła na niego tak błagającym i rozpaczliwym wzrokiem, że bez namysłu postanowił zrobić dla jej ojca, co tylko jest możebnem.

— W kasie, wiem, że mało jest pieniędzy i ja niemi dysponować nie mogę, ale co mam swoich, daję tymczasem.

To mówiąc, wyjął pugilares z kieszeni, wyrzucił z niego cały swój majątek, którego pokazało się coś dwieście guldenów. Pani Wanda poszła również z prośbą do męża.

— Panie Kazimierzu, jaki tyjeste' dobry!—mówi panienka, chwytając go za rękę —ja tego nigdy nie zapomnę...

— Zawstydzasz mię pani — odpowiada, pieszcząc jej rączkę w swoich dłoniach, — Za co?... że pożyczam

dwieście reńskich. Żądam krwi i życia mego, a gotów jestem dać go w każdej chwili. Szczęście, jakie mi daje twoja miłość, nie ma żadnej ceny.

Stanisław sprzeczał się sam dość długo z żoną, jednak dał, co miał w tej chwili—trzysta reńskich, któro zabrawszy Marynia, pobiegła do domu.

— Jest proszę tatki pięćset reńskich! Jak tatkę kocham, dali wszystko, co mieli; pan Kazimierz dwieście, bo przy mnie wytrząsał cały pugilares, a pan Paternacki trzysta...

Rozjaśniły się trochę oczy zdesperowanego szlachcica, lecz i w tej nawet, tak uroczystej chwili, nie mógł się pozbyć uprzedzenia i podejrzeń do młodego Kazimierza, albowiem przeliczając przyniesione pieniądze, odezwał się z ironią:

— Mój Boże, czterdzieści reńskich bierze na miesiąc, a ma dwieście na zawołanie... Co to za wzór oszczędności!

Słowa te bardzo przykre zrobiły wrażenie na córce i wstyd ją ogarnął przed samą sobą za ojca. Westchnęła tylko, pokręciła główką i wyszła zadumana z pokoju.

W jaki sposób poradził sobie pan Mikołaj, żeby zebrać potrzebną sumę, to chyba wekslarz jego mógłby nas objaśnić. Wiem, że chodzili oba z panem Okoniewskim po bankach, żeby Ost-Bahny zastawić, ale ich przyjąć nie chciano i dopiero jakiś lichwiarz zdecydował się na trzy miesiące z małym bardzo procentem, bo tylko po trzy od sta na miesiąc, dać niewielką zaliczkę. Bądź co bądź jeszcze tego dnia wieczorem wyjechał do Wrocławia, zabrawszy na swój koszt wekslarza jako doradcę.

Po wyjeździe starego, stosunki Kazia z Marynią znowu się polepszyły. Czy pani Okoniewska wtajemniczoną. była w plany małżonka co do przyszłości córki i ich nie aprobowała, czy też po prostu do Kazia miała sympatyą—dość, że nie bronila mu przychodzić, jak da- wniój wieczorem na herbatę, z czego nadzieje ich zaczęły się odżywiać. Dziewczyna w tak krótkim czasie znajomości z Kazimierzem, jakby cudem jakim przedzie- rzgnęła się w myślącą poważniej kobietę.

Chwilo pokoju i lepszej otuchy pewnego dnia przerwane zostały przybyciem z Poręby pana rządcy Józefa, który znów z pudełkiem cukierków i dwoma wazonikami kwitnącej kamelii, cały wyświeżony, zjawił się w mieszkaniu państwa Okoniewskich. Z dyplomatyczny uprzej mością, już prawie wrodzoną kobietom, przyjęła ona te podarki, chłodno i obojętnie, niby to podziwiając piękność kwiatów, i częstując wszystkich owemi cukrami, co jednak pan Józef brał za dobrą dla siebie wskazówkę. Zaproszono go na obiad, pan Tadeusz asystował mu z familiarną grzecznością, w charakterze przyszłego szwagra, czem zachęcony konkurent sadził się na komplementa, pilnując każdego ruchu i spojrzenia Maryni, żeby jej wody nalać do szklanki, podać półmisek i targować się do upadłego, że potrawy ona naprzód brać winna.

Rozmowa toczyła się prawie tylko- o wsi, a szczególnie o polowaniu, które pan Tadeusz namiętnie lubi, o przymiotach psów, o gonitwach chartów, kiedy dają zwroty szarakowi, jak przez starego zajęcia czasem przeskakują, jak zachodzą drogę na przełaj i t. p., ale po obiedzie pan Józef upatrzył chwilę, kiedy mógł mówić

sam z Marynią i po dłuższych preambulacyach wyst: j pił z formalnem oświadczeniem.

Szaro już było w pokoju, więc pan Józef nie dostrzegł niezwyklej bladości twarzy Maryni, ale za to, stanąwszy blisko, może słyszał przyśpieszone jej tętno serca. Nastąpiła chwila wzajemnego i bardzo dla stron obu kłopotliwego milczenia. Przerwał je pan Józef.

— Wszakże szanowny ojciec pani mówił już o mnie... to jest o moich zamiarach?

— Nic nie mówił—odpowiada suchym głosem Marynia.

— Mam przecież pewność, że sprzyja moim zamiarom, a zdaje mi się, że i pani nie może mi być tak bardzo nieprzychylną...

— Owszem, szanuję pana, wysoko cenię i wdzięczną jestem, że ojca tak panowie lubicie...

— A zatem pani się zgadza...

— Bardzo mi przykro, ale nie! — odparła stanowczo dziewczyna.

Pan Józef ustąpił krok w tył, jakby przestraszony niespodziewaną rekuzą.

— Dlaczegoż? Czyż jestem stary, czy ułomny, czy letkiewicz... albo ze złej rodziny?...

Dzięki Bogu, mam swoje fundusze, biorę całą Porębę w dzierżawę od św. Jana i proszę pani, nikt mi nie zarzuci...

— Ja tego wytłumaczyć panu nie mogę, dlaczego .. Owszem, nic panu z jego przymiotów nie ujmuje, tylko nie mam dla niego takiej sympatii, jakiej potrzeba między osobami, które się chcą pobrać.

I postąpiła parę kroków ku drzwiom z tuką powagą, jakby to była już wytrawna dama salonowa, a nie siedmastoletnia dziewczyna. Pan Józef usiłował je

szcze raz przedłożyć swoje sentymenta, ale Marynia szła, nie odpowiadając wcale, a właśnie w tej chwili zbliżyła się matka. Pan Józef, pokraśniały, jak burak ćwikłowy, chwycił za czapkę...

— Nie zostanie pan u nas na herbacie? — mówi grzecznie staruszka.

— Nie, upadam do nóg! — zawołał obrażony i skonfundowany, a skinąwszy ledwie głową zdziwionej gospodyni, wybiegł przez kuchnię do sieni, gdzie spotkał go pan Tadeusz.

Zaczęły się dopytywania, co to się stało, dlaczego, potem wyszli obaj na dziedziniec i długo chodzili, rozmawiając żywo, a pan Józef rzucał się, jak szczupak, rękoma gestykulował, obracając wciąż ku mieszkaniu państwa Mikołajów.

— A, ślicznie się spisała Marynia! — zawołała, wpadając do pokoju młody prawnik. — Tak, niech mama pieści, niech mama pochwała waryacye — mówi, widząc, że stara trzyma na kolanach głowę zanoszącej się od pJaczu panienci i przesuwając ręką po jej włosach.

— Dałbyś pokój! — ofuknie zagniewana...

— Najlepiej tak... Ojciec się bardzo ucieszy, gdy wróci... Oto są skutki romansów i sentymentów poetyckich... Odrzucić taki los!...

— Wstydz się Tadziu...

— Ja się moich przekonań nie wstydzę... Rozum powinien człowiekiem rządzić, a nie jakieś niedorzeczne sentymenta... Kogo ty znajdziesz lepszego? panna bez posagu, bez edukacji!...

Dotknięta boleśnie i rozżalona, Marynia milczała, a stara Okoniewska ostro zaprotestowała przeciw zasadom syna.

— Mameczka ma zawsze swoją sercową filozofią — odparł Tadzio — a ja mówię, że sentymentalizm zawsze nas gubił i jeszcze zgubi. Życie jest walką o byt, i kto odważniej i z lepszą bronią do niej staje, ten wygrywa.

— No, to ty tak będziesz robił, jak się będziesz miał żenić! — odpowie matka, i serce się jej ścisnęło, a łzy stanęły w oczach. Marynia zaś jeszcze bardziej przytuliła się do niej, czując, że słowa syna tak boleśnie ugodziły ją w serce.

— Ja wiem, co to wszystko znaczy! — prowadzi dalej rzecz swoją pan Tadeusz — to ta fryzowana małpa zakręciła ci głowę... Piękne porównanie! Jakiś pisarek bez żadnych studyów, zarozumialec, blagier, a to obywatel ziemski. Przyznam ci się, że wstyd by mi było mieć takiego szwagra kupczyka. Ale ja wiem, co zrobię, niech Ojciec się tylko tu zjawi, bez ceremonii pokażę mu drzwi i precz!

— Skończyłeś? — zapytuje Marynia już z suchemi oczyma — więc ja ci teraz powiem, że ten pisarek, o którym tak się pogardliwie odzywasz, bez studyów, więcej ma w jednym palcu rozumu, niż ty w całej głowie, że to jest człowiek z szlachetnym sercem, a ty niedowarzony student, powtarzający jak papuga cudze opinie.

Tadeusz chciał widocznie replikować ostro, ale matka przerwała tę nieprzyjemną międzyrodzeństwu dysputę. Zreszta i sam kawaler, pozujący na filozofa, wkrótce się u pamiętał, tłumacząc, że głównie szło mu

o przyszłość siostry, a trudno zaprzeczyć — mówił, iż dla mnie także przyjemniej mieć szwagra bogatego

i obywatela, niż pierwszego lepszego. Prośba i perswazye matki w końcu tyle zrobiły, że postanowiono nic mówić

wić nic o tem ojcu, w sekrecie bowiem zwierzyła się synowi, iż może Marynia jeszcze się namyśli.

Dopiero w kilka dni powrócił z Wrocławia pan Mikołaj, niezmiernie zkwaszony i zamyślony, choć bez żadnych gwałtownych wybuchów. Nie powiedział ani słowa, jak mu interesa poszły, tylko na wspomnienie agenta Dawida czerwieniał, zęby zaciskał, a z siwych oczu rzucał pioruny.

Przez całe dwa dni siedział w swoim pokoju i ciągle coś rachował, wzdychał, a tak był przykrym dla domowników, że Marynia nie śmiała nawet pójść i prosić go na obiad. Widocznie, że z temi rachunkami nie mógł sobie dać rady, a wekslarzowi przestał ufać, skoro trzeciego dnia zbardzo uprzejmą i serdeczną miną zjawił się w mieszkaniu pana Kazimierza. Co mówili z sobą i co robili przez cały ten wieczór i dwa następne, trudno się było dowiedzieć; Kazio bowiem na liczne pytania siostry odpowiadał, że dawszy słowo honoru Okoniewskiemu na dotrzymanie tajemnicy, tego złamać nie może. Natomiast widziano, że pan Mikołaj kilka razy na wieczór przybiegał zaaferowany do domu, że szukał rozmaitych papierów i listów to w biurku, to po kieszeniach surdntów, że gniewał się na nieporządek w domu i ruszanie jego dokumentów przy ścieraniu kurzów.

Konferencye tajne skończyły się i pan Mikołaj razem z Kaziem udał się do tego samego młodego adwokata, który tak był mu pomocnym w załatwieniu sprawy z Jaskułą; skutkiem czego stary znowu, pomimo gorączkowej ruchliwości, z jaką cały dzień biegał po mieście—mniej jakoś rozpaczał i zdawał się być lepszej myśli. Na nieszczęście jednak, nie było mu przeznaczono- nem długo zażywać spokoju. Panowie z Poręby, trzeba im to przyznać, sumiennie wykonywali umowę ze Stanisławem zawartą i regularnie nadsyłali transporta żyta, jęczmienia, prosa, i to w gatunkach dobrych, należycie oczyszczonych. Ceny po chwilowej stagnacyi znów nagle podskoczyły w górę, na targu ruch się ożywił, i nasi panowie z dobrym zyskiem sprzedawali zaraz od ręki. Okoliczność ta wielce smuciła pana Mikołaja, kwasząc powracający dobry humor. Nie mówił nic, ale z oderwanych słówek, z sarkastycznego uśmiechu, z częstych westchnień znać było, iż żałuje, że nie przyłączył się do wspólnego układu. Napisał zatśm do Poręby, donosząc, jak to dobrze na tój facyendzie spółnicy jego wyszli i prosił o ostateczne zdecydowanie co do posesji S^kocina, bo wiosna za pasem i on musi się przygotować.

Ukończono też rachunki likwidacyjne spółki, z których pokazało się, że przynajmniej straty nie będzie żadnej. Stanisław, aby za jednein cięciem zakończyć już wszelkie stosunki, zaproponował, żeby Okoniewski wziął sobie oddzielnie swoją trzecią część kupionego owsa, a co do rozdziału różnych pozostałych efektów, kasy ogniotrwałej, worków i innych, żeby je wspólnie sprzedać i pieniędzmi się podzielić. Kiedy Kazimierz wykończony już bilans oddawał panu Mikołajowi, ten go zapytał:

- No, jakżeż tam rezultat?
- Nieszczęgólny. Strat niema, ale i zysk bardzo mały; dobrze i tak...
- A ileż mi się jeszcze należy od panów?
- Nie wiele, zależeć to będzie od tego, co się weźmie za sprzedane utensylia. Może ośmdziesiąt, może i sto guldenów.

— Jakto z trzech tysięcy? — rzeknie porywczo, gdy na twarz występuje mu zwykła różowa chmura.

— Tu jest skrupulatnie obliczone pańskie eon- to... — mówi, wyjmując z papierów odpowiednią kartkę.

Szlachcic rzucił okiem na szereg cyfr ustawionych w kolumnie: winien, zobaczył na dole sumę i rzucając niegrzecznie papierem na stół, zawoła:

— Nieprawda! Ja tyle nie wybrałem, ja pamiętam każdy cent.

— Możemy spi awdzić.

— Dobrze, sprawdzajmy! — powtarza rozdrażniony, gdy ręce zaczynają mu się trząść, jak w febrze.

Przeszli kilka pozycyi, pan Mikołaj nie oponował.

— Dnia tego a tego—czyta Kazimierz—na żądanie pani dobrodziejki 80 reńskich.

— A to co?

— Gdy pan był na wsi, przysłała prosić!

— Kto ją upoważnił?

— Ja już nie wiem, tylko sędzę, że nie wypadało nam odmówić.

— Tak... to i moja imość zaczyna mię skubać! Dobrze ja wezmę te rachunki i przejrzę—mówi, prędko zbierając papiery.

Jak wicher, poprzedzający burzę, wpada pan Mikołaj do swego mieszkania.

— A to wyborne! — zawoła, stojąc przed stoliczkiem, przy którym obie kobiety siedziały z robótką— matka tak robisz, że bierzesz pokryjomu pieniądze na mój rachunek! Jak Boga kocham, świat się już kończy...

Żuna zaczyna się tłumaczyć, że wyjeżdżając zostawił jej mały zapas, że siedział na wsi kilka tygodni, że potrzebowała koniecznie na to, na owo, lecz on ani słyszy tych usprawiedliwień, tylko wciąż krzyczy, że wszyscy go niszczą, że ostatni pot jego pracy marnują na zbytki, fatalaszki, stroje i wyprawianie bali.

— Zachciało wam się futer, historyi, mebli, temu fraków, więc teraz macie! Jesteśmy zrujnowani, jesteśmy nędzarze i pójdziemy o kiju po żebranie.

Gdzie tylko spojrział koło siebie i zobaczył jakiś sprzęt lub sprawunek nowy, wyciągał go na środek i rzucał, i wymyślał, że to jest marnotrawstwo, zbytek, próżność, nierząd i t. p.

Burza taka z zawieruchą, grzmotami, szumem i świstem, którą zapewne dobrze zna wiele z czytelniczek moich, trwała więcej niż kwadrans. Pani Okoniewska, złożywszy na robótkę okulary, patrzyła wciąż na niego na pozór spokojnie, jednak z mimowolnych drgań muskułów jej twarzy, znać było, że ta po większej części apatycznie zachowująca się kobieta, silnie jest wzburzoną.

— Skończyłeś? — pyta go, podnosząc głowę — po- zwólżo teraz i mnie parę słów powiedzieć. Otóż nie my i nasze zbytki cię zrujnowały, lecz twoi przyjaciele faktorzy: Dawidek na spekulacyach wełną, wekslarz na handlu papierami.

— Ocho, już musiał ten honorowy panicz z przeciwka coś wam napaplać...

— Przepraszam, nikt mi nic nie paplał, tylko także mam oczy i uszy i wszystko widzę i słyszę. Myśmy nie zmarnowali majątku, biorąc ośmdziesiąt reńskich, i przyznam ci się żałuję, że się tak oszczędzała i martwiła dlatego, aby twój Dawidek miał za co odbywać kuracyą paromiesięczną w Peszcie, wekslarz swo-

A. Wilczyński.—Tom XX. 10

jej żonie kupować tumaki... Tam szukaj przyczyny strat, a nie w domu... Czy nic ostrzegałam tyle razy!...

Z atakującego, pan Mikołaj zeszedł teraz na odpierającego ataki, i to coraz słabiej, coraz niezręcznie. Odgrażał się, że żjdom swej krzywdy nie daruje, że ich do więzienia powadza, że to jeszcze niema nic straconego, a w końcu przypomniawszy jakiś pilny interes do miasta, chwycił za czapkę i drapnął. Po jego wyjściu, rzeczywiście jak po burzy zapanowała smutna a głęboka cisza. Stara matka wzdychała ciężko, ocierając łzy, spadające jej na trzymaną robótkę, co widząc Marynia, rozplakała się sama na dobre. Jeden tylko Tadzio nie płakał, lecz gryząc zo złości paznogie, chodził i mrucał od czasu do czasu, jak to jest źle, gdy majątek dostanie się w nieudolne ręce.

XI.

Upłynęło parę dni, stary milczący i wzdychający trutynował owe rachunki, to sam, to z córką i synem, a prócz tego jeszcze nosił się z niemi po mieście, radząc się kompetentnych osób i prawie gniewał się o to, że wszystko było w porządku.

Swoją drogą, narady tajemne i wycieczki z Kazimierzem do adwokata ciągnęły się dalej; ztąd niezmierna czułość do młodego spółnika. A gdy jeszcze pan Stanisław zgodził się przyjąć wszystkie efekta po cenie kosztu, dla miłej zgody, Okoniewski uściskał Kazia i w głowę go pocałował, nazywając jedynym przyjacielem swoim i opiekunem.

Cóż więc dziwnego, że wobec tego wszystkiego przyszła ochota młodym zakochanym przypuścić szturm do starego w sprawie sercowej. Uradzono, że Kazio napisze list i prześle go jutro rano przez służącą, że matka będzie uprzedzoną, a jeżeli wszystko pójdzie dobrze, Marynia zapuka do drzwi, rozdzielających wspólne mieszkanie, aby Kazio stawił się osobiście i prośbę swoją powtórzył.

Cały wieczór, aż do pierwszej godziny po północy, układał nasz bohater osnowę tego listu, zaczynał, przekreślał, darł i znowu próbował inaczej, aby to było krótko, jasno a przytem malowało dokładnie jego intencje i uczucia. Skreślił pobeżny szkic swego życia, przyznał się do błędów młodości, objawił zamiary na przyszłość, i prosił o pozwolenie bywania jako narzeczony, mówiąc, że wtedy poprosi uroczyście o rękę panny Maryny, gdy będzie mógł zapewnić jej odpowiednie utrzymanie. Skończył, przeczytał parę razy, przepisał i zakleił w kopercie, żeby mu nie przyszła ochota jeszcze raz przerabiać. Potem wyjąwszy medalionik, dany mu przez nieboszczkę matkę, pomodlił się gorąco, prosząc o błogosławienie jego zamiarów, a choć czuł się niezmiernie znużonym i rozstrojonym, nie mógł zasnąć do samego rana.

Taki sam niepokój i takie same ciche a gorące modlitwy wydobywały się z piersi Maryni, której oczy również nie mogły się do snu skleić, więc gdy zaświtało, ubrała się szybko i pobiegła na ranną mszę do poblizkiego kościoła. A był to poranek już na pół wiosenny, chłodny jeszcze, ale cichy, wesoły, budzący w sercu każdego jakieś nieokreślone uczucia nadziei i szczęścia. Skowronki śpiewając, wzbijały się do góry ponad zamieszkimi ogrodami, zielona trawka szydłowato zwinięta i obciążona brylantami rosy, na gwałt wydobywała się z wilgotnej ziemi, pączki bzów tureckich, choć jeszcze mocno posiniałe, rozpychały zieloną osłonkę, aby kwiat swój pokazać słońcu—jednym słowem, cała natura powstając z zimowego łoża, zdawała się jak małe, rozpieszczone dziecko otwierać śmiejąc się i wyciągając pulchne rączki, aby objąć szyję ukochanej matki...

Więc też i Marynia z pewną otuchą w sercu powracała do domu, nie wątpiąc, że dziś właśnie usłyszy z ust ojca przychylny wyrok, który stanowić ma o szczęściu całego jej życia.

Pan Mikołaj już wstał i siedział przy stole weselszy, niż zwykle, rozkoszując się wyborną kawą, która dzięki staraniom Maryni, nie była nigdy tak smaczną, jak dzisiaj. Co kto poruszy kławkę od kuchni, jej serce drży i oczy zwracają się ku drzwiom, czy służąca nie podaje listu... Nieznośny ten Kazio, czego on tak się opóźnia—myślała sobie, gdy wtem...

— List do pana — odzywa się głos kucharki, a czerwona jej ręka składa podłużną lakiem zapieczetowaną kopertę na stole.

Maryni zaciemniło się w oczach, chciała wybiedz do drugiego pokoju, ale nogi odmówiły na razie posłuszeństwa.

— Od kogo?—pyta Okoniewski, wyciągając rękę.

— 'L Poręby, proszę pana, posłaniec czeka w sieni.

— Ach niegodziwy Kazio! —szepnęła dziewczyna, szarpnąwszy chusteczkę, którą miała na szyi.

Stary kazał sobie podać nożyczki, wyjął okulary z futeralika, założył je na uszy, a postąpiwszy parę kroków ku oknu, rozciął kopertę... wyjął list i zaczął czytać. Marynia wiedziona przecuciem, wlepiła w niego wielkie swe oczy i widziała, jak z razu uśmiech ironiczny przebiegał mu po twarzy, a potem twarz ta zaczęła przybierać kolor różowy, który od szyi podnosił się coraz wyżej na czoło.

— To tak! — zawoła, zwracając się do matki — tajemnice przedemną! Kto was upoważnił do dawania odmowy Józefowi?

A widząc, że obie kobiety milczą ze spuszczonei oczyma, przyskoczył do córki:

— A czy ty wiesz... — syczy na nią z pobladłemi od gniewu oczyma—coś ty zrobiła?

Marynia stała wciąż milcząca i blada, jak płótno...

— Zabiłaś ojca, zabiłaś całą rodzinę! Teraz nie może być mowy o Sękocinie—jesteśmy kompletni nędzarze!...

— Proszę kochanego tatki — odważyła się przemówić, zbliżając się, aby go pocałować w rękę — ja nie mam do niego żadnej sympatii.

— Romanse!... Nie masz? Otóż ja ci powiadam ja twój ojciec, że musisz mieć!

— Nie mogę—odrzekła śmieiej—a przysięgać fałszywie i kogobądź oszukiwać nie chcę...

— Musisz!—krzyknie, trzęsąc się nad nią.—Ja te wszystkiefantazyje romansowe potrafię wypędzić z głowy.

— Nie mogę!—powtarza swoje uporczywie. — Za nikogo nie pójdę, ale i za niego nie pójdę!

Pan Okoniewski wstrząsnął się cały, a rozogniona twarz jego przybrała kolor fioletowy...

— Mikołaju, nie zapominaj się — wszak to twoje dziecko!—zawoła żona.

— Ja nie mam dziecka! To źmija, którą wychowałem w zanadrzu...

— Proszę pana list!—daje się znowu słyszeć głoa kucharki i czerwona ręka podaje także w wielkiej kopercie złożone pismo Kazimierza... Trzeba mieć takie fatalne szczęście, jak ten biedny chłopiec, żeby właśnie w tój chwili wybrać się ze swoją prośbą!

— Od kogo znowu? — pyta szorstkim głosem Mikołaj, gdy dyplomatyczny pan Tadeusz, stojąc w otwar tych drzwiach drugiego pokoju, uśmiecha się ironicznie do siostry i daje znaki głową i ręką, jakby mówił: „masz, coś chciała!”

— Od panów z przeciwka—odpowiada służąca.

— Cóż znowu nowego!... Listy przez sień.

Już nie rozcinał koperty, ale ją rozerwał z pasyą i zaczął czytać...

— Ot, wyszło szydło z worka! — mówi szydlerczo, podając list żonie.—Czytaj, to twoja nauka!... Dlaczego, zaraz pozwolę!... Tadeuszu, pióra i atramentu!... Dobrana para... On się postara o utrzymanie dla żony... Panna Maryanna go kocha...

Pani Mikołajowa przeczytała list i mileząc, oddała napowrot mężowi, który umoczywszy pióro w kałamarzu, siadł gwałtownym ruchem przy stole.

— Drogi, najukochańszy tatku! — zawoła w tój chwili, klękając przed nim Marynia — wstrzymaj się, ja go kocham!

— Dobrze, dobrze—mruży, rozmachując się piórem—jak mu też odpiszę...

— Jfikołaju, zastanów się! — dorzuca, zbliżając się matka—chcesz zabić dziecko...

— Ona nas wszystkich mogła zabić na starość, dłączegóż jaV... Dobrze, dobrze — mówi z pozornym spokojem, odpychając córkę, kładącą głowę na jego kolanach.—Ot, czytaj, napisałem odpowiedź...

Marynia spojrzała, na liście Jpizimierza, tuż pod jego podpisem, stały wielkieini literami nakreślone słowa:

„Dziękuję za zaszczyt... póki ja żyję. — Nie. — Gdzie moje pieniądze?! Okoniewski.”

— Odnieś temu panu!—zawoła na służącą, otwie

rając drzwi do kuchni i podając złożony list bez koperty... A teraz, moje sentymentalne damy, uszyjcie dla mnie i dla siebie torby, pójdziemy na zebranie! Ja nie mam już nic!...

Rozgorączkowany, cały blady i drżący, z błyszczą- cemi oczyma czatował tymczasem pan Kazimierz przy owych drzwiach zamkniętych, odgraniczających sąsiednie mieszkanie. Nie mogąc nic dosłyszeć z dalekiej rozmowy w trzecim pokoju, przykładał ucho do drzwi, lecz prócz ogólnego gwaru i głośnych uderzeń własnego serca nic więcej nie usłyszał... List z odpowiedzią pana Mikołaja służąca podała pani Wandzie, która nic a nic o tym stanowczym kroku brata nie wiedziała. Zdziwiona, przeczytawszy wypadkiem jego spowiedź i tyle lakoniczną decyzją sąsiada, zdrewniała ze zmartwienia.

—■ Kaziu!—zawołała, wchodząc do pokoju, w którym on czatował na dane hasło Maryni...—jakiś ty jeszcze dziecinny... Masz, co ci odpisał ten niedźwiedź, ale proszę cię nie bierz sobie tego do serca... To wariat, widocznie był w pasy!...

Kazio chwycił za papier, przeczytał i zachwiał się na nogach.

— Kaziu, jakieś mężczyzna! Cóż znowu—perswaduje siostra—nie trać nadziei, on sto razy jeszcze zmieni swoje zdanie...

Ale wszystkie perswazyo te były napróżno. Młody człowiek poprostu osłupiał. Mimo energicznych usiłowań pani Wandy, aby go zatrzymać w pokoju, wyrwał się z jej rąk, list schował do kieszeni i chwyciwszy kapelusz, wybiegł na ulicę. Przez okno jeszcze widziała go siostra widziała także i Marynia, jak biegł szybkim krokiem gdzieś ku rogatce, a potem zniknął, skręciwszy na pola.

Wypowiedzieć, co się działo w sercach obu kobiet przez cały ten dzień, gdy Kazimierz nie wracał, nie podejmuje się moje pióro. Pani Wanda wysłała męża po obiedzie, aby szedł szukać gdzieś nieszczęśliwego młodzieńca, czy czasem coś sobie złego nie zrobił, a Marynia z twarzą bladą i suchem okiem stała wciąż w oknie, nie odpowiadając wcale na różne pytania, którymi ja matka i braciszek zarzucali. Dopiero o zmierzchu, kie- <ly jój pokryjomu pani Wanda dała znać, że Kazio, powróciwszy, zamknął się w swoim pokoju — odetchnęła, a lzy rzęsiste puściły jej się z oczu.

Wieczór był równie piękny, jak poranek. Światło sierpa księżycowego delikatnie oświecało błękitny horyzont nieba, zasiany milionem mrugających gwiazdek. Zapach surowizny zimowej mięszał się z zapachem wiosny, którą tylko odczuć można, ale nie opisać. Chcąc rozerwać trochę Marynię, zaproponowała jej matka przechadzkę po dziedzińcu kamienicy. Dziewczyna dała się wyprowadzić i chodziła tam i napowrót, trzymając pod rękę matkę, lecz rozmowa jakoś nic mogła się między nimi skleić. Okno pokoju Kazimierza wychodziło także na ten dziedziniec, a że roleta nie była zupełnie spuszczoną, mogło ciekawe oko panią zobaczyć, co się tam wewnątrz dzieje.

Kazimierz siedział przy biurku i coś z żywością pisał. Od czasu do czasu tylko, położywszy pióro, brał sic rękoma za głowę, wsta wał, to załamywał ręce i znowu siadał, pisał, zaklejał koperty, a potem przerzucał w szufladach biurka papiery, jakby tam jakieś robił porządki. Marynię ta jego gorączkowa czynność i de

sperackie ruchy niezmiernie przeraziły. Nie umiała sobie wytłumaczyć, co on takiego robi, ale jakiś nieokreślony strach coraz bardziej ją opanowywał, ściskając serce.

Nareszcie matka zaproponowała powrót do pokoju. Marynia szła, nie mogąc oderwać oczu od oświetlonej szyby, gdy nagle, jakby wiedziony jakimś tajemniczym prądem magnetycznym, Kazimierz wyszedł z pokoju i stanął tuż obok matki i córki. Ujrzawszy przed sobą Marynię, stanął i milczał, jak gdyby trudno mu było wydobyć z piersi słowa. Marynia, zdobywając się na odwagę, pierwsza przerwała milczenie.

— Panie Kazimierzu!—rzecze prędko, podając mu rękę, a w tem słowie jedncm przebijały się i boleść, i trwoga serdeczna, i pełne niepokoju zapytanie...

— Wyjeżdżam za parę godzin...

— Dokąd po co?..

— Muszę. Czuję, że gdybym jeszcze został tu dłużej dzień jeden, nie wytrzymałbym... Skazany jestem na wszystko, co życie ma najgorszego... Ja nie mam żadnej nadziei, żadnej iluzji...

Marynia uściśnęła mu dłoń silniej.

— Ufaj pan Bogu, ufaj własnym siłom i... mojej wytrwałości — dodała ciszej, a blada twarzyczka zapłonila się na chwilę.

Oczy Kazimierza ożywiły się na te słowa, jakby promieniem niespodziewanej otuchy.

— Jadę...—rzecze po chwili — Stanisław i siostra radzili jechać, więc jadę...

— Dobrze, jedź pan! — przerywa mu panna, siląc się na spokój — tylko jedź z celem. Mówiłeś mi parę razy, że masz pan w Tryjeście przyjaciela i kolegę, że kilka razy proponował panu miejsce w kantorze swego ojca. Więc jedź pan, ufaj, pracuj i miej nadzieję.

Kazimierz ucałował ze czcią jej drobne ręce.

— Maryniu!—odzywa się w tej chwili głos matki, która sama wzruszona do głębi tą sceną, chciała ją przerwać jak najprędzej.

— Do widzenia! — szepnie Marynia, odwracając główkę, jakby chciała ukryć łzy, co cisnęły się gwałtownie do powiek.

— Do widzenia! — powtórzył Kazimierz, patrząc długo za Marynią, choć już zniknęła wraz z matką.

— Musiałam go pożegnać, mamó...—mówiła, jakby się chciała usprawiedliwić Marynia.—Jutro wyjeżdża ztąd na długo, może na bardzo długo...

— Zrobił, co mógł najlepszego — powiedziała ciężko wzdychając matka. — Na wszystkie bole serca czas, oddalenie i praca są najlepszym lekarstwem... Daj mu Boże wszystko jak najlepiej...

Nie wiele już miałbym do opowiedzenia czytelnikom z historii naszych osób, gdyby nie nowe pretensye pana Mikołaja do tej nieszczęśliwej spółki, do których główny powód dał ów list odebrany rano z Poręby. Otóż pan Jaskuła, wierny danemu przyrzeczeniu, wzywał Okoniewskiego, aby przyjechał zawrzeć umowę dzierżawną o Sękocin, stawiając takie warunki, że prócz pozostałej u niego kwoty zaniedostawioną pszenicę, żąda wypłaty czterech tysięcy reńskich z góry, za inwentarz znajdujący się na folwarku.

Otóż p. Mikołaj tak pięknie rozporządził swojemi funduszami, że nietylko czterech tysięcy, ale czterech set w tym czasie nie miał do dyspozycyi. Ost-Bahny, wełna w Wrocławiu, Dawid w Peszcie, wełna i owies

na wsi, a nawet pożyczka udzielona właścicielowi domu, gdzie mieszkał, w zupełności wyczerpały wszystkie jego fundusze. Zaczął tedy chodzić po swoich dłużnikach, próbował zastawić resztę papierów, telegrafował do Pesztu i do Wrocławia—lecz wszędzie doznał zawodu. List Jaskuły był stanowczy—zresztą, jak tu się brać do gospodarstwa z pustej rękoma, więc popróbował jeszcze udać się do spółników, czyby jego interesów wełnianych nie nabyli.

Stanisław przyjął go nadzwyczaj zimno i sztywnie, i nie chciał mówić o niczym innym, jak o ukończeniu rachunków i podpisaniu rozwiązującej umowy.

— Chciałbym — mówi na wstępie—abyśmy skończyli nasze sprawy. Pan trzymasz rachunki już parę tygodni...

— Przecie jeszcze i z Jaskułą nie koniec?—odpowiada z filuternym uśmiechem Okoniewski. — Zboże idzie...

— To nie pana rzecz, ale moja.

— Niby to tak znowu nie. Przecież i ja dałem pieniądze do trzeciej części i tych nie odebrałem z Po- rębby.

Stanisław spojrział nań zdziwionemi oczyma.

— No, umowa między nami nie rozwiązana—cedzi wolno i nieśmiało Mikołaj — więc to zboże, które teraz nadsyłają, powinno być także do spółki.

— Przecież pan zgodziłeś się pozostawić u nich swój fundusz i nie chciałeś należeć do drugiej umowy... Przy świadkach pytałem go o to...

— Mówi się różnie, ale sprawiedliwość i sumienie nakazują, żeby nie krzywdzić nikogo.

— Któż jmna krzywdzi?

— A jużciż, jeżeli do strat jestem spółnikiem, to jak teraz są zyski na życie, wypadałoby, żebym i ja coś miał... Zresztą niech nas ludzie rozsądzą, ja jestem bardzo skrzywdzony i stratny...

— A ja nie?

— Taalc—mówi przeciągle. —Panowie zarabialiście na innych interesach, na kukurydzy, na rzepaku, no i teraz...

— A pan na wełnie, podobno i na papierach, i ja do tego nie mam pretensyi. Z mojemu funduszami przecie mogę robić, co mi się podoba, tak samo i pan ze swo- jemi...

— Ha, i z temi funduszami trudno... Kasa była u pana dobrodzieja.

— Więc pan sądzisz, że ja jego pieniędzmi obracałem?

— Ja tam nie wiem, ale wypadałoby, żebyśmy jako uczciwi spółnicy oddali się komuś, niechby rozsądził, bo niech pan dobrodziej mi wierzy, ja jestem bardzo pokrzywdzony.

— A ja panu powiadam—przerywa z ogniem Stanisław—że nie! Żadnych sądów. Co zaś do podejrzeń pańskich, że obracaliśmy jego funduszami, to przejrzyj pan książkę kasową, a przekonasz się z dat, że kilka razy swojemu własnymi pieniędzmi zastępowałem spółkę... Żegnam pana.

— Więc taki ma być koniec.

— Taki.

— A zatem trzeba się będzie uciec gdzieindziej— kończy, wychodząc.

— I owszem, jestem gotów odpowiadać, gdzie pan chcesz...

— I,jH -

Proszę nie oburzać się i nie podejrzewać pana Mikołaja o fałsz jakiś lub chęć czynienia wykrętów. Nie, on działał zupełnie w dobrej wierze i tak był przekonany o pokrzywdzeniu swoim przez spółników, że w tój chwili byłby na to przysiągł. W niespokojnym i podejrzliwym już z natury umyśle jego, stanęły do porównania dwa oczywiste kontrasty. Oni tak samo stracili, czy tam nic nie zarobili — a mają fundusze i żyją po dawnemu — on zaś kompletnie zrujnowany. Na wszelkie perswazyje żony i zdrowego rozsądku, który czasami próbował mu się sprzeciwić, odpowiadał słowami, które wypisał na liście Kazimierza: „A gdzie są moje pieniądze? Przecież miałem tyle i tyle, a teraz nic nie mam!”

Wróciwszy do domu po swej rozmowie ze Stanisławem— pioruny rzucał na obydwóch, że go oszukali, że wyzyskiwali jego ciężką pracę i teraz puszczają go v kwitkiem, jak wyssaną cytrynę...

Obie kobiety, nie znając szczegółów tej sprawy — milczały, lecz za to młody adept Temidy trząsł się z oburzenia i odgrażał przykładną zemstą... Jakoż tego samego dnia jeszcze popołudniu, służąca Stanisława daje mu znać, że jacyś młodzi panowie pragną się z nim widzieć. Idziedo swego pokoju i zastaje rzeczywiście dwóch kolegów uniwersyteckich pana Tadeusza, zupełnie mu nieznanych. Przedstawiają się kolejno, a jeden z nich występuje, że jako przyjaciele Tadeusza Okoniewskiego, za uczynioną ojcu jego obrazę, przychodzą żądać honorowej satysfakcyi.

Po twarzy Stanisława przebiegł lekki uśmiech, jednak odzywa się z powagą:

— Bardzo dobrze moi panowie, jestem każdej chwili dać przyjacielowi panów wszelkie zadośćuczynienie, tylko radbym wiedzieć, kiedy i czem ojca tego pana obraziłem, bo jużciż przyznacie panowie, nic mogę się bić, nie wiedząc za co.

Sekundanci zaczęli spoglądać po sobie i widoczném było, że słuszne żądania pana Stanisława nieco ich zakłopotaly.

— Podobno panowie—odzywa się jeden—mieliście jakąś spółkę handlową, czy coś podobnego, i rachunki /, tój spółki nie są...

— Rzetelne — podchwytuje gospodarz, oblewając się ponsem. — Ależ w takim razie proszę panów, ja mogłem się dopuścić chyba oszustwa, za co przecież honorowo się nie odpowiada... Proszę powiedzieć temu panu, który was tu przysłał, że ja pozwalam, a nawet żądam, aby przysłał tutaj znawców lub kogo chce, niech przejrzą i sprawdzą to wszystko, a jeżeli okaże się, że jestem winien—gotów będę na wasze rozkazy.

Młodzi panowie powstali, przyrzekając zanieść taką odpowiedź swemu przyjacielowi.

— A jeżeli pokaże się — dodaje już we drzwiach Stanisław—że wszystkie te zarzuty co do mej osoby są kłamstwem, w takim razie i od pana Tadeusza i od panów, przyjmujących podobną missyą—ja, powtarzam panom: ja żądać będę satysfakcyi.

Jakoż na drugi dzień rano stawilo się w mieszkaniu Stanibława trzech znawców razem z Okoniewskim, rodzaj sądu honorowego dla sprawdzenia ksiąg i rachunków. Stanisław do tego stopnia nie wierzył własnej cierpliwości, że poprosił znajomego adwokata, żeby j:0 zastąpił. Eksperci z całą drobiazgową ścisłością sprawdzili wszystkie pozycye, przejrzeli dowody, faktuy

i tyin podobne dokumenta, a mimo nieustannie podnoszonych zarzutów pana Mikołaja, nie znaleźli nic nieprawidłowego. Adwokat tedy napisał mały akt rozwiązujący spółkę i zaproponował jego podpisanie.

Nie było co oponować dalej i pan Mikołaj zmuszony był podpisać umowę rozwiązującą.

— No i cóż, jakże się skończyło? — pyta żona, widząc nietęgą minę małżonka.

— Schował się i postawił adwokata, a kto adwo- i.ata przegada! Zrobili, co chcieli i basta...

W parę dni Okoniewski pojechał do Poręby, a panie mimo że było przed terminem, na który wynajęto pomieszkanie, wyprowadziły się bez pożegnania sąsiadów. Marynia tylko, spotkawszy przypadkiem panią Wandę na dziedzińcu, szepnęła, że jak przyjdzie list od Kazia, prosi, aby jej doręczono. Biedna dziewczyna, pod grozą nicprzyjaźni całej rodziny nie miała odwagi otwarcie tyle życzliwej jej pani Wandy uściskać.

Tak tedy pierwsza spółka, zawiązana dla rywalizacji z dotychczasowymi handlarzami zboża zakończyła swój żywot ze stratą i ogólną nienawiścią współników. A czy in ilo naszych spółek, zawieranych w różnych celach, inaczej się kończy? Podobno, że trzy czwarte. A dlaczego? Choćby dlatego, że do nich biorą się podobni do naszych dyletantów, bez gruntownej znajomości przedmiotu, bez ducha karności, a zawsze z przesadzonemi nadziejami. Pierwsze niepowodzenie już gasi zapał, wyradza kwasy, nasuwa podejrzenia i każe szukać winy wszędzie, byle nie w sobie samych. A i druga strona, z którą takie spółki mają do czynienia, nie zawsze bywa w porządku. Zamiast pomagać, choćby nawet z pewnemi ofiarami do wydzwignięcia się z dotychczasowego mono polu handlowego — ona chce natychmiast korzystać z nieudolności nowych zapaśników i rada podpisuje wyrok naszej nieporadności, który osłabia zaufanie we własne siły, zapewniając tryumf przeciwnikom.

Ale cóż się stało z Kazimierzem i Marynią?—zapyta niejedna czytelniczka.

Otóż jestem w prawdziwym kłopotcie co do tego punktu. Wiercie mi szanowne panie, że z duszy serca pragnąłem, żeby się pobrali, bo to i dla autora i czytelniczek niezmiernie jest przyjemnem, jeżeli wszystko dobrze się kończy i szlachetna miłość zostanie nagrodzoną. Dlatego też nie traćmy nadziei, że Kazio i Marynia jeszcze się połączą. O ile wiem, on dotąd pracuje w pewnym domu handlowym w Tryście, bo mówił mi jeden z wspólnych naszych znajomych, urzędnik pocztowy, że pierwszego każdego miesiąca zgłasza się do niego panna Okoniewska po odbiór listu z przesyłką pieniężną i że te pieniądze lokuje w kasie oszczędności na imię Stanisława. Przypuszcza on, że musi być już spora sumka tam złożona, gdyż czasem przychodzi po dwieście i więcej reńskich.

Panna Maryanna wygląda zawsze pięknie, wyrosła trochę, zmężniała, tylko narzeka na krótki wzrok, albowiem zajmuje się retuszowaniem fotografii, co szkodzi jej pięknym szafirowym oczom.

A stary Okoniewski? Żyje, zajęty procesami na drodze cywilnej i karnej, które inu wiele czasu zabierają. Z Poręby jeszcze wszystkich pieniędzy nie odebrał, lecz z tymi panami zupełnie się pogodził, i wolny czas między terminami sądowemi przepędza u nich na wsi, grając w marysza ze starym, a czasami we czterech w taroka. W pewnych epokach, kiedy mu się wewnątrz

nazbiera dosyć zółci, a niema jej gdzie wylać, siada i pisze arkuszowe listy do pana Stanisława, wymyślając za doznane krzywdy już wcale nie po szlachecku. O Kaziu odzywa się, że ten, chociaż aptekarczyk, to najwięcej miał serca, ale go też umyślnie wysłali, żeby mię, panie dobrodzieju, tak oporzędzić.

Pozostaje pan Tadeusz. Ukończył studia i praktykuje przy adwokacie. Chłopak wyrósł, jak dąbczak, zapuścił faworyty i grzywkę po angielsku. Mieszka sam, ubiera się bardzo elegancko i często konferuje z lichwiarzami, jak się zdaje, eskontując naprzód swoją adwokaturę. Kiedy niekiedy, jak go już bieda przycisnie, zjawia się w skromnym mieszkanku matki na przedmieściu, zjada słoik konfitur, które mama zawsze dla nie niego chowa i pożyczwszy od Maryni pięć reńskich, daje słowo honoru, że niezawodnie odda je na pierwszego. O ojcu odzywa się, że stary już zdziecinniał i zdziwaczał, choć i przedtem nie wiele miał rozumu, jeżeli tyle pieniędzy potrafił w tak krótkim czasie przepartaczyć.

KONIEC.

PIERWSZY ZAWÓD.

Z DAWNYCH WSPOMNIENÍ.

Typ prawdziwego podsędka w Królestwie Pol-
skim od czasu reorganizacji
sądownictwa już zaginął. Zapewne, że tam kołacze się jeszcze gdzie jeden Inb drugi emeryt,
ale sam typ razem z urzędem przeszedł do historii.

Dawny podsędek sądu pokoju był napół urzędnikiem, napół obywatelem, osobą
wszystkim znaną i wszystkim potrzebną w okręgu, a mimo to i mimo znanej szlacheckiej
drażliwości na wszelkie wyroki, w których ona przegrywa, podsędek umiał zawsze tak jakoś
się wyślizgiwać, że nie dąsano się na niego dłużej, jak do następnego jarmarku w miasteczku.
Bo jakże to nie wstąpić do podsędka, jeżeli się jest w mieście, do tego podsędka, który
niewiedział jak i gdzie gości usadzić, który poprostu razem z kiełbasą podawaną z sosem,
kładał na półmisek obok swoje poczciwe serce.

Otóż jednego z takich podsędków znałem i ja w czasach mojej młodości i znałem bardzo
blizko z trzech przyczyn. Raz, że wioska nasza leżała tylko o milę od miasteczka, gdzie sąd
rezydował i ojciec mój częstym tam bywał gościem, powtóre, że kolegowałem razem z
synem jego, Adasiem, od pierwszej do ostatniej

klasy, że razem przyjeżdżaliśmy i odjeżdżaliśmy do domu na święta i wakacje, razem także staliśmy na stan- cyi. Po trzecie nakoniec, że kochałem się w jego siostrze Zenobii, a on kochał się w mojej starszej Sabci.

Przysięgnąć mogę, że tak Zenobcia jak i Sabcia, Bogu ducha były winne w tej miłości i nic a nic o gorących afektach naszych nie wiedziały, ale myśmy sobie zawarli podwójne przymierze z Adasiem, że jego siostra musi być moją żoną, moja zaś jego połowicą i rzecz była skończoną. A scenę tę pamiętam jak dziś. odbyła się ona w zaroślach pod Bujakami, gdzieśmy się udali na szukanie orzechów sami, bez asystencyi naszej kancela- ryi i naszych ministrów spraw zagranicznych. Ja wtedy miałem rok ośmnasty, on ośmnaście skończył i po wakacyach wstępowaliśmy do klasy ósmej.

Szczegółów poprzedzających zawarcie przymierza nie pomnę, lecz dziś jeszcze stoi przedemną w powagę ubrana postać Adasia, który rzekł:

— Ty się ożenisz z Zenobią, ja ci na to daję słowo honoru!

— A że Sabinka nie wyjdzie tylko za ciebie, masz moją rękę—odpowiedziałem, wyciągając ku niemu królewską moją prawicę.

Potem ucałowaliśmy się kilkakrotnie, za każdym razem coraz goręcej przyciskając się do siebie i podnosząc wzajemnie, a jeszcze potem rzuciliśmy pobieżny szkic przyszłego pożycia naszego w małżeństwie i naturalnie w jaknajbliższym sąsiedztwie, żeby jeden dworek z drugiego gołem okiem można było zobaczyć.

Naturalnie, że owe plany przyszłości przy dalszych spotkaniach rozszerzały się, zmieniały, przybierając coraz więcej sielankowy zakrój i sięgały aż do trzeciego z nas mającego wyrósć pokolenia, bo traktat naszej przyjaźni musiał być wieczny.

Ale na tak pogodnym firmamencie naszego szczęścia pokazywały się czasem i chmurki niebardzo na razie niebezpieczne, ale mogące urósć na groźną chmurę. Dla Adasia tym czarnym punktem był Krasnomiejski, sąsiad, nasz dzierżawca z Podłęża, osobistość zwierzchu dość znośna, ale wewnątrz człowiek chciwy i interesowny. O ile znałem Sabinę, to onaby za takiego skne- rę nie poszła, słyszałem bowiem nieraz, jak śmiała się z tego Krasnomiejskiego, że obiadu nie gotuje, a tylko żywi się jajami na twardo...

Innem było moje czarne widmo w osobie kancelisty sądu pokoju niejakiego Stefańczyka, który coś zanadto widocznie kręcił się koło panny sędzianki. Był to mężczyzna co się nazywa przystojny, już tak około lat dwudziestu ośmiu, modny elegant, który sobie ubranie sprowadzał z Warszawy i śpiewał przy gitarze baranim głosem o „duszy kozaczej."

Stefańczyk ten, jakkolwiek pełnił podrzędne obowiązki kancelisty, był podobno familiant z lepszym wychowaniem i gotował się do złożenia egzaminu na rejenta okręgowego, do czego miała mu dopomódz wielka protekcya z Warszawy. Nie wierzyłem ja temu, bo pan kancelista wyglądał na blagiera, ale on każdemu trąbił o tem i był pewny, że już rejenturę czyli notaryat ma jakby w kieszeni.

— Nie bój się!—perswadował Adaś, widząc moje zakłopotanie—Zenobia nie poszłaby za kancelistę, a te egzamina to furda... nie wiem czy on szkoły gdzie skończył, ot blagier i nic więcej. Zresztą powiem ci, wielka jest różnica między nim a tobą i Zenobia chybaby oczów

nie miała, dając jemu pierwszeństwo... Bądź spokojny, ja jestem w tem!

Nasza pokrzyżowana miłość do wzajemnych sióstr, bo tak nazwać się ją godzi, naturalnie, była niema, a jedyny jej objaw z mej strony do panny Zenobii demonstrował się przywożeniem i przysyłaniem, jak tylko była sposobność, olbrzymich bukietów z kwiatów, które z prawdziwym wandalizmem rabowałem wieczorami lub do dnia z ogródka sióstr moich. Dalej czytywałem głośno, bawiąc w domu podsędków, różne utwory poetyczne treści rozpaczliwej, które widziałem, robiły na umysłach pani podsędkowój i Zenobii porywające wrażenie, bo nieraz płakały z rozczulenia. W gimnazyum uchodziłem za pierwszego deklamatora, dlatego czułem tu wyższość moją nad kancelistą, który umiał tylko ryczeć brzdąkając na gitarze.

Nikt się nie dziwił, że mając postronek miłosny na szyi, którego koniec Zenobicia trzymała, chciałem jaknajczęściej bywać w miasteczku.

Tysiące wymyślałem potrzeb, żeby się jakoś wymknąć z domu, czemu ojciec zawsze się sprzeciwiał, potrzebując mej pomocy podczas zniw dla dozorowania żeńców.

— Cóż ty tam ciągle tak latasz do podsędków?— mówił raz gdym się wybierał.

— A, proszę ojca—mówię rezolutnie—za tydzień imieniny pani podsędkowój i Adaś mię prosił, abyśmy razem zapolowali.

— Co, wy będziecie polowali! mój kochany, dajże sobie z tem pokój.

— A cóż to ojciec myśli, że ja nie umiśin obcho •

dzić się ze strzelbą? ftzy nie zabiłem już lisa i dwóch kaczek...

— Niech jedzie! — wtrąciła matka, której byłem oczkiem w głowie. — Widzisz on tu się nudzi z nami, tam ma Adasia...

— Jeszcze sobie albo komu w łeb wypali...

— Ale gdzież tam?.., chłopiec ma przecież lat ośmnaście — mówiła matka. — Wiem o co ci idzie; nie masz kogo nad ludźmi postawić, ale przyznaj, że to dla młodego chłopca zabójcze zajęcie. No, no, niech jedzie, ja ci dam kucharza do ludzi, a sama z dziewczętami obiad ugotuję.

— Strzelby jednak nie bierz, boję się...

— Mój kochany, a ileż ty miałeś lat wstępując do wojska? Prawda, że także ośmnaście?

— Prawda, ale...

— No, no, bądź spokojny, nic mu się złego nie stanie...

Cóż miał stary robić, pozwolił, a ja na drugi dzień raniutko wsiałem do wózka, wydobywszy z pod pokrzyw z rowu, wczoraj przygotowany ogromny, piramidalny bukiet, w którym pomieściłem dwie pierwszy raz rozwinięte w tym roku georginje. Oj będzie tam lamentu między siostrami, jak zobaczą, że nie ma georginij, ale co tam, zakwitną inne.

Dworek podsędków w miasteczku był poprostu domem zajezdnym i notabene bezpłatnym dla całej okolicznej szlachty i znajomych. Podsędek Żarecki urzędował tu już lat dwadzieścia i tak jakoś zrósł się z tu- tejszemi stosunkami, że dwa razy odrzucił posadę asesora trybunału, którą mu ofiarowano, poprzestawszy na samym tytule asesorskim.

Otóż w skutek owej gościnności podsędków, dworek ich już był tak urządzony, że można było kilkanaście osób na ijoc umieścić, a każdy z domowników bez żalu dzielił się poduszkami i kołdrami ze swego łóżka. Pamiętam, nie raz widziałem, jak sam podsędek spał na gołym tapczanie w głównej sieni służącej za przedpokój; pod głową miał szlafrok, a przykrył się derową kraciatą chustką pani podsędkowej. W ugoszczeniu również nie robiono sobie żadnej ceremonii; co było na stole i w domu do tego zapraszano, a że zapraszano serdecznie i o niemal że pchano do ust, więc nawet wybredni smakosze zajadali z apetytem zrazy zawijane z kaszą, kluseczki z serem lub kwaśne mleko z kartoflami, popijając piwem lub mszalnym cienkusem.

My z Adasiem mieliśmy stałe locum w altance w ogródku, w której był tylko stół i dwie ławki. Do spania przynosił nam co wieczór sługa sądowy dwie wiązki siana, na którym, zwłaszcza jeżeli deszcz padał i momentalnie uderzał o cienki daszek z gontów, spało się po królewsku. W altance było nam jak w raju, bo mogliśmy swobodnie dyskutować o naszym szczęściu w małżeństwie, a ja przez firanki w oknie wychodzącem na ogródek, obserwować z cienia co wieczór bóstwo moje, pannę Zenobję.

Teraz parę słów o tem bóstwie: była świeża i młoda blondynka, z niebieskimi oczami i nieco zadartym noskiem. Przyznaję, że właśnie ten zadarty nosek z poruszającymi się przy żywej rozmowie nozdrzami najbardziej mnie pociągał i niestety najpierwszy mnie zdradził. Od tej epoki antypatycznie nie lubię, a raczej nie mam szczęścia do tego rodzaju od natury czy też z ambicji zadzierających się nosów, które uważam za potomków w prostej linii nosa Zenobii. Dodaję wreszcie, że panna podsędkówna była starsza o dwa lata odemnie, była serafinem doskonałości, szczęścia, sesela i innych przymiotów, prócz jednego, który się nazywa taktem. Dla wszystkich chciała być równie grzeczną i uprzejmą, a nawet takiemu biednemu kanceliście, blagierowi ubierającemu się po cudacku, okazywała wiele uprzejmości... Może jej tak kazano? — bo ja wiem, ale to wiem, że te uśmiešky i grzeczności dla Stefauczyka raniły moje uczucia i czasem sprowadzały bunt w adoracyi dla Zenobci.

Sam podsędek Żarecki z przj'domkiem bratku, tak bowiem tytułował każdego, był to mały, pękaty, z trzema podbródkami, rumiany i łysy człowieczek, wiecznie uśmiechnięty, całujący, ściskający i krotocliwilny. Takim był i w sądzie, pełen dowcipów, a mimo to bystrego pojęcia i sprawiedliwości czystej, jak lza, przytem stanowczy. Cztery piąte spraw wskutek zręczności swej i dobrego serca załatwiał w mieszkaniu swoim lub w ustępowej sali — pojednawczo, na co narzekał podpisarz sądu, że nie ma żadnego dochodu z wjroków. Przedziwnie znał on wszystką szlachtę, mieszczan, żydów i włościan w swoim okręgu, ich przymioty, ich wady i temperament, na które działał w odpowiedni sposób.

Nie należy to do rzeczy, ale nie mogę się powstrzymać, żeby nie opowiedzieć toku jednej sprawy i wydanego w niej wyroku między dwoma mieszczanami o obrazę honoru i czynną zniewagę w postaci policzka, jaki zaaplikował na jarmarku pan Maciej, szewc, panu Janowi. bednarzowi, w obec całego miasteczka.

W ustępowej sali z rana, czekały już na sędziego, obie strony z licznymi gromadami obojga płci świad

ków, spoglądając złowrogo na drugi obóz i zabawiając się wzajemnie puszczeniem docinków, które hamował i mitygował stary woźny, stojąc na środku i odgarniając rękami gorętszego animuszu przeciwników, gdy który zamierzył wedrzeć się do wrogiego obozu. Sędzia wszedł, interesanci powstali i ilu ich tam było po kolei ucałowali jego rękę i rękawy od szaraczkowego surduta.

— A to pan Maciej wojak?—rzecze, zbliżając się do obwinionego. — Bratku, gorącą krew my tu zaraz umitygujemy w kozie... Hej! panie Ignacy! — odzywa się do woźnego — a gotowy tam areszt.

— W porządku, wielmożny sędzio... zamieciono... słoma jest świeża...

— No, jakże to było, panie Janie? — rzecze do skarżącego, wysokiego jak sosna bednarza, ubranego w długą granatową bekieszę. — Mów krótko a węzłowa- to, bratku.

— Rznął mnie w gębę, prześwietny sądzie.

— Jakto w samą gębę?

— Tu, w to miejsce — mówi pan Jan, pokazując lewy policzek twarzy—i tak mi zaraz spuchła jak trąba, aż się ludzie dziwowali, na co mam oto tych świadków.

■— A kiedyż to było?

— Trzy dni temu, na jarmarku w Pińczowie. Stałem przy swoim naczyniu przy furze...

— Ej jakoś nie musiał cię bratku rznąć tak bardzo, skoro nie znać, tego spuchnięcia.

— Było, prześwietny sądzie, i jeszcze jakie! — zapewnia z żywością skarżący. — Ja chciałem zaraz iść do prześwietnego sądu i suplikę napisać, ale mi moja nie dała, bo trzeba było len wyciągać z wody. "Wczoraj jeszcze, kiedy wychodziłem z chałupy, dobrze było znać, ałem—dodaje z wielkiem zmartwieniem — już nie mógł donieść do prześwietnego sądu, bo w drodze sklesło.

— To szkoda—rzecze sędzia—zrobiłoby się wiśm repertum.

— Wszyscy poświadczą — odzywa się, wskazując na swoje otoczenie, a i ja nie raz ale dziesięć razy przysięgnę.

Po drugiej stronie pokoju stał winowajca, obywatel, szewC z Buska, postać wcale nie poczesna, ale z miny widać, że czupurna i zawadyacka, ot prawdziwie szewcka. Obywatel Maciej, bo oprócz profesyi był gruntowym mieszczaninem, podczas badania skarżącego okrutnie się niecierpliwił, że na razie nie może odeprzeć zarzutów, więc przestępując z nogi na nogę co chwila zanurzał dwa zgrubiałe palce we wnętrzu łubowej taba- kiery i zatykał nos tabaką, jakby na uśmierzanie sze- wckiej pasyi.

Pytani świadkowie pana Jana ze wszystkimi szczegółami potwierdzili cały fakt, a nawet więcej, bo jedna kumoszka dodała, jako bednarz prócz gęby miał spuchnięte i ucho, które czerwone było jak sukno na kołnierzu policyanta.

— A cóż ty bratku na to?—mówi podsędek, obracając się do winowajcy.

Szewc chrząknął, tabaki zażył i jak to mówią przeszadzając to jest z użyciem liteiy i zamiast z i odwrotnie, zaczął długie dzieje fakt poprzedzające, jak na dwa tygodnie przed jarmarkiem w Pińczowie szedł do Jankła kupować skórę na owe buty, z którymi właśnie był na jarmarku...

— Zaczynaj bratku trochę bliżej, nie od Jankła— przerywa mu sędzia.—Co, rznąłeś go czy nie?

— Juści rznąłem co prawda, prześwietny sędzie, ale dla tego, że on mnie wprzód chciał shańbić. Niech świadkowie powiedzą, czy się już na mnie nie zamierzył i w garść nie plunął. Ha, myślę sobie, masz mnie ty shańbić, to niech ja cię wprzód, i rznąłem, ale nie tak prześwietny sędzie, żeby mu aż puchło... gdzie mnie do tego, siły tej nie mam.

Z przeciwnego obozu powstaje szum oburzenia i wysuwa się naprzód małżonka bednarza.

— Widzisz go, nie spuchło, ale... no, moi ludzie, niedość że jest rozbójnik, to jeszcze kłamie przed świętym sądem.

— Ha, może ta i spuchło—odpowiada lekceważąco majster szewcki—ale od czego innego. Może się pobili z majstrową, bo wszyscy wiedzą jakie tam piekło u nich zawsze.

— Asanowi co do tego, jak u*nas w chałupie. — krzyknie zakładając ręce i przysuwając się pod nos szewca rozdrażniona kobieta.

— Kto asan to asan, a ja sobie pan jestem za swoje trzy grosze — mruczy szewc, sięgając do tabakierki.

Do sprzeczki zaczęli się mieszać już inni świadkowie stron obu, czyniąc różne wymówki, ze sprawą nie mającą związku, tak że powstał hałas niemały. ' Podsędek wyciągnął groźnie prawicę i zawoławszy: cicho! wziął bednarza za rękę i postawił go tuż naprzeciw majstra szewca.

— On cię rznął, prawda?

— Prawda, prześwietny sędzie.

— I ty bratku mój, byłbyś go także rznął, żeby cię był nie uprzedził?

— No, prawda, bo na co szczeka...

— Więc rznijże go teraz i będzie kwita! — zadekretował podsędek.

Bednarz się zawahał, świadkowie wyteżyli zwrok w tę stronę i zamilkli, a nasz podsędek jak krzyknie: „rznij kiedy każe,” to odurzony tem pan Jan odwinął się i palnął.

— No to już zgoda! — mówi śmiejąc się sędzia.— Idźcie z Panem Bogiem, napijcie się miodu u Szai i poczęstujcie świadków, żeście im tyle czasu zmarnowali.

To rzekłszy, wszedł do kancelaryi sądowej, a procesujące się strony, postawszy trochę, wyniosły się do sieni, i zapewne dalej do Szai.

Na trzeci dzień po mojem przybyciu wybieraliśmy się na owo polowanie, do którego ni ztąd ni zowąd przyplątał się pan kancelista. Człowiek ten nie miał żadnego poczucia ambicyi i choć widział naszą wyraźną niechęć, udał że na tem się niepoznaje, lecz owszem starał się być dla nas o ile można uprzejmym. Podsędek na- żartowawszy sobie z naszej wyprawy, nadokuczawszy Zenobci, aby nam po staremu szczęścia życzyła, na co panienka czerwieniła się co chwila, zwerbował policyan- ta miejskiego, który, jako dawny wojskowy, miał nam towarzyszyć i pilnować; abyśmy sobie we łby niepo- strzelali.

Ruszyliśmy tedy we czterech, uzbrojeni od stóp do głowy, z torbami pełnymi amunicyi i różnemi przyrządami do wabienia głupicj zwierzyny, z zapasami jedzenia i miną zapasowych myśliwych. Na wychodniem, już gdyśmy parę kroków odeszli od domu, otwiera się okno i stary podsędek woła:

— Hej panowie, a proszę no.

Zawróciliśmy.

— Daję wam niezawodny środek na kuroptwy — rzeczce, wręczając Adasiowi coś zawinięte w papier.

— Cóż to jest?

— Sól.

— Na co?

— No, jak zobaczycie kuropatwę, to jej trochę posypać soli na ogon, a już wasza.

Nie bardzo nam się podobał ten dowcip podsędka lecz udaliśmy że nas to rozśmieszyło i dalej za miasteczko, wstronę dość rzadko jałowcem porośłych pastwisk miejskich, zajmujących jaką milę kwadratową.

Tuż za miastem zapytał nasz przywódcapolicyant, czy mamy wódkę, bo dzień pochmurny i zimny i żaden dobry myśliwy nie powinien się ruszyć w pole bez wódki. Pokazało się, że prócz kancelisty, który miał w eleganckiej buteleczce trochę wina, żaden z nas o tem nie pomyślał.

— Niech panicze dadzą kilkanaście groszy, to pobiegnę do karczmy na Wygodzie, która już do propina- cyi miejskiej nie należy, wezmę anyżówki, przed którą niech się świat schowa. Panowie idźcie prosto, drogą, potem trzeba skręcić na lewo w parów, do którego przytykają ziemniaki i owsy miejskie i tam zaczekajcie na mnie. Szelma jestem, proszę panów, jeżeli każdy nie zabije trzech zajęcy, bo ja znam to miejsce, że tam zajęc na zajacu leży i nikt go nie płoszy.

Poszedł, dwa psy, kundle burmistrza, poszły za nim, a my poświstując i ciesząc się owemi zajęciami, ruszyliśmy do parowu. Czekamy i czekamy dobrą godzinę, policyanta nie ma. Zjedliśmy pierwsze śniadanie, deszcz zaczął nieco pruszyć, o naszym przewodniku ani słyhać. Nie ma rady, trzeba iść do Wygody i dowiedzieć co się tam stało. Nie stało się nic nadzwyczajnego, tylko pan policyant spił się jak bela i o całym świecie zapomniał.

— Naprzód, kurki poodwodzić... — bełkotał językiem skoro nas ujrzał, ale coś kiedy nogi poruszały mu się krzyżową sztuką tu i tam, a pojedynka, którą miał zawieszoną przez plecy, rozbiła ściany szynkowni i w żaden sposób przez drzwi wydostać się nie mogła.

— Co tu takiego pijaka brać na polowanie — powiada pan kancelista, więc odebi awszy mu strzelbę, oddał ją wraz z dyrektorem naszym pod opiekę szynka- rzowi. Ruszyliśmy dalej sami bez psów, które przyjaciele swego opuścić nie chciały.

Stefańczyk pokazało się był niezłym myśliwym, a policyant nie kłamał zapewniając, że zajęcy jest mul- ium, skoro zaraz na pierwszym poletku ziemniaków zabił jednego. Ja i Adaś strzelaliśmy po kilka razy, ale jakoś albo zanadto blisko lub zanadto daleko, albo strzelby nasze musiały rozrzucać, dość że zajęce z wielkiem naszym zmartwieniem i konfuzją zmykały między jałowce. Raz nawetipsen kot musiał dobrze dostać ode- mnie, bo cały pelffiifcy zostawił po drodze. Ale widocznie nabój był sł^Rn^w nie mieliśmy, więc przepadł i poszedł gdzieś w uJryciu żywota swego dokonać.

Nie będę opisywał całodziennej łazęgi po polach, zaroślach, wertepach i moczarach, ani też szalonej rozpaczy, jaka miotła nami na widok dwóch zajęcy przytroczonych do torby kancelisty. Hultaj, nietylko że miał szczęście, ale nawet pokpiwał z naszych strzałów, dowodząc, że na polowaniu trzeba mieć zimną krew, dobrze wytrzymy^fc* nie strzelać z pod pachy.

Ot, myślę sobie, żeby clióć tego postrzelonego zająca odszukać, bo jakże tu wobec Zenobci wracać z polowania z niczśm. Bóg się zlitował nad mojem nieszczęściem, że znalazłem mojego kota nie w zaroślach, lecz w chacie włościańskiej, do której po południu wstąpiliśmy na mleko. AVystawcie sobie moi państwo, otwieram drzwi do sieni, a tu jakiś parobczak na długiej ławie operuje kozikiem mojego kota i zdiera z niego skórę bez miłosierdzia. Zkąd, co, jak, pytam prawie wyrywając mu zająca. Chłopak z początku zmieszał się trochę, ale powoli wygadał, że pasąc konie na ugorze chłopskim, znalazł tego zająca leżącego w bruździe koło kamienia. Widocznie kłamał, bośmy w tej stronie dziś nie polowali i niezawodnie znalazł go w jałowcach. Ale co tam, mniejsza gdzie było i jak było, dość że zajac mój i kwita. Humor odrazu mi się poprawił, dawszy mu więc dwadzieścia groszy znaleźnego, własność moją odebrałem. Ba! ale cóż tu robić z zającem bez skóry! Próbujemy nadzieć mu napowrót futrzaną sukienkę wraz z odciętą głową, ale operacja podobna w żaden sposób nie da się przeprowadzić. Do połowy wlazł, dalej skóra się drze i nie poradzisz. JMi *

— Ej proszę wielmożneg^fenicza — odzywa się parobczak z proszącą minf^^B^u wielmożnemu panu po skórze, a mnie da żyd pai^groszy...

— Ma racyę—wtrąca się kancelista — nam skóra niepotrzebna.

— Dobrze—mówię na to, pod wrażeniem radości z odnalezienia zająca—ale jakże go zabrać, przecież bez skóry nie przytroczę...

— Wpakować wewnątrz do^ortyr i kwita.

Torbę rzeczywiście miałem^tM^ od ojca, wążką a długą, w której pod spodem przez całą długość znajdowało się schowanko na pakuły, a obydwie strony otwarte niby zarękawek damski. Pomyślawszy, że bądź cobądź przyniosę zająca, usłuchałem zdradliwego Ste- fańczyka i obwinawszy zakrwawiony korpus resztkami gazety, która nam od wiktuałów pozostała, z wielką siłą razem z parobkiem wciągnęliśmy go do owego futerału. Martwiło mnie trochę to, że końce uciętych nóg wystawały na zewnątrz, ale myślę sobie, przyjdziemy w wieczór, to kto tam zobaczy...

W chacie bawiliśmy krótko, po drodze zabraliśmy naszego polieyanta, który się trochę przetrzeźwił, a potem z dobrą miną ruszyliśmy do miasteczka. Jeden Adaś, z powodu że wracał z niczem, miał bardzo kwaśną minę, lecz pocieszałem go jak mogłem żartując z polieyanta, który się tłumaczył, żeśmy mu krzywdę wielką zrobili zostawiając go w karczmie.

— Panowie myślą, że ja był pijany—odzywa się, prowadząc kundle na sznurku — a to niech mnie Bóg ciężko skarże, jeżeli ja kroplę wódki miałem wtedy w gębie. Prawda, że mi się niedobrze zrobiło, ale to od wewnętrznego robaka, którego dostałem jeszcze w 15-ixi roku z mięsa końskiego w gubernii kazańskiej, kiedy mnie tam do niewoli zagnali. Proszę panów, tatarzy karmili nas na kwaterach końskim mięsem, a z końskiego mięsa zawsze człowiek dostanie robaka. Ho, ho, proszę panów, ja go znam dobrze; rano niech tylko wstanę, to ci zaczniesz tak kręcić, tak wiercić i świdrować, że największego chłopca z nóg zwali. Co ja już nie wyrabiał, proszę panów, żeby go się pozbyć, to Bóg jeden wie. Piłem różne paskudztwa i mocne i całymi garncami, a jemu nic, a nawet jak się upił albo rozgniewał,

to jeszcze lepiej po mnie bonował. Kazali mi leżeć pół dnia na słońcu z otwartą gębą i mówili, że wyjdzie sam... szelma nie wyszła. Ale ja już mam pewny sposób na niego...

— No, jaki?

— Jak umrę, to j jego djabli wezmą.

— A kiedyż to będzie?

— Jak Bóg da, przecież dla niego zabijać się nie myślę, bo to grzech. Jednak, proszę panów, on się ka- ducznie zdziwi, kiedy ja klapnę.

Otóż bawiąc się w ten sposób gawędą policyanta, który w opowiadaniach swoich o tatarach i ich siedmiu żonach (każdy bowiem tatar musi mieć siedm żon) był arcyzabawnym, wkroczyliśmy do miasteczka jeszcze za dnia. Ja o nogach zająca wystających z torby na śmierć zapomniałem, a tymczasem czy psy, które kręciły się koło mnie, czy też, jak podejrzewam sam kancelista po- trochu wyciągał owe nogi z torby tak, że cały zakrwawiony i siny czomber zająca zwieszał mi się z torby, a ja nic a nic o tem nie wiedziałem. Prawda, że idąc przez ulicę wielu stawało, przyglądało sio dziwnie i oglądało na mnie, ale ja sądziłem, że to kalwakata nasza myśliwska zaciekawienie to sprowadza.

Nareszcie stanęliśmy przed dworkiem podsędka, gdzie na ganku siedziała cała jego familia: pan burmistrz i parę innych pań z miasteczka. Zobaczywszy nas i dwa zające u torby Stefańczyka, powstał ogólny rejwach; witano nas, winszowano kanceliście, oglądano, dopytywano się, kto więcej co zabił. Ja się nie śpieszyłem z okazaniem mojej zdobyczy i chciałem już usunąć się do kuchni, aby oddać tam zająca, gdy ten niego dziwy blagier i wróg mój dał jakiś znak Zenobii i ta nieznacznie stanęła za mną.

— Matko Bożka!—krzyknęła—panie Stanisławie, co to jest?

Obróciłem się, a ona z wystraszoną miną pokazuje palcem na zakrwawione zwłoki mego zająca i cofa się ku gankowi. Spostrzegłem i ja co to jest, obróciwszy torbę naprzód, a pons oblał mi twarz niby gorącym ukropem.

— To zając...—mówię.

— Zając? a ja myślałam... ach! jakże się przestraszyłam.

"Wykrzyknik panny sprowadził innych. Oglądają, pytają, śmieją się, a ja stoję jak na rozżarzonych węglach i wpycham czerwone szczątki zająca do torby, które ani myślą tam wracać.

— Jakże pan mogłeś zabić zająca bez skóry? — zapytuje ktoś z obecnych.

A ten bezczelny faryzeusz, blagier, kancelista, powiada na to:

— "Widzicie państwo, jak ten zając zobaczył srogą postać pana Stanisława ze strzelbą, tak się zląkł, że wyskoczywszy ze skóry, począł co tchu uciekać. Pan Stanisław strzelił i naturalnie zabił, ale już bez skóry.

Chciałem się w tej chwili jak rozjuszony tygrys rzucić na tego niegodziwca i rozszarpać na kawałki, ale ogólny śmiech, który w całym zebraniu wybuchnął po tej odpowiedzi, kompletnie odjął mi przytomność. Nie wiedząc co robię, rzuciłem torbę na ziemię i niewiele myśląc, drapnąłem furtką do ogrodu, a potem do altanki.

W pierwszej chwili niepamiętam co się ze mną działo. W głowie czułem zamęt, jakiś szum dzwonił w uszach, oczy strzelały piorunami, a ręce zaciskały się

konwulsyjnie. Przybiegł A daś, zaczął mnie mitygować, przyszedł podsędek, przyszła i jego żona, zapewniając że zając jest śliczny, że pan kancelista niepotrzebnie ostrzył sobie dowcip na mojej osobie i prosiła, abym szedł na kolację, bo wszyscy już wiedzą jak się stało.

Perswazyje ich nieco uspokoiły moje wzburzenie, ale oświadczyłem stanowczo, że na kolację nie pójdę? bo głowa mnie boli. Potém przyszła i Zenobia, ale ja zobaczywszy oknem jak się zbliża do altanki, czemprę- dziej zawiązałem głowę chustką i położyłem się na posłanie, udając że śpię. Otworzyła drzwi, popatrzyła na mnie, a widząc, że się nie ruszam, odeszła napowrót.

Całą noc potém spać nie mogłem, a gdy powrócił Adaś, oburzenie nasze nie miało granic.

— Nie daruję mu tego wstydu! — krzychałem, bijąc pieftią w stół. — Co to jest robić sobie kpiny i stawiać kogoś za przedmiot śmiechu całego towarzystwa!..

"W nocy, gdyśmy się już uciszeli i Adaś chrapać zaczął, ja się zrywam na równe nogi i dalejże się ubierać.

— Co ty robisz, Stasiu?—pyta, podnosząc głowę.

— Pójdę do tego łotra i w łeb mu wypalę...

— Zwaryowałeś! — krzyknie, chowając strzelbę pod swoje posłanie—ależ to zbrodnia, kryminał...

— Na wszystko jestem zrezygnowany, ja tej hańby nie przeżyję, jemu z jednej łufki, mnie z drugiej i koniec.

Długo jeszcze potem przekładał mi i perswadował, że przecież są inne sposoby satysfakcji i niekoniecznie trzeba sobie i jemu w łeb palić, lecz te sposoby przez Diego podawane nie mogły trafić do mego przekonania. Krwi tylko pragnąłem Stefańczyka, krwi... bez względu na następstwa.

— No, to wyzwijmy go na pojedynek...

— Dobrze, wyzwijmy, kiedy inaczej nie można — odrzeknę i już do samego świtu omawialiśmy warunki owego pojedynku i sposoby jego wykonania.

Rano poszedł zaraz Adaś do jego mieszkania i powrócił wkrótce z oświadczeniem, że wyzwanie przyjmuje i że postara się o sekundantów, których przyśle do wzajemnego z moimi porozumienia. Z naszej strony wysłaliśmy potajemnie posłańca do kolegi Karskiego, który o dwie mile ztąd mieszkał i podobnie jak my bawił u rodziców na wakacyacli, aby bez zwłoki czasu w ważnej sprawie natychmiast przyjeżdżał.

Dla usunięcia wszelkich podejrzeń uradziliśmy, że ja udawać będę w domu podsędków, że mnie już ta sprawa wcale nie obchodzi, że przekonałem się jako to "był żart, trochę niesmaczny, ale znów niekrzywdzący mego honoru.

I rzeczywiście udało mi się przez cały dzień być wesołym i rozmownym, choć się do panny Zenobii nie zbliżałem, albowiem nie mogłem jej tego darować, że śmiała się razem z innemi, ona, za którąbym krew moją do ostatniej kropli wytoczył.

Cały wieczór jeszcze omawialiśmy z Adasiem szczegóły przyszłego spotkania i szukali po książkach będących w bibliotece podsędka opisów pojedynków, jak się powinny odbywać.

Nazajutrz rano spodziewałem się przybycia Karskiego, a zapewne i sekundantów kancelisty, dla tego też zobaczywszy z daleka tuman kurzawy zbliżający się po drodze ku miastu, wyszliśmy na spotkanie. Cały zajęty myślą zemsty nad kancelistą, ani zwróciłem uwagi, że konie i wolant wynurzający się z pyłu ulicznego były nasze. Dopiero gdy zobaczywszy mnie, stangret zatrzymał kasztanki, poznałem matkę.

— Stasiu—mówi do mnie żywo — siadaj, natychmiast zawracamy do domu. Ojciec dziś w nocy zachorował i pragnie cię widzieć koniecznie.

— Jakto, niebezpiecznie?—pytam zatrwożony.

— Lekarz niby nie straszy, ale kto to wic—odpowiada matka drżącym głosem i z widocznym niepokojem w twarzy.

Kochałem bardzo ojca, wiadomość więc ta boleśnie mnie dotknęła. Szybko zabrałem moje rzeczy z altanki, pożegnałem podsędków i Adasiowi szepnąłem: uradzcie wszystko i dajcie mi znać, ja się stawię niezawodnie.

Matka przez ten czas załatwiała sprawunki w apto- ce i ruszyliśmy zwawo ku domowi. Przez drogę dopytywałem się o chorobę ojca, pragnąc wiedzieć o wszelkich szczegółach zasłabnięcia, lecz matka, choć pełna niepokoju, odpowiadała ni to, ni owo. Dopiero wjeżdżając do wsi, zwróciła się do mnie z oczami pełnymi łez.

— Stasiu, nie martw się, ojciec nie jest chorym, głowa go trochę boli, ale to rzecz zwyczajna. Na miłość bożką, powiedz mi teraz, coś ty tam nabroił?

— Nic, proszę mamy.

— Jakto nic, kiedy przed chwilą przyjechał do nas Krasnowiejski z oświadczeniem, że jest przez Stefańczyka uproszony na sekundanta do pojedynku, który ma się odbyć z tobą... Stasiu, jak mogłeś coś podobnego zrobić? Kiedy on mi to pod sekretem powiedział, ja struchlałam, serce mi bić przestało... Co, ty, ty jeszcze dzieciak prawie, miałbyś życie swoje narażać dla jakiejś błahej urazy, czy żartu... Niegodziwe dziecko, czyż nie rozumiesz, że śmierć twoja, to śmierć dla mnie... Straszne rzeczy, jakie mi też zmartwienie sprowadziłeś... patrz, ja cała jestem wzburzona, jechałam tu jak szalona ..

Żal mi się zrobiło matki, lecz musiałem ją ze wszystkimi szczegółami zajścia obznajinić, dowodząc, że dla honorowego człowieka nie ma tu innego wyjścia.

W domu ojciec bardzo się ucieszył, że wrócił, bo właśnie w wielkim był kłopotcie z powodu, że kucharz zachorował i nie było komu dozorować robotników. To deszcz, to słońce zabłyśnie i trzeba poprostu kraść z pola. Idźże mi, moje dziecko, zaraz do stodoły i pilnuj, aby jaknajprędzej składali. Owsa niech nie kładą bardzo wysoko, bo trochę mokry i zgrzać się może, ale tak potrochę na pszenicę, na żyto, a reszta na klepisko koło młocarni... Matko, daj mu tam co przetrącić... weźże sobie książeczkę do zapisywania kop.

Poszedłem, niepodobna bowiem oprzeć się życzeniu dobrego ojca, a zresztą chciałem być sam, żeby jakoś te wszystkie zmartwienia trochę przetrwać. Zadzwoniono na południe, ja wracam do domu na obiad, gdy wybiega naprzeciw mnie matka, podając mi list.

— Od Adasia zapewne?

— Nie wiem, czytaj, przywiózł go posłaniec od Krasnowiejskiego.

List był od pana kancelisty z nieformalniejszym przeproszeniem za żart, którego sobie, licząc na bliską znajomość naszą, trochę nierozważnie dozwolił, a kończył się tak, „Jeżeli dla szanownego pana przeproszenie to nie wydaje się dostatecznym, gotów jestem powtórzyć je publicznie przy tych osobach, które obrazę słyszały.”

— Tchórz! — zawołałem z ironicznym tryumfem, podając list matce. — Naturalnie, że musi mnie publicznie przeprosić.

Matka przeczytała z rozpromienioną twarzą, całując mnie z wielką czułością w czoło, odezwała się łagodnie:

— Staniu, masz już pełną, satysfakcję, na co ci żenować człowieka, znacznie starszego od ciebie, i wierz mi, bardzo porządnego. Przez to wyrządziłbyś wielką przykrość i podsędkom.

— Cóż to dla nicli za przykrość, albo on ich swat czy brat?

— Jakto, nie wiesz? przecież Stefańczyk jest od miesiąca narzeczonym Zenobii.

— Żartuje mama—mówię, oblewając się rumieńcem.

— Jak ciebie kocham, tak jest. Trzymają to w tajemnicy, bo on sobie tego życzył, ale podsędkowa już ze dwa tygodnie temu jak mi o tem powiedziała.

Machnąłem tylko ręką, jak człowiek, na którego zanadto w jednej chwili spada ciosów. Dla tego też przestałem na listownym przeproszeniu i więcej do podsędków nie pojechałem. "Wart Pac pałacu i pałac Paca, pomyślałem, przekonawszy się o zdradzie Zenobci, najformalniej bowiem uważałem się za człowieka zdradzonego przez pannę, dla której gotów byłem życie poświęcić... I wierz że tu kobietom!...

Dopiero w pięć lat potem spotkałem się z państwem Stefańczykami. On wkrótce po naszym zajściu został notaryuszem w oddalonem mieście, gdzie z żoną wyjechał, i teraz dopiero pierwszy raz przyjechali odwiedzić rodziców. Boże drogi, co się z tej Zenobci zrobiło? Kubek w kubek podobniusia do papy podsędka, taka sama tłusta i pulchna baryłeczka o trzech podbródkach... Bóg strzegł, że ją sobie wziął kancelista i cieszy się nią jak pieścidełkiem. Winszuję mu, ale nie zazdroszczę!

KONI E C.

LITERACKA SOFA.

fraszka.

Jeżeli miarą szczęśliwości człowieka wdanej chwili ma być dobry jego humor i wewnętrzne zadowolenie — to dla ich wywołania nie potrzeba wielkich zrządeń losu...

Nagła zmiana położenia na lepsze nie zapewnia na długo szczęśliwości, o jakiej wspominam. Zdarza się, że pod wrażeniem pierwszej chwili ludzie, egoiści nawet, stają się nader szczodrobliwymi i szlachetnymi", lecz wybryk ten sprowadza wkrótce żal i wyrzuty, dla czego tak łatwo dali się unieść. Z wielką pomyślnością daleko łatwiej człowiek się oswaja niż z biedą i to, co się stało, uważa, iż tak się stać powinno, a zatem, że nowa pomyślność wkłada nań rozsądne obowiązki, za którymi idą tuż utrapienia.

Do rachunku mego zwyczajnych szczęśliwców nie wliczam również ludzi wiecznie z siebie zadowolonych. Takich nic nie dotyka prócz spraw ich zdrowia lub kieszeni. Dotknie kraj jaka klęska — oni się śmieją; ktoś z rodziny umierający — oni to opowiadają z humorem; przyjaciela spotka nieszczęście—litują się nad nim żarcikami, a irytują się tylko wtenczas, gdy kto w ich nieszczęście niewierzy.

Tymczasem zwyczajnego poczcivca, który nie marzy o wielkich rzeczach i wielkich kłesk się nie lęka, byle czem uszczęśliwisz. Ot, krawiec zrobił mu dobrze suknię, znalazł jakąś drobnostkę w sklepie, której dawno pragnął; ten lub ta powiedzieli mu, że doskonale wygląda i że inni są nim zachwyceni — już to mu sprowadza dobry humor na cały dzień. Nieraz w parę godzin zapomni o tych rzeczach, a swoją drogą wesołe usposobienie go nie opuszcza tak, że przypominać sobie musi, co go też przyjemnego dziś spotkało, że tak jest zadowolony? Wychodzi tedy na moje, że prawdziwe szczęście codziennego życia nie zależy od wielkich a pomyślnych wypadków, lecz od drobnych a częstych przyjemnostek, nad którymi nikt się nie zastanawia, których nie szuka ale które mimowolnie odczuwa i bierze za przedmiot marzeń, jak dziecko lalkę nim zaśnie w łóżeczku.

Przyznaję się, że ja sam pod tym względem nie jestem ani gorszy ani lepszy od innych i że raz z powodu sprawienia nowój sofy zdarzyło mi się używać tego rodzaju szczęśliwości. Kilka już lat przedtém posiadanie dużej, wygodnej sofy Jada raz w pewnym zamożnym domu widziałem, stało się jednym z liajuporczywszych marzeń moich. Ilekroć, zabierając się do poobiedniej drzemki, kładłem szanowną osobę moją na zwykłej zaokrąglonej i wygniecionej kozetce ze śpiewająceimi sprężynami (do której nb. przystawiało się krzesło na nogi), tyle razy przychodziła mi na myśl owa niegdyś widziana sofa. Ach, myślałem sobie wtedy, jakżebym ja się na nią wyciągnął, jakbym rozkosznie tonął w jej elasty- cznym wysłaniu, a plecy oparł o miękkie poduszki... W pozycyi załamane go w kilkoro ciesielskiego łokcia, leżąc i drzemiąc przy dźwięku sprężyn odzywających się podemną, przypatrywałem się oczami duszy mojej przyszej sofie i decydowałem, że jak tylko będę miał pierwsze zbywające pieniądze, to koniecznie muszę ją sobie zafundować.

Naturalnie, że już po przebudzeniu się zapomniałem o tej decyzji, a tymczasem płynęły lata i ja się tych zbywających pieniędzy nie mogłem dociekać, liaz, zdawało mi się, że je mam i humor mój na myśl sprawienia sofy poprawił się znakomicie. Ale cóż? — Na drugi dzień wprowadziła się do mego domu szkarlatyna. Nie- tylko pięćdziesiąt reńskich, przeznaczonych na sofę, ale jeszcze dwa razy po pięćdziesiąt wzięli doktorzy, aptekarze, felczerzy, razem z dobrym humorem i spokojem, winszując mi jakby na szyderstwo, że choroba tak dobrze i prędko się skończyła.

Coś znowu przez dwa lata potém ani marzyć o sofie i zbywających funduszach. Łamałem się więc lalej w kilkoro na mojej kozetce i]. zekony wałem, że ja c nie można, to człowiek się bez v -lu rzeczy na świecie obejdzie. Aż tu pewnego pięknego 10ranku, przed miesiącem, jakaś poczcivna dusza wydawnicza z Warszawy pisze mi, że gotowa jest zrobić drugie wydanie dawniej mojej powieści i za ten zaszczyt, jaki jej uc ynię, zezwalając, gotowa osobiście, za dwa tygodnie wręczyć mi sto pięćdziesiąt rubli...

Przyznaję się, byłem wzruszony tuką despodzian- ką wydawniczą i pod wrażeniem tego szczęścia postanowiłem w krótkiej drodze, że jeżeli kiedy, to teraz będę miał ową sofę, choćbym nie wiedzieć jakie miał pilniejsze potrzeby.

A że były, to przekonałem się w parę minut, donosząc o tej nowinie szanownej małżonce.

— Mój drogi—odzywa się także uszczęśliwiona — kiedy cię taka niespodzianka spotkała, wypadło by to. wypadaloby tamto kupić, to kazać odnowić, to porepe- rować...

— Dobrze, moja kochana jejmość, kupujcie, odnawiajcie, reperujcie, ale ja przede wszystkim zamawiam sobie sofę... Dalibóg, na tej skrzeczącej kozetce sypiać dłużej nie mogę... Jak cię kocham, ile razy wstanę z niej, to mię tak kości bołą i krzyże i nogi drętwieją, że niepodobna. Pięćdziesiąt reńskich biorę, a z resztą róbce, co chcecie.

Spostrzegłem, że ta niezwykła stanowczość moja nie bardzo się podobała familijnej naradzie; lecz ja udałem, że tego nie widzę i oddałem się marzeniom o moim tyle upragnionym sprawunku. Natychmiast siadłem do biurka i odpisałem wydawcy, że zgoda, i żeby nie tracić czasu, puściłem się na zwiedzenie magazynów z meblami. Domowa rada familijna, wiedząc, że tu na nic się nie zdała wszelka opozycja, przyjęła fakt spełniony i chętnie wzięła udział w moich poszukiwaniach. Chodziliśmy gromadą, ja, żona, dwie córki, cały dzień od sklepu do sklepu, oglądali, próbowali, porównywali, niby to targowali, a w końcu przekonali się, że takiej sofy. jakiej ja chcę, w całym Lwowie nie dostanie za pięćdziesiąt reńskich.

Wieczór powróciwszy zmęczeni i trochę rozczarowani, zaczynamy na nowo dysputę.

— "Wziąłbyś zwyczajną otomankę, obitą jutą za trzydzieści reńskich — mówi jejmość — i będzie bardzo dobra.

Obraziłem się na taką propozycję i byłem przekonany, że żałuje mi pięćdziesięciu reńskich na sofę, aby więcej zostało na inne sprawunki. Zmiarkowała żona, że radę jej tak wzięłem i dalejże się usprawiedliwiać szeroko i długo, że tego, czego chcę, nie dostanę, a zwykła otomanka tę samą odda usługę. Zresztą — powiada—cóż ci tak pilno? Mogłeś się obejść tyle lat, to poczekaj jeszcze kilka dni, poszukamy gdzieindziej... może się rozmyślisz inaczej.

— Tak najlepiej, poczekaj! — powtarzam z urazą. Właśnie dlatego, że tyle lat czekałem, chcę ją mieć jak- najprędzej i mieć będę...

— Jeszcze i pieniędzy nic masz...

— Wszystko jedno, jakbym je miał... Taki wydawca z Warszawy przecie nie żartuje. Zapłacę tymczasem z innych funduszków...

— Pamiętaj, żebyś się nie omylił...

— No, no, już zostaw mnie tę sprawę...

— Przypomnij sobie, ile razy ja ci przepowiedziałam wiele rzeczy...

— Dajże pokój ze swojemi prorocztwami. Wam, jak tylko co się robi nie po waszej myśli, to tysiące zjawia się przeszkód...

Byłem rozdrażniony i postanowiłem nie mówić więcej o tej sprawie, ale sam działać. Jakoż, przespawszy noc niespokojnie, trapiiony różnemi kombinacyami co do kształtu i rozmiarów przyszłej sofy, od rana puściłem się na zwiady.

Jeżeli sobie panowie składnicy mebli, stolarze i ta- picerowie zechcą wizyty moje z owego czasu przypomnieć, to sędzę, muszą mię błogosławić dotąd za owe nudy, wypytywania, oglądania i wodzenia po wszystkich zaułkach ich składów. Chciałem za moje pięćdziesiąt reńskich mieć coś tak wygodnego, pięknego, eleganckie-

go, czego jeszcze niema we Lwowie. Wszystko, co widziałem, nie przypadło mi do gustu; albo za krótkie, albo za długie, to nieforemne, to twarde — jednym słowem nie dla mnie. Jeden z nich cierpliwszy i grze- czniejszy od innych, zaproponował obejrzenie rysunków różnych mebli, żebym wybrał jaki fason, a on podług tego każe mi zrobić.

I rzeczywiście znalazłem coś podobnego do mojej wymarzonej sofy. Zaczynamy tedy liczyć, mierzyć długość, szerokość, wysokość, a potem targować. Stało na tem, że wzięwszy za wzór jeden z rysunków, uzupełniłem go różnemi dodatkami podług moich życzeń, i z elaboratu tego spisali formalny protokół z dołączeniem planu przyszłej literackiej sofy. Najgorsza sprawa była z ceną. Pan majster czoło tarł, liczył, ołówkiem sobie dopomagał i jak mi zaczął stawiać pasy, sprężyny, włosień, płótna, drzewo i inne dodatki, tak urosło całe pięćdziesiąt reńskich, bez pokrycia innych zewnętrznych ozdób szmuklerskich...

— Taniej nie mogę, daję panu dobrodziejowi słowo.

Ja w perswazye i prośby.

— Chyba pan dobrodziej zgodzi się, że dam na spód pakuły albo trawę morską a włosień tylko na wierzch, i przy tej sposobności zapoznał mię z cenami włosia, które nietylko codzień ale i co godzina rosną, tak, że jeżeli dziś stanowczo się nie zgodzę, to on już nie ręczy na jutro za tę kwotę.

Zdecydowany byłem, choćby pokryjomu przed radą familijną, coś dorzucić nad przeznaczone 50 reńskich, ale rozchodziło się o tak wiele, że musiałem spuścić z tonu i zgodzić się na utajone pod spodem trawy, pakuły i tym podobne tapicerskie falsyfikaty...

Dobi

liśmy targu na czterdzieści reńskich, a ja sam miałem wybrać w składzie dywanów obicie i podać próbkę, podług której majster potrzebną liczbę metrów kupi na mój rachunek.

Idę tedy do owego składu i jestem w jeszcze gorszym ambarasie. Co mi się tylko podoba, to drogie, a co tańsze, razi pojęcia estetyczne. Niema rady, myślę, trzeba kapitulować i zawezwać do pomocy kobiety... Biorę tedy pakiet próbek i składam na stole przed moją domową radą...

— Mam już sofę, zamówiłem, będzie na urząd cła mnie zrobiona. Oto są próbki obicia, wybierajcie, które będzie dobre...

W pokoju zapanowało grobowe milczenie. Cała rada w komplecie, nie wyłączając ośmioletniej Lulci, była obrażona, jak śmiałem bez ich aprobaty zamawiać i godzić dla siebie sofę... Widzę jednak po chwili, że ciekawość kobieca przemaga, i choć z pod oka, wszystkie spoglądają na pęk różnorodnych próbek. No, myślę sobie, ja was tu przetrzymam i milczę. Jakoż z miną jak tylko można najbardziej obojętną zbliża się jedna i od niechcienia bierze skrawek do ręki. Ogląda, maca i mówi:

— Wszystko na pół z bawełną, w miesiąc spłowieje.

Chwała Bogu—skoro obraz przemówił do dziada, to ja was tu wprowadzę w dyskusję... Jak tylko chodzi o te strzępki, które się nazywają materyami, i o radę, co kupić a nie kupić, tam żadna kobieta długo nie wytrzyma i musi się wtrącić.

— Mylisz się, to śliczna materya, kupiec zapewnia, że czysto wełniana...

— Co on mówi! — odzywa się jejmość, wyciągając nitki do światła—pół na pół z bawełną...

W kilka minut, dzięki mej sztucznej opozycji co do wartości materiałów z przedstawionych próbek — zawrzała dyskusja na całej linii. Dowiedziałem się też przy tej sposobności, że my mężczyźni na niczern się nie znamy, że zawsze i wszędzie jesteśmy oszukiwani, wyzyskiwani, że nie mamy żadnego gustu, smaku, powonienia i tylu innych przymiotów człowiekowi potrzebnych, a wreszcie żeby nie kobiety, które nas we wszystkich dolegliwościach ratują, bylibyśmy najnieszczęśli- wszemi istotami na świecie.

I cóż powiecie na to czytelnicy? Niezupełnie to prawda, ale po części dałem się w tej sprawie przekonać, upokorzyłem się jak winowajca i poddałem komendzie, prosząc, aby poszły do składu obić i wybrały coś odpowiedniego. Nad podziw mój nie dały się długo prosić, z czego wyniosłem spostrzeżenie, iż nasza pleć piękna umie być wspaniałomyślną.

— A ileż potrzeba?

— Ośm i pół metra...

— Co, co?... — pyta drugi raz żona. — Chyba ten twój tapicer myśli kamienicę objąć nie sofę?

— Tak obliczył, bo uważasz, sofa będzie miała dwa i pół metra długości, blisko metr szerokości, plecy tyle a tyle, i materac, który się ma wkładać w oparcie... wałki dwa...

Nowa protestacja i nowy krzyk...

— Ależ to będzie gmach nie sofa! Na co materace, gdzież jest taki człowiek, któryby miał długości dwa i pół metra?... Zlituj się to będzie poczwara...

Napróżno przekładam, że ja na tej sofie chcę sy-
piać i w nocy, że z materacami będzie wygodniej, że inaczej będzie wązka i krótka... Śmieją się, żartują, dowcipkują, a w końcu biorą się do mierzenia mej osoby tasiemką metrową, każą mi się k"łaść na łóżku, mierzą łóżko wzdłuż i wszerz... aż w końcu ja sam zaczynam się przekonywać, że sofa, którąśmy z tapicerem wykon-
cypowali, będzie jakieś monstrum.

Odkrycie to zasmuciło mnie wielce i wprowadziło w kłopot, co tu robić, bo pewnie już podług tej dyspo-
zycji zamówiono drewniany szkielet u stolarza.

— Biegnij do niego i powiedz, żeby zmniejszył, dopóki stolarz nie zacznie roboty.

Na dworze zmierzch, sklep może już zamknięty, więc palto na siebie, kapelusz, łaskę w rękę i biegnę do tapicera... Zły jestem, niespokojny i trochę zawstydzony, ale się śpieszę. Jak na złość, bo tak zwykle bywa, mnóstwo znajduję przeszkód po drodze. Na każdym przejściu ulicy muszę spotkać przejeżdżającą dorożkę i to noga za nogą. Niema fiakra, to wóz z ciężarami stoi na samym środku, tam wyjeżdża fura z bramy—tu mię ktoś znajomy łapie na pogawędkę; słowem wszystko się składa, aby mi tamować drogę... Ot masz — sklep zamknął i stolarz zrobi poczwarę.

Nareszcie przebrnąłem tuzin przeszkód i jestem niedaleko, gdy właśnie wpadam na jakąś damę idącą naprzeciw.

— A to gdzie tak pilno, gdzie?—zaczepia kuzynka, osoba wielce przyjemna, wielce gadatliwa i wielce ciekawa...

— Przepraszam, dobry wieczór... śpieszę się... pani pewnie do nas... żona jest w domu...

— Chwileczkę kuzynku — rzecze, zastępując mi

drogę swoją osobą—miałam dla ciebie jakąś ważną nowinę...

— Dobrze, ja wrócę natychmiast... przepraszam, sklep... tego...

Nie puszcza mię, ale powtarzając ciągle, że ma ważną nowinę, bije się w czoło, aby ją sobie przypomnieć.

— Acha... wiem... Otóż doskonały temat do powieści... wyborny.

— Daruje pani, w tej chwili nie mam czasu, zamówiłem sofę i to za szeroką, biegnę więc zmienić dyspo- zycję...

— Sofę nową, a na cóż kuzynkowi sofę?... Poczeka- kajże... gwałtu niema... Zbytki robicie, zbytki... a jakaż to szerokość?

— Metr pani — mówię, wywijając się, żeby mię tylko puściła — żona powiada, że będzie nieproporcjo- nalną... daruje pani...

— Twoja żona się nie zna — prowadzi swoje, biorąc mię pod rękę.—Metr szerokości dla sofy, to właśnie akurat, bo powinna być wygodna,, obszerna... Sofę się sprawia nie na rok...

— Więc cóż?

— Ozem szersza, tem lepsza, a jak kuzynek uty- jesz? pamiętasz, nieboszczyk twój ojciec...

Argument ten zwrócił moją uwagę; prawda, mogę utyć, a że człowiek, trzy razy nawet przegrawszy sprawę, zawsze jest przekonany, że jeszcze ma rację, więc spostrzeżenie kuzynki zachciało rację mojej żony—naturalnie, dlaczego robić wazką...

— Tak jest, mówię ci, nie śpiesz się, a wróc ze mną do domu... Proszę cię, w takich razach nie słuchaj

nigdy rad kobiecych, bo cię zaprowadzą na manowce... Ta nasza zielona sofa, znasz ją, co stoi w jadalnym pokoju, szersza niż metr... z pewnością, a nie razi.

W tej chwili nie zmiarkowawszy się, że piękna kuzynka jest także kobietą, w myśli przyznałem jej rację co do ważności rad kobiecych i zawróciłem z nią do mieszkania.

— Bądź spokojny kuzynku, ja twoim paniom zaraz tę rzecz objaśnię... Mówię ci, jak matkę kocham, metr to nie będzie zbyt duża szerokość, wierz mi... A teraz słuchaj, wyborny temat dla ciebie do humoreski...

Niegrzecznie to będzie względem płci pięknej, gdy się przyznam, że nic a nic nie słuchałem, co opowiadała. Mnie w głowie siedziała sofa i jej szerokość, a ona szczebiotała o jakimś obywatelu ziemskim, u którego bawiła kuzynka Cecylia, że to jest taki sobie oryginał, że wszystko ma u siebie ponumerowane, oficjalistów, parobków, trzodę, konie, uprzęż, wozy, a nawet dzieci.

— Powiadam ci, znakomita rzecz do humoreski; ja się tak śmiałam, że aż łzy mi kapwały... Wystaw sobie, chciał Cesię ponumerować i gwałtem wieszał jej tabliczkę na szyję... Daję ci słowo, wszyscy tam noszą blaszane tabliczki z numerem...

— Ech, to chyba waryat?—przerywam.

— Podobno, że ma bzika, ale kapitalny sobie... prawda? No, podziękuj mi za temat...

Podziękowałem i weszli'my do naszego mieszkania.

— No jakże?—pyta mię żona.

— Nie byłem, bo kuzynka powiada, że metr wcale nie zawiele. I mnie się tak zdaje, bo uważasz mogę utyć, a wtenczas co?

Naturalnie wmieszała się zaraz kuzynka dla mojej obrony, dowodziła, przekonywała, a moje kobiety sprzeczały się i upierały do ostatniego. Wreszcie, gdy słowa nie pomogły, wzięły się do mierzenia tasiemką metrową wszystkich kanap i sof, będących u nas w mieszkaniu.

Ależ ja pamiętam — twierdzi stanowczo kuzynka, że kiedy mój Janek zamawiał naszą zieloną sofę przed sześciu laty, to mówił do tapicera: metr szerokości.

— Ot i już mylisz się, bo przed sześciu laty na metry nie mierzono...

— Może być... nie sprzeczam się—rzecze, przypatrując się długości metra i mięknąc trochę w zapale— że to łokieć... Tak, tak, przypominam sobie, to łokieć wiedeński...

Moje kobiety w śmiech, i dalejże tryumfować, a ja spuszczałam nos na kwintę...

— Metr a łokieć to wielka różnica... po co się to upierać?... Ja wiem żęto będzie szerocyzna... Widzisz—kończy moja jejmość—jak tu źle, że słuchasz rad kobiecych... Nie poszedłeś, stolarz zrobi za szeroką i będziesz miał szkaradzieństwo.

Znalazłem się w tej samej pozycji, co ów młynarz, syn jego i osieł z bajki Lafontaine'a. Przyjemność, jaką sobie obiecywałem ze sprawienia sofy, zmieniła się teraz w udręczenie, że za tak drogie pieniądze, po tylu latach oczekiwania będę miał dziwoląga. Naturalnie całą noc źle spałem, a rano, nawet bez kawy pobiegłem do majstra, aby moją sofę zwężono do 80 centymetrów...

Zawiele wynudziłbym czytelnika, opowiadając mu dalsze szczegóły o tysiącu kłopotów, jakie mi budowa tej sofy codziennie nastreczała. Pokazało się naprzykład, że matery do obicia, którą kobiety moje wybrały, a która, mówiąc nawiasem, wcale mi się nie podobała, szanowny mój majster zapomniał wziąć ze składu, a tymczasem ktoś ją kupił. Więc nowa pielgrzymka familijna do składu, przerzucania, targowania, a końcu uchwała, że takiej pięknej i modnej i taniej jak tamta była, już niema. Uprzejmy kupiec powiada, że może sprowadzić tę samą z fabryki, tylko trzeba będzie tydzień poczekać i zapłacić koszt przesyłki pocztą... Zgodziłem się, ale ten tydzień kosztował mnie niemało niecierpliwości, a mianowicie: ile razy przyszło położyć się na starej brzęczącej kozecie, która rzeczywiście przez te kilka dni tak się zdezelowała, że ofiarą było z mej strony powierzać jej swe członki. Nareszcie materyę na obicie przysłano, ale znów pojawiły się w pracowni majstra inne, wewnętrznej natury przeszkody, które zmuszały go trzy razy naznaczać termin, że już sofa niezawodnie będzie gotowa—a swoją drogą trzy razy nie dotrzymać.

— Przynajmniej—mówię pewnego dnia po dwutygodniowym czekaniu—niech ja ją zobaczę w robocie.

— Bardzo dobrze panie dzieju, tylko gdzieby się pan dziej chciał fatygować do warsztatu na przedmieście. Ja panu dziejowi daję słowo, że dziś na wieczór będzie z pewnością...

— A jakże ona wygląda?

— Bardzo dobrze, panie dzieju, sofa śliczna; pan konsyliarz, który jest posłem, taką samą kazał sobie zrobić.

Opinia konsyliarza i do tego posła bardzo mnie pocieszyła jako autora, naturalnie sofy, a nie powieści; wiadomo bowiem, że człowiek nigdy nie chce poprzestać na jednej sławie ze swego fachu, ale gwałtem chciałby uznania na polu, gdzie ledwo jest dyletantem. Naprzy-

kład nie zapieram się, że w tej chwili rozkoszowałem się sławą, tapicerską i przedstawiałem sobie mój tryumf, gdy znajomi, podziwiając sofę literacką, dowiedzą się, że to ja jestem twórcą tego pomysłu.

Szczęście tego dnia powiększyło się jeszcze, gdy wróciwszy do domu zastałem bilet wizytowy oczekiwanego wydawcy dobrodzieja, który ma uiścić owe 150 rubli. Bilet był zagięty w sposób, jak się wizyty anonują, więc dowiedziawszy się, że stoi w hotelu Angielskim, idę go odwiedzić.

— Jak się to złożyło ślicznie— myślę przez drogę—sofa i wydawca naraz. Ot zaproszę go na herbatę, niech się oboje nawzajem poznają.

Wchodzę do numeru, który mi w hotelu wskazano i proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie i radość, gdy zastaję dawno mi znaną przyjazną rodzinę państwa Bonifacych. Z Bonusiem kolegowaliśmy kiedyś w szkołach, potem losy razem nas zanosły na teren galicyjski, a jużeśmy się dwa lata nie widzieli, gdyż Bonus dostał posadę inżyniera na prowincyi i tam z rodziną zamieszkał.

Zrazu sądziłem, że się pomylił, wchodząc tutaj, lecz wkrótce objaśnił mi gospodarz, przedstawiając dalekiego kuzynka swego pana Nikodema, właśnie owego księgarza i wydawcę z Warszawy.

Szczególniejsze zdarzenie, myślę, podając rękę wydawcy, który mi się wydaje człowiekiem dosyć przystojnym, a wyświeżonym i ugrzecznonym na sposób warszawski. Jest to człowiek lat może trzydziestu kilku, okrągłutki, pulchniutki może zanadto, i jak mi się zdaje, trochę pretensjonalny w swej powierzchowności, albowiem wszystko na nim modne, opięte, szykowne; broda skrupulatnie wygolona, rękawiczki jasne na rękach— słowem wcale nie wygląda na księgarza i wydawcę, przynajmniej takiego, jak ja sobie dotąd księgarzy warszawskich wyobrażałem.

Zasiadamy tedy do gawędki; ja przysuwam się do Antosi, córki Bonifacego, którą kiedyś jeszcze na rękach nosiłem, i dowiaduję się, że pan Nikodem umyślnie był u nich na prowincyi i namówił jej rodziców, żeby przyjechali do Lwowa...

— Uważasz — mówi Bonus, odprowadzając mnie nieznacznie na stronę — on tak coś myśli o naszej Antosi.

— To bardzo szczęśliwie... porządny człowiek.

— Tylko jakoś to nie idzie...

— Dlaczego?

— Antosia kaprysi...

— Ale dzieciństwo, mężczyzna przystojny, sytuacja dobra...

— Ja toż samo powiadam, a ona grymasi, że taki otyły...

— Namysłi się—mówię z powagą...

— I my tak sądzimy z żoną, dla tego też mój drogi, jak będziesz mówił z Antosią, to uważasz tak tam jej... no wiesz... ona cię bardzo poważa...

— Z największą chęcią, mój kochany, i owszem, ażeby mieć lepszą sposobność, to' wiesz co, przyjedźcie dziś wieczór do nas na herbatę, zobaczycie jak moja Lulcia urosła... i o mało nie powiedziałem: nową sofę mojego pomysłu—ale się jakoś w porę wstrzymałem.

Zaprosiny moje goście chętnie przyjęli, a ja wracając do domu, wstąpiłem jeszcze do tapicera, upominając, żeby sofa koniecznie była dziś na godzinę piątą.

— Niezawodnie, panie dzioju... niezawodnie.

— Tylko proszę pamiętać na piątą!

— Z pewnością, panie dzieju.

Wracałem do domu zachwycony myślą, jakie sofa moja sprawi wrażenie, a nawiasowo tylko pochwalałem zamiar wydania Antosi za wydawcę... Dziwna dziewczyna, dlaczego nie chce iść za niego, taki porządny człowiek...

Zkąd odrazu zrobił się dla mnie pan wydawca porządnym człowiekiem, tego doprawdy nie wiem, bo pierwszy raz widziałem go w życiu, i pierwszy raz słyszałem o nim, gdy do mnie list napisał... Chyba dlatego, że kupuje drugą edycję mojej powieści — naturalnie musi być porządny, skoro nam robi dogodność i jest sprawcą tak długo oczekiwanej sofy...

Powiem Antosi, żeby nie kaprysiła; teraz o mężów trudno... a co tam, że za otyły, czy to człowiekowi w czerń ubliża... Zresztą nawet nie bardzo, w pojedyncze drzwi doskonale się mieści... Ocho, ja tak żartami do jej rozumu przemówię... No, dalibóg zkąd mnie się wzięło, żeby zostać swatem... I gdybym wprzód przewidział tę okoliczność... Tu wstydę się przyznać, ale jak błyskawica przebiegła mi myśl, że mógłbym żądać więcej niż 150 rubli za ów tom... No, ale i to dobre, co tam, sofę mam z jego łaski...

Uwzględniłem żonę, jakich będzie miała dziś gości na wieczór, a swoją drogą nie myślałem o niczym więcej, jak o sofie. Łóżko się wyniesie na strych, jak przyjdą ludzie, ona stanie tu, okno się roletą zasłoni, żeby zbyt intensywny blask nie bił i spodziewam się będzie wspaniale wyglądała, tak w guście gotyckim.

Z tej radości i niecierpliwego oczekiwania już nie kładłem się jak zwykle na śpiwającej kozetce, tylko od samej czwartej wyglądałem oknem, czy mojej sofy nie niosą. Niestety wybiła piąta — niema; wybiło pół do szóstej — niema... Porywa mię pasya jak można tak kogoś zwodzić i słowo honoru dawać, więc znowu za palto i kapelusz i pędzę do składu mebli.

— Jakto? pan dziej nie odebrał?

— Niema dotąd...

— Daję panu dziejowi słowo honoru, już przed godziną ponieśli...

— Może zły adres pan dałeś?

— Ale gdzie, panie dzieju, oni wiedzą...

Nie było się co spierać; posłano to posłano, więc biegnę do domu—niema... Nie namyślając się, zawracam napowrót, a tu już blisko siódma, lecz spotykam przecie tragarzy niosących jakąś płótnem nakrytą kanapę, którą po kolorze obicia poznaję, że to moja... Zmęczony, spocony, lecz uspokojony biegnę do siebie i wpadłszy do pokoju, zaczynam uprzątać dla niej miejsce... Łóżko wysuwam na środek, wołam służącą ze szczotką, zwijam się, a tu dochodzi mych uszu tumult ze schodów—chwała Bogu, niosą...

Zapewniam was czytelnicy, że gdy postyszałem szcęk klamki u drzwi, serce mi biło daleko żywiej niż wtenczas, gdy pierwszy raz zobaczył swoją powieść w druku. Nieprzytomny prawie, krzyknąwszy do drugiego pokoju kobietom: „Sofę niosą!” odpowiadam na stukanie: zaraz, zaraz, otworzę... a tymczasem wyrywam szczotkę służącej, aby czempredziej w kącie, gdzie ma być ustawiona, zrobić porządek.

Klamka wciąż się porusza i coraz energiczniej, więc pełen roztargnienia, biegnę do drzwi powtarzając: zaraz, zaraz!..*. Przekręcam klucz w zamku i nie zwa-

zając, że ktoś z sieni pakuje się ku mnie — odsuwam rygle i otworzywszy naraz podwoje:

— No, teraz się zmieści! — mówię, usuwając się na bok.

A tu zamiast sofy kto? Mój tłusciutki wydawca, z twarzą zaczerwienioną po same białka, wkracza do pokoju...

— Przepraszam... bardzo przepraszam! — bełkoczę, stając przed nim—myślałem że to sofa...

On się kręci zdejmując palto, kobiety moje które w całym komplecie już stały przy drugich drzwiach, czekając na sofę—cofają się w głąb', a za panem wydawcą pokazuje się cała rodzina Bonusia, na czele której wesoła Antonina tak się czegoś śmieje, że buzię zatyka chustką.

Prawda, że było się z czego śmiać, bo w pokoju prawdziwy chaos; meble porozstawiane, ja roznegliżowany, zabrudzony, rozczochrany...

Skonfundowany trochę, gości wprowadzam i miną nadrabiam jak mogę, starając się być ile można uprzejmym, ale widzę, iż mój wydawca jest czegoś sztywny, a tymczasem pokazują się tragarze z sofą...

Nie mam czasu oglądać, więc każę stawić na środku pokoju, płacę na piwo tragarzom i wracam do gości. Prawda, że wracam bo muszę, ale wewnątrz tak mię coś korci, żeby wyjść i zobaczyć jak ona wygląda. Dostrzegam, że ten sam niepokój owłada i resztę mojej rodziny, bo kiedy ja się wysiłam na podtrzymanie ogólnej rozmowy, co chwila to wysunie się żona, to która z córek, a każda wraca z bardzo podejrzaną miną. Najmłodsza nawet, kilkoletnia Lucia, nie może już wytrzy-

mać, tylko przysunąwszy się nieznacznie do krzesła, mówi mi do ucha:

— Wie tatko, mama powiedziała, że szkaradzień- stwo ta sofa...

Nareszcie podano herbatę, goście idą do jadalnego pokoju, a ja ze świecą do mego arcydzieła. Widzę, że monstrum, ale swoją drogą nie mogę się przekonać, że tak jest. Miłość własna każe mi przekonywać siebie, iż wcale niebrzydka i staram się ile możności nadrabiać miną wobec złośliwych spojrzeń i uśmiechów jejmości...

Zajęty wyłącznie myślą o sofie, ani zważam, iż pan wydawca jakoś zanadto etykietalną ma minę, cedzi słówka przez zęby, nic jeść nie chce, ale się ceremoniu- je i o interesie drugiej edycyi ani wspomina. Skręcam rozmowę na literacki ruch w Warszawie, kołuję zdal- ka, żeby mu przypomnieć o naszej umowie — on jednak zdaje się tego nie rozumieć ani słowa...

Tymczasem, mój kochany Bonuś także czegoś nie w humorze, daje mi ciągle znaki głową i oczami, których ja, mając tyle różnorodnych niepokojów w umyśle, nic a nic zrozumieć nie mogę, a tylko może nieco trywialnie również kiwam głową.

— Obiecałeś pomówić z Antosią — szepcze mi, gdyśmy wstali od stołu i przechodzili do bawialnego pokoju.

— Acha, dobrze, zaraz...

I rzeczywiście, korzystając, że dziewczęta usadowiły się w kącie pod lustrem między koszami kwiatów, przysuwam krzesło do panny Antoniny.

— Ach! jakże ja panu wdzięczna jestem—odzywa się wesoło, szczerząc śliczne jak perły zębki.

— Mnie? a to za co!

— Nie udawaj pan...

— Dalibóg, że nie wiem.

— Doskonale się panu udało z temi drzwiami. Patrz pan, jaki on zły?

— Kto?

— No, ten mój niby konkurent... Jeżeli pan pisze czasem dowcipne rzeczy, to figiel z temi drzwiami jest jeszcze dowcipniejszy... Cha, cha, cha!... „teraz się pan zmieści”... jakie to było doskonale... Jak mamę kocham jemu się zdaje, iż jest taki powabny i wysmukły, a to... baryła...

— Co też pani mówi! Przystojny i porządny człowiek... Gdzież jabym śmiał robić mu jakąś imper- tynencyę—mówię, przypomniawszy sobie otwarcie drzwi na rozcież i zachmurzoną minę wydawcy, którą dopiero teraz zrozumiałem.

— Pani się myli—mówię dalej—otwierałem drzwi dla wniesienia sofy, którą nieśli tragarze po schodach...

— Ale na co się zdały takie wymówki!... Ja wiem, iż pan mi dobrze życzy i że zrobił to pan umyślnie... Nie, nie, nie... proszę się nie zapierać, figiel doskonały... i za to kocham pana...

Nie pomogły moje objaśnienia, wypierania, przysięgi — wesoła dziewczyna podziękowała mi, ciesząc się otwarcie ze skwaszonej miny wydawcy...

— Zarozumialec, myśli, że każda kobieta to cielę, wystawione na sprzedaż na jarmarku. Przyjechał dwa dni temu, i zaraz żenię się, pójdź panna za mnie...

Złe pani robisz, odstręczając tak porządnego konkurenta...

— Jestem obrażona—mówi na to z pewnem uniesieniem — i żeby on miał większą bryłę złota niż sarn waży, nie poszłabym za niego!...

Poselstwo moje skończyło się; dalibóg nie jestem zdatny na swata, a tembardziej na modelatora tapicerskiego, bo skoro tylko opuścili nas goście, nastąpił prawdziwy sąd Boży nad moim utworem i jego wykonawcą panem tapicerom. Cała familijna rada, nie wyłączając kucharki i jej małoletniego syna, mających głos doradczy, stanęła nad ową literacką sofą i pastwiła się bez litości.

A rzeczywiście było nad czóm, bo wyglądała jako prawdziwy dziwoląg tapicerski. Niepioporcyonalne i wysokie plecy, zakończone w trzy gotyckie łuki, dawały jej pozór kanonickiej stali, jaką w presbyterjum kościołów katedralnych spotykamy. Zadługa do swój szerokości, zamiast wałków miała po bokach plastry kształtem podobne do bitych kotletów z kostkami, w plecach zaś wepchnięty materac w ten sposób, że tylko na brzegu można się było usadowić.

Wszystkie te zarzuty, z mnóstwem dowcipnych spostrzeżeń, objały się o moje uszy, kiedym sofę ustawiał w przeznaczonem dla niej miejscu i z cierpliwością godną lepszej sprawy milczał, jak człowiek wyższy nad wszelkie krytyczne pociski. Czułem w głębi duszy, że mają racyę, lecz ambicya nie pozwalała przyznać się do porażki.

— Niech będzie jaka chce podług was—odzywam się z powagą — ale dla mnie jest dobra, bo takiej sobie życzyłem i taka mi się podoba.

Jakoż dla poparcia tej, opinii, kazałem urządzić posłanie na niej i położyłem się na noc. Nie brzęczała to prawda, lecz tak mi było twardo i wążlco, że długo

usnąć nie mogłem, a gdym już zaczął marzyć, śni mi się, że spoczywam gdzieś na stogu stęchłego siana i walczę z prądem wiatru, który mię gwałtem spycha na ziemię.

W pierwszej chwili, gdym się obudził, wrażenie snu przedłużało się na jawie. Rzeczywiście stoczyłem się w jaskinię powstałą w oparciu sofy po wyjęciu materaca. Dookoła otaczał mię zapach wiejskiego siana z pewną domieszką stęchlizny... Niestety, pan wydawca mej sofy zadaleko się posunął przy zamianie włosia innymi materiałami: nie żałował domorosłego siana.

Nazajutrz rada rodzinna triumfowała—skłoniłem głowę przed jej opinią i bijąc się w piersi mówię:

— Macie rację, moja wina. Więc cóż robić?

— Nie przyjąć.

— Ba, kiedy dałem zadatek.

— He?

— Dwadzieścia reńskich...

— A widzisz, po co dajesz, czemu się nie poradzisz, czego to swoją głową mędrkujesz?... A nie szkoda to pieniędzy?... Mamy tyle innych pilniejszych potrzeb... nie mówiłam, kup zwyczajną otomanę?...

W głowie mojej z powodu tego zmartwienia utworzył się prawdziwy bigos; w tem przynoszą mi bilet z hotelu od pana Nikodema. Pilny interes, nieprzewidziany, i coś tam jeszcze zmusza go do wyjazdu ze Lwowa, zatem sprawę o nabycie drugiej edycji z przykrością odkłada na później...

— Masz tobie, jeszcze tego brakowało! — myślę dokładając tę niespodziankę do dawniejszego bigosu. Niema rady, trzeba oddać sofę... Tak jest, cóż to za robota, jakie wysłanie i wybicie, twarda, nieforemna i t.p.

Siadam tedy do biurka i na trzech stronicach redaguję zarzuty przeciw panu majstrowi i staram się przekonać go o mej słuszności. Ale to wszystko na licha się zdało. On ani chce słyszeć o przyjęciu sofy; kazał ją zabrać do siebie dla poczynienia poprawek podług pierwotnego planu, lecz jednocześnie wytoczył mi proces o dopłatę reszty należności za sofę, której, jak to oświadczył przed kratkami, pies nawet nie zechce kupić od niego...

— Bo to prześwietny sędzie — powiada—ten pan chciał mieć literacką sofę, jakiej tu we Lwowie nikt nie widział. Dał rysunek, wymiary jakieś dziwaczne, zwyczajnie jak literat, a teraz, panie dzieju krytykuje swoją własną robotę... Póki życia, prześwietny sędzie, nie chcę mieć z żadnym literatem do czynienia, bo to naród, panie dzieju, nie tak panie dzieju, jak się należy...

Nie wiem, jaki mnie wyrok spotka, a tymczasem co się namartwię i nakłopotuję, to każdy pozna zobaczywszy, iż schudłem i zmizerniałem do połowy poprzedniej tuszy. Dlatego też może po przeproszeniu się z dawną kozetką daleko mi wygodniej sypiać teraz niż przedtem, bo nawet sprężyny, litując się nademną, dały pokój muzyce i tylko kiedy niekiedy zgrzytną, wtórując mojej goryczy, z jaką prowadzę sprawę z przeciwnikiem.

KONIEC.